

SHARON STONE – MALEWICZA, STASIUK – MARKSA, HIRSHFIELD – MIŁOSZA

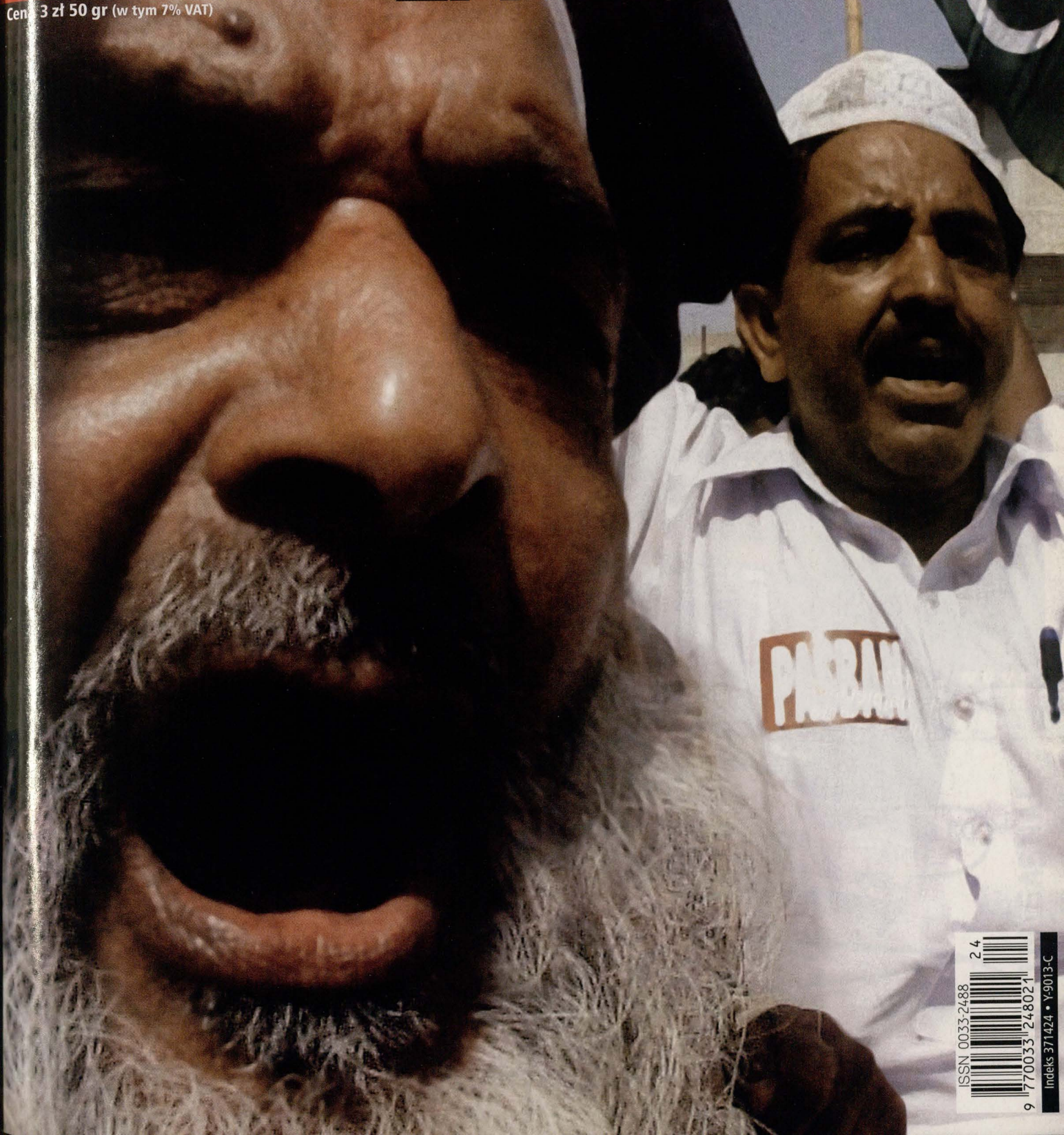
PRZE

Numer 24/2973 16 czerwca 2002 r.

KRÓJ

Cena 3 zł 50 gr (w tym 7% VAT)

WOJNA! ZA PROGIEM



ISSN 0033-2488

24

9 770033 248021

Indeks 371424 • Y-9013-C

DOM & WNETRZE

NR 7(82)/2002 LIPIEC CENA 8,90 zł (w tym 7% VAT)

TEMAT NUMERU

ŁAZIENKI

- różnej wielkości
- pomysłowo urządzone przez architekta
- z modnymi detalami

WIEJSKI DOM
urok tradycji i prostota nowoczesności



OGRÓD DEKOROWANY ŚWIATŁEM
lampiony, świece, latarnie

29 METRÓW WYGODNEGO MIESZKANIA

tej płyty nie kupisz w sklepie

KONKURS!
WYBIERZ NAJLEPSZY PROJEKT ROKU

wygraj wspaniałe nagrody

DOM & WNETRZE

podróże do najpiękniejszych miejsc świata

wakacje • lato • relaks • odpoczynek

SUPERPREZENT!

WAKACYJNA PŁYTA CD

ODKRYJ ETNICZNE BRZMIENIE MUZYCZNYCH PODRÓŻY

TEMAT NUMERU: ŁAZIENKI



MIESZKANIE: MAŁA DUŻA PRZESTRZEŃ

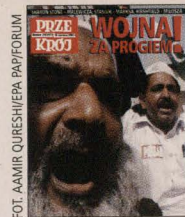


OGRÓD: ZAPALCIE LATARNIE



ARANŻACJE: ROZBUDŹ ZMYŚŁY

NUMER 24/2973 • 16.06.2002

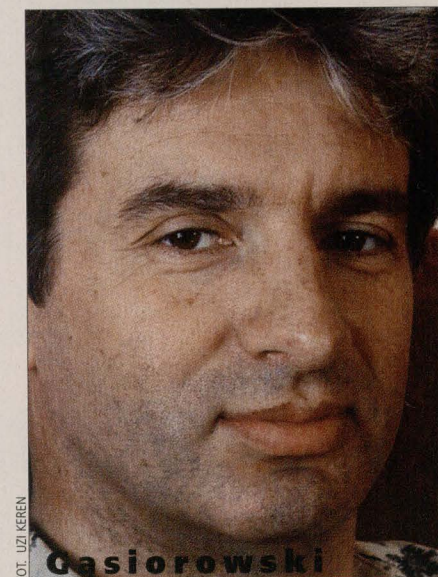


FOT. AAMIR QURESHI/EPAPAPFORUM

- 4 Ilustrowany „Przekrój” tygodnia
- 9 Z tygodnia na tydzień
- 10 Pół wieku królowania – fotoreportaż
- 15 Okienko z wierszem Urszuli Koziół
- 16 Niedosięgnięty – Magda Papużyńska
- 22 Wojna już prawie atomowa – Michał Wójcik
- 24 Apokalipsa w rajskim ogrodzie – Andrzej Krajewski
- 27 Czyściec jest gorszy – Andrzej Stasiuk
- 28 Galeria: Bezdolność krzepi – Katarzyna Mackiewicz
- 32 Warunki zabudowy Marsa – Waldemar Sadowski
- 36 Przekrój Budapesztu – Stanisław Mancewicz, Andrzej Saramonowicz
- 41 Mordillo i Polska Angola – Christiaan van Lierop
- 42 W czarnym lustrze sztuki – Jan Gondowicz
- 48 Srebrne wesele punk rocka – Filip Łobodziński
- 53 „Salon Wytrzeźwień” – pismo niekontrolowane Tadeusza Nyczka
- 56 Książki – „Nasz przyjaciel Pierrot” Raymonda Queneau
- 58 Siostra poetka – o Jane Hirshfield pisze Czesław Miłosz
- 60 Literatura – Piotr Wojciechowski „Kobiety z naszego plemienia”
- 64 Obraz wyraża, Kici Kici, Piątka klepka, Senniczek, Za 1000 złotych można..., felieton Małgorzaty Baranowskiej
- 66 Kulinarne Pióro Polski
- 67 Winny Bierczyk
- 68 Felietony Stefani Grodzieńskiej i Jerzego Bralczyka
- 69 Pierwsze: nie bujać – Hoff
- 70 Odpuszczałam – Urszula Dudziak w rozmowie z Marią Czubaszek
- 71 Listy
- 72 Krzyżówka, jolka
- 74 Co Pan na to, Panie Lem?
- 76 Rozmaitości
- 9, 56, 68 Pan Stanisław z Łodzi Marka Raczkowskiego



Budapeszt



Gasiorowski



Westwood



WILHELM SASNAL



Nieźle zarobił

Tyson na deskach. Lennox Lewis znokautował „Bestię”, zwanego również „Żelaznym Mikiem” oraz „Najbardziej złym człowiekiem na ziemi”. Lewis jest z kolei zwany „Melomanem”, ponieważ lubi muzykę soul. Ci, co nie lubią Lewisa, nazywają go „Maminsynkiem”, bo bardzo kocha mamę, o czym często mówi w wywiadach. „Zły” i „Maminsynek” zarobili na mordobicie po ponad 20 milionów dolarów. Po walce Tyson na wpół

ślepy (Lewis rozciął mu oba łuki brwiowe) pogratulował Lennoksowi zwycięstwa i przeprosił za obelgi, jakimi go obrzucał przez ostatnie kilkanaście miesięcy. Dodał, że ma dla Lewisa i jego mamy wiele szacunku. Zazwyczaj Tyson bije swoich przeciwników poniżej pasa, gryzie ich i obrzuca wyzwiskami. Na jego niekonwencjonalne zachowanie może mieć wpływ fakt, że gdyby pogryzł Lewisa, zarobiłby tylko trzy miliony.



Moskwa płonie.
Po przegranej Rosji
z Japonią w mistrzostwach
świata w piłce nożnej (0:1)
trzy tysiące rozżalonych
kibiców zdemolowało
centrum stolicy Rosji.
W wyniku kilkugodzinnych
rozruchów jest jedna
ofiara śmiertelna
i ponad 30 rannych.
Zdemolowano parter
siedziby Dumy Państwowej,
kilkadziesiąt sklepów
i spalono 20 samochodów.



Dopiero bomby zrzucone przez Izraelczyków na sypialnię Jasera Arafata 6 czerwca przekonały szefa Autonomii Palestyńskiej do zmiany rządu. Nowy gabinet ma o jedną trzecią mniej ministrów niż poprzedni. Zdaniem Palestyńczyków, chociaż jest mniejszy, będzie bardziej efektywny. Zdaniem Izraela, powinien ukrócić korupcję we władzach Autonomii Palestyńskiej i rozpocząć skuteczne negocjacje pokojowe.

Porażka Le Pena (na zdjęciu),
zwycięstwo centroprawicy
– taki według sondaży
powyborczych jest wynik pierwszej
tury wyborów parlamentarnych
we Francji. Unia na rzecz
Większości Prezydenckiej
otrzymała ponad 44 procent głosów,
Front Narodowy Le Pena – 11 procent.
Jeżeli wyniki te potwierdzą się
16 czerwca w drugiej turze,
w parlamencie zasiądzie tylko
20 posłów skrajnej prawicy.

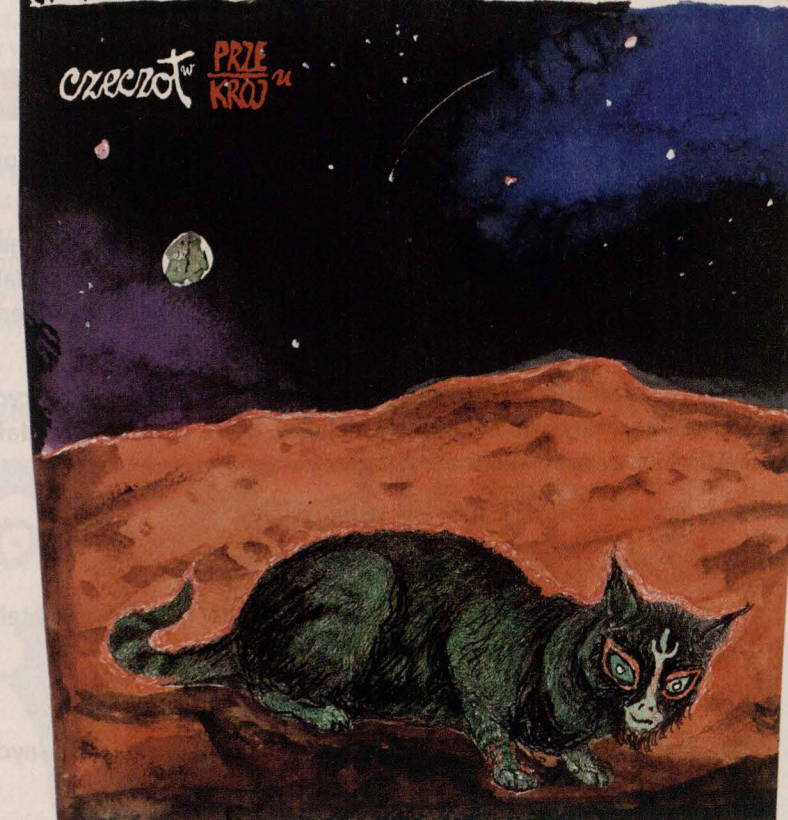


– Obawiam się, że ma pan korniki

Ten rysunek znalazł się
w „Punchu”, a zaraz
potem w „Przekroju”,
w roku 1974.

Przez 161 lat swego
istnienia najśłynniejszy
brytyjski magazyn
satyryczny zdobył sławę
na całym świecie.
Niestety, okazało się,
że kornik toczy także
samego „Puncha”.
W ubiegłym tygodniu
ukazał się ostatni
– pożegnalny – numer pisma.
Nie będzie już więcej
wydań drukowanych.
Tytuł natomiast utrzymano
w wersji internetowej,
pod adresem
www.punch.co.uk.
Można tam zajrzeć
do największego
na świecie archiwum
dowcipów rysunkowych
liczącego około
pół miliona prac.

CHRONMY ŻYCIE POCZĘTE na MARSIE!



FOT. REAGY DE LA MALVINIERE/AP



„Kukietki na dźwigu” – tak reklamuje się jeden z francuskich zespołów muzycznych. Grupa „Transe Express” zaprezentowała podniebny spektakl akrobatyczno-muzyczny na zakończenie regat Volvo Ocean Race w Kilonii.

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY...

...o prawdziwym końcu spisu powszechnego, który zapoczątkuje prawdziwy obraz polskiego wielonarodowego społeczeństwa.

...o całkowicie niepowołanej osobie, która zamiast Biura Ochrony Rządu otrzymała drogą mailową sekretne informacje o wizycie księcia Walii Karola w Polsce (między innymi – w jakim hotelu będzie spał, kiedy obejrzy gospodarstwo rolne znane mu z filmu „Lista Schindlera”).

...o 285 silnikach do czołgów Al-Chalid o mocy 1200 KM, działających w temperaturze do 55 stopni Celsjusza, które Ukraina sprzedała Pakistanowi za sto milionów dolarów.

...o parady homoseksualistów w Jerozolimie.

...o spadku bezrobocia w USA – z sześciu do 5,8 procenta.

...o tym, za pomocą jakiej metody wybrano metodę audiotele do wybrania nowego hymnu Białorusi.

...o otwarciu Muzeum Produkcji Zapalek w Częstochowie.

...o prof. Bohdanie Michalskim, prasoznawcy, który „nie widzi jasnych perspektyw przed polskim dziennikarstwem”.

MYŚL TYGODNIA



Jeszcze Polska nie zginęła
Edyta Górniak, piosenkarka

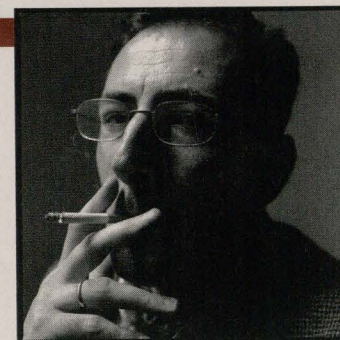
Atomowy
egzamin dojrzałości

Indie i Pakistan – splecione we wzajemnej nieufności, historycznych urazach i religijnych odmiennościach – coraz bardziej stają się zakładnikami własnych wojowniczych deklaracji.

Niech nas nie zmyli odległość i daleka egzotyka tego konfliktu – skutki tej wojny mogą być dla świata o wiele poważniejsze niż niedawne wydarzenia z 11 września w USA. Przesądzają o tym niebezpieczeństwie trzy przesłanki.

Po pierwsze: zetrą się regionalne potęgi, świetnie uzbrojone i posiadające wielką moc wzajemnej destrukcji, a ich starcie nie może być obojętne dla równowagi politycznej w całej Azji – z Chinami i Rosją włącznie.

Po drugie: dla USA ten konflikt oznacza osłabienie zdolności kontrolowania sytuacji w Afganistanie i wymusza zaangażowanie się w regionie na skalę wykraczającą poza dotychczasowe plany, a tym samym może to unieważnić dotychczasowe wysiłki w walce z terroryzmem. A w końcu po trzecie – i najważniejsze – jeśli konflikt pakistańsko-indyjski będzie eskalował i obie strony dojdą do punktu „gry o wszystko”, może zostać użyta broń jądrowa będąca w wyposażeniu obydwu armii. A wtedy nikt nie jest w stanie przewidzieć, jakie skutki ekonomiczne i mentalne przyniesie to całemu światu.



Wprawdzie politycy stron konfliktu odżegnują się od takiej ewentualności, lecz analitycy od dawna zauważają zmianę w podejściu do broni jądrowej na świecie. Potęgi nuklearne czasu zimnej wojny dobrze rozumiały, że decyzja o użyciu takiej broni oznacza powszechną zagładę – i ta równowaga strachu była rękojmią wstrzemięźliwości. W latach 90. ubiegłego wieku wraz ze zniknięciem ryzyka totalnej konfrontacji doszło do czegoś, co analitycy określają „obniżeniem się progu wrażliwości nuklearnej”.

Indie, a potem Pakistan, stosunkowo niedawno weszły w posiadanie tego narzędzia zniszczenia. Teraz przywódców obu krajów czeka być może egzamin z odpowiedzialności, którego do tej pory jeszcze żaden z polityków „starych” krajów nuklearnych zdawać nie musiał. Miejmy nadzieję, że go nie obleją – w przeciwnym razie wszystkich nas czeka mrok chaosu.

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ

Myśliwi chcą
do mnie strzelać



Sejm znówelizował Ustawę o ochronie zwierząt. Myśliwi będą mogli strzelać do psów i kotów, które spotkają na terenie swojego obwodu łowieckiego. Większość polskich lasów i łąk to jakiś obwód łowiecki, więc będą mogli polować na zwierzęta domowe wszędzie. Myśliwy nie będzie mógł strzelić do psa lub kota, jeśli kątem oka w promieniu 200 metrów zauważy jakiś dom. Tyle mówi ustawa. I jeszcze, że myśliwy strzela do psa i kota, które uzna za dziedziczące. Czy zdecyduje o strzale stara obroza, jej brak czy tylko zmierzwiłona sierść?

Sejmowe lobby myśliwych, uzasadniając prawo do zabijania, twierdzi, że psy i koty zabijają zwierzęta leśne. A przecież to tylko oni, myśliwi, mają ten przywilej. Nie podają żadnych danych tej niekontrolowanej hekatombi zwierząt leśnych. Dane o ich zabijaniu znamy – myśliwi strzelają często i celnie. Mówią: przecież to my dokarmiamy zwierzęta i... dokarmiamy je, i... liczymy. To, że pasą swoje przyszłe ofiary, uważam za rozumne. Ale jestem pewien, że gdyby powiedzieć myśliwym: „Od dzisiaj tylko dokarmiacie, nie strzelacie”, to większość nie odwiedzałaby paśników.

Mieszkam z 14 dorosłymi dużymi psami, często zabieram je do lasu i na łąki. Żyjemy razem – jesteśmy stadem. Z całego stada tylko

moja żona i ja czytamy gazety, a tylko ja przeczytałem nowelizację ustawy o naszej ochronie (naszej, czyli stada zwierząt). Na mnie więc spoczywa obowiązek nauczania wszystkich moich psów natchmiastowego atakowania ludzi ze strzelbami, bezzwłocznego rzucania się na nich – w dobrze pojętej obronie własnej. Nie mam innego wyjścia, muszę to zrobić, jeśli mamy przetrwać jako stado. Myśliwi i tak mają ogniową przewagę, nam pozostaje tylko liczebna. Moje psy będą od teraz wiedziały, że strzelba strzela dwa razy i nawet jeśli będzie celna, to 12 z nich zdoła dopaść naszego wroga – myśliwego. Tego, któremu – zgodnie z ustawą – nie należy pod żadnym pozorem przeszkadzać w zabijaniu saren, zajęcy, dzików, kaczek. Oraz psów i kotów. Dzieci niech lepiej na spacerach w lesie też za głośno nie krzyczą, mogą przecież myśliwemu sponżyć ofiarę. Ale to już nie mój problem, ja z dziećmi do lasu nie chodzę.

w imieniu stada
PIOTR NAJSZTAB





Jej Wysokość Jubilatka

Obok:
Uroczysty przejazd
królewskiej kawalkady
ulicami Londynu

Na sąsiedniej stronie
u góry:

Królowa w otoczeniu
aktorów londyńskiego
Chicken Shed Theatre

U dołu:
Przejażdżka złotą karocą
Jerzego III

FOT. JEFF SPICER/ALPHA GLOBE PHOTO/RED DOT





Pokaz sztucznych ogni po koncercie w ogrodach pałacu Buckingham

Mieszkańcy Londynu przed pałacem Buckingham obserwują pokaz brytyjskich sił lotniczych

Prawie sto tysięcy londyńczyków wzięło udział w obchodach jubileuszu 50-lecia panowania Elżbiety II.

Z tej okazji odbył się w Londynie koncert muzyki poważnej z wiolonczelistą Mściławem Rostropowiczem w roli głównej, party w ogrodach królewskich dla 12 tysięcy wylosowanych uprzednio uczestników i wielki koncert angielskich gwiazd estrady. Podczas pierwszego koncertu nie popisał się wnuk królowej książę William. Ostentacyjnie zatykał uszy. W tym ostatnim dla „naszej Mummy” – jak pieszczotliwie nazwał ją książę Karol – z wielkiej sceny przed pałacem Buckingham zagrali między innymi: Paul McCartney, Ricky Martin, Tom Jones, Eric Clapton, Brian Adams. Przemówili Annie Lennox i żaba Kermit.

Kulminacyjnym momentem obchodów jubileuszu Elżbiety II był przejazd złotą karocą wzdłuż szpaleru wiwatujących mieszkańców stolicy Wielkiej Brytanii. Zanim królowa w towarzystwie księcia Filipa przejechała z pałacu królewskiego do katedry

św. Pawła, nad głowami zgromadzonych przeleciał najszybszy samolot pasażerski Concorde i kilka eskortujących go myśliwców.

Podróż karocą była dla 76-letniej monarchini sporym wyzwaniem. Gdyby nie doskonała nawierzchnia londyńskich ulic, z pewnością nabawiłaby się siniaków. Karoca zbudowana w roku 1760 dla króla Jerzego III pozabawiona jest bowiem resorów. „Specjalnej frajdy z jazdy nie ma” – przyznaje nawet główny woźnica królowej Colin Henderson.

Frajdę za to mieli uczestnicy fety. Kapiący od złota powóz rzadko jest pokazywany. Ostatni raz Elżbieta II jechała nim 25 lat temu, świętując srebrny jubileusz panowania. Ale nie tylko twarde zawieszenie dało jej się we znaki. Gdy tydzień po przejażdżce królowa wizytowała zajezdnię autobusową w północnym Londynie – jedyne, o co pytała kierowców, to czy autobusy mają wspomaganie kierownicy.

Z uśmiechem na ustach królowa dała się namówić na krótki kurs autobusem linii 52.

MW



FOT. CHRIS ISON/AP

URSZULA KOZIOŁ

wiersze do jednorazowego użytku
na żółtych kartkach post-it z samoprzylepnym brzegiem
spisuję wiersz na straty
do jednorazowego użytku
istotnie schodzi mi z oczu
jak piórko
któremu z własnym ptakiem raptem nie po drodze

próżno zatem zabiegasz mała myszko
by znaleźć się w polu mego widzenia
gdy raz po raz wychylasz się z norki
typiąc dokoła okiem

próbujesz wcisnąć na siebie mój wiersz
jakby ten był kuloodpornym pancerzem
zdatnym do skoku w beczas w jednym błysku chwili
mając sobie że jest na to najdoskonalszym sposobem

tyczasem grzęda ogrodu już zwyczajowo
stała się miejscem spoczynku wielu moich wierszy

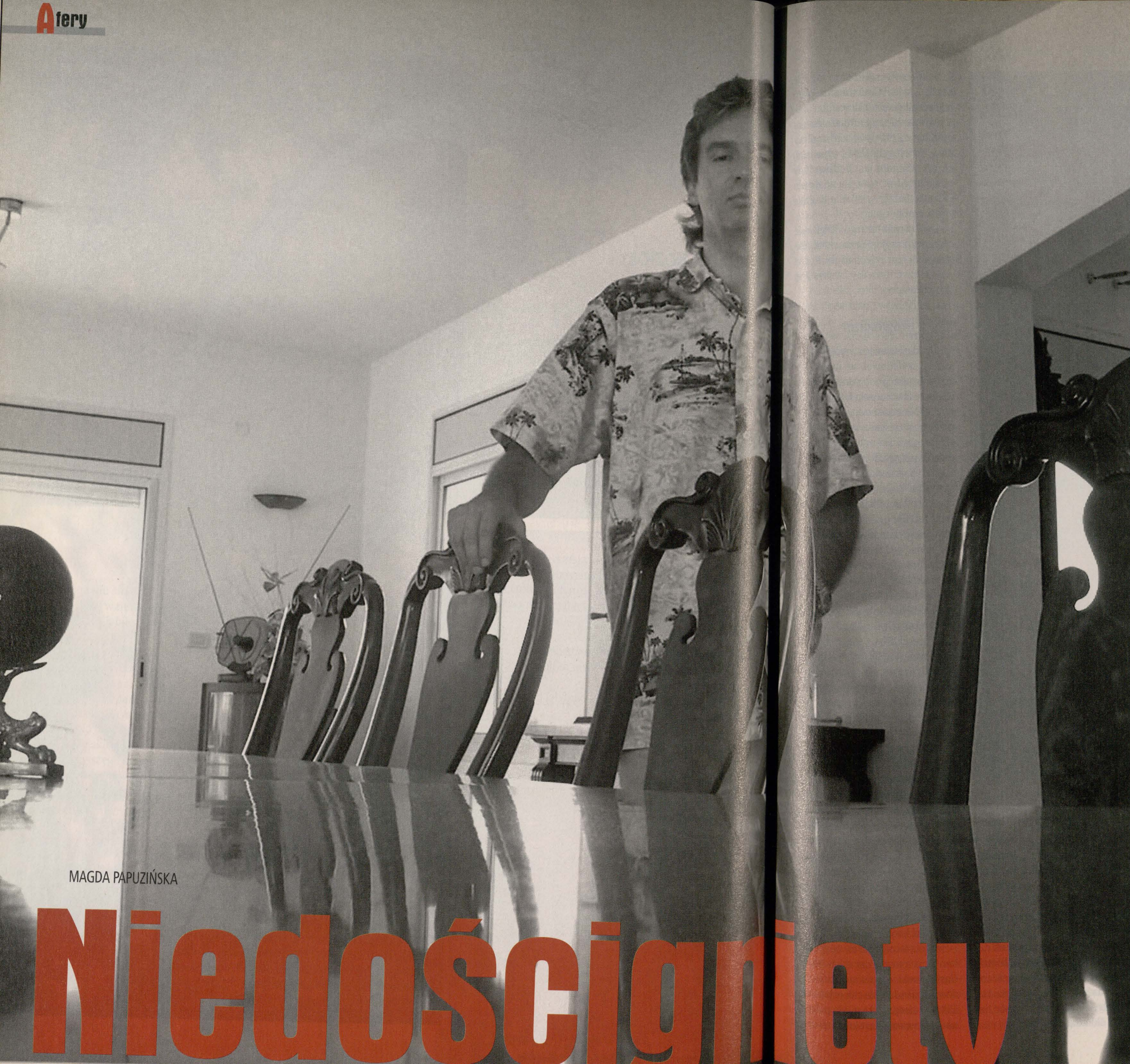
czy przez ich zwęglone szczątki bardziej liryczny odtąd
będzie ten kret
który właśnie do swych mrocznych hadesów
wleczę mrówkę otumanioną dymem-z-rymem

2000-2002

URSZULA KOZIOŁ to jedna z najwybitniejszych polskich poetek, a także prozaiczka, tłumaczka, felietonistka i redaktor miesięcznika „Odra”. Debiutowała w roku 1963 głośnym tomem „W rytmie korzeni”. Jej ostatnia jak dotąd książka to – wydany w prestiżowej serii „Złota kolekcja poezji polskiej XX wieku” – wybór wierszy „Stany nieoczywistości” (PIW, 1999). Twórczość Urszuli Kozioł uhonorowano licznymi krajowymi i zagranicznymi nagrodami literackimi, ostatnio niemiecką nagrodą Eichendorffa.

FOT. RADOŚLAW BUGAJSKI / AGENCIA GAZETA





MAGDA PAPUZIŃSKA

Niedoścignietv

Czarny anioł
polskiego kapitalizmu lat 90.
oskarżany o zagarnięcie
miliardów dolarów.
Geniusz przekrętu czy kozioł ofiarny,
Izraelczyk, ale czy Żyd?
Polska odstąpiła właśnie
od żądania jego ekstradycji.
– Trzeba korzystać z życia każdego dnia
– mówi Andrzej Gąsiorowski,
współtwórca Art-B,
dzisiaj mieszkaniec starożytnej Cezarei

Wruinach portu Heroda morze uderza o kamienne pirsy jak dwa tysiące lat temu, tylko na brzegu zamiast żeglarzy kręcą się kelnerzy. Przy stoliku nad samą wodą Andrzej Gąsiorowski w eleganckiej marynarce między kęsami ryby z sosem czosnkowym i łykami piwa tłumaczy, dlaczego do dzisiaj nie może pojąć motywów postępowania polskich władz w sierpniu 1991 roku. Media i politycy zrobili z niego potwora, ale jest przekonany, że jak tylko Polska wejdzie do Unii Europejskiej i zacznie w niej obowiązywać normalne prawa, wszystkie oszczerstwa i bezpodstawne oskarżenia zostaną rozliczone.

On przecież chciał tylko zarobić na fortepian. I ewentualnie syn-tezator.

Niewinni czarodzieje

Jako lekarz w wałbrzyskim szpitalu dostawał kilkanaście dolarów miesięcznie. Miał żonę i dwoje małych dzieci, a mieszkanie tak ciasne, że fortepian nawet by się w nim nie zmieścił.

Po 11 latach Polska zrezygnowała z prób ekstradycji Gąsiorowskiego, okazały się bowiem bezskuteczne. Do wniosku o ekstradycję Polacy dołączyli sporządzony przez prokuraturę akt oskarżenia. Izraelscy prawnicy żądali dowodów winy. Nigdy ich nie otrzymali.

Gąsiorowski doskonale wiedział, że tak się stanie. Jest bowiem

przekonany o niewinności swojej i współnika. Bogusław Bagsik ma jednak inny temperament. Nosiło go po świecie i wpadł. Szwajcaria, gdzie przesiedział rok i osiem miesięcy, nie chciała dowodów winy. Sprawdziła tylko, czy delikwent ma szansę na sprawiedliwy, uczciwy proces. Po klęsce wyborczej Lecha Wałęsy w roku 1995 taka szansa się pojawiła. Bagsika w kajdankach, pod silną eskortą, odstawiono do Polski na Rakowiecką.

– W sumie siedział ponad cztery lata bez wyroku. To rekord. Ociera się o łamanie praw człowieka – Gąsiorowski skwapliwie kolekcjonuje przewinienia państwa polskiego.

Sąd nie uwierzył w niewinność Bagsika i skazał go na dziewięć lat więzienia z możliwością skrócenia kary o połowę za dobre zachowanie.

– Bagsik nie wytrzymał psychicznie. Jest pewien punkt, do którego osoba uwięziona ma ochotę i siłę na obronę. Skazali go na tyle, ile już odsiedział. On się poddał i oni się poddali.

Kilka dni po wybuchu afery Art-B w pięknej willi pod Tel Awiwem stały dwa fortepiany: czarny i biały. Szeferowie wyklętej spółki pokazywali dziennikarzom z Polski, że są nie tylko artystami biznesu. Co jakiś czas przerywali rozmowę, siadali przy fortepianach i dawali krótki koncert. Dziennikarze w tych chwilach próbowali zrozumieć, na czym polegała sztuka robienia pieniędzy uprawiana w Art-B. Słowo



Z jednym ze współpracowników w swoim domu w Polsce, tydzień przed wybuchem „afery Art-B”, rok 1991

„oscylator” zrobiło gigantyczną karierę, ale Gąsiorowski mówił, że to była zaledwie cząstka działalności firmy. Gdyby zamiast rozpętywać piekło nad ich głowami, pozwolono im wrócić do kraju i normalnie pracować, nic by się nie stało. Jednak prezydent Lech Wałęsa uparł się, że puści obu prezesów w skarpetkach.

Na zarzut, iż uciekają z kraju potwierdzili podejrzenia, odpowiadali, że wcale nie zamierzali uciekać. Wyjechali w celu dokończenia rozpo-

czętej transakcji. Dlatego też zabrali ze sobą kilkadziesiąt milionów dolarów w jak najbardziej legalnie opiewanych workach. Banki nie chciały transferować pieniędzy, bo w tym czasie trwała wojna w Zatoce.

Winę za rozpętanie afery Art-B ponoszą dziennikarze, ale przede wszystkim politycy. Dawno Gąsiorowski naiwnie sądził, że biznes i polityka to dwa różne światy. Szybko wyprowadzono go z błędu. Partie bezpardonowo zabiegały

o poparcie biznesmenów wyrażane w konkretnych kwotach. Niedługo po wyjeździe szefów firmy do Izraela rozeszły się pogłoski o sponsorowaniu przez nich kampanii wyborczych rozmaitych ugrupowań. Dla polityków było to wtedy nie tylko obelga. Każde nazwisko posła czy ministra wymienione w tym kontekście stawało się oskarżeniem. Szczególnie urażony był Lech Wałęsa, który kiedyś dał się sfotografować, jak ściska dłoń Gąsiorowskiemu.

– To było najdroższe zdjęcie świata – mówił Gąsiorowski. – Warte pięć milionów dolarów.

Wałęsa nie zapomniał. Jeszcze niedawno, po powrocie z olimpiady w Salt Lake City, powiedział, że tak w ogóle jest zadowolony ze swoich dokonań, nie udało mu się tylko jedno – złapanie Bagsika i Gąsiorowskiego.

Gąsiorowski też tego Wałęsę nie zapomni. Przyjdzie czas, kiedy ludzie mógł przyjechać do Polski i wytoczyć procesy wszystkim oszczercom.

Haker prowokator

Mimo niewinnego wyglądu Gąsiorowski wylądował w izraelskim areszcie jako podejrzany o udział w aferze fałszowania kart kredytowych. W Polsce znowu trafił na łamy gazet, bo wzrosła nadzieja, że Izraelczycy wreszcie zrozumieli, jakiego gagatka przyjęli do swego grona.

Jako aresztant siedział w twierdzy Abu-Kabir z najcięższymi zbrodniarzami. Najbardziej się bał, że w celi nie będzie wody, ale na szczęście była kabina z prysznicem bez sitka. Spędzał pod nim całe godziny. Towarzyszom niedoli, którzy krzykiem domagali się sprawiedliwości od strażników albo głośnie jękami dawali do zrozumienia, że są u kresu wytrzymałości, udzielał rad: „Im chodzi o to, żebyś nie mógł wytrzymać. Ty się uspokój. Pokaż, że to nic dla ciebie nie znaczy. Ogranicz swoje potrzeby. Trzeba robić odwrotnie”.

– To była prowokacja – wyjaśnia Gąsiorowski przyczyny aresztowania.

Według jego słów izraelska policja namierzyła młodego hakerów, który włamał się do komputerowego systemu drogówki i wymazał starych mandatów. Chłopak przestraszył się konsekwencji. W dodatku był schizofrenikiem. Po kilku miesiącach więzienia zgodził się na współpracę z policją i obiecał, że rozprawi „grupę polską”, o której czytał w gazetach. Dostał od służb bezpieczeństwa magnetofon i zaczął nawiązywać kontakty.

– Moją winą było to, że spotkałem się z nim raz czy dwa – mówi Gąsiorowski. – Dopiero w areszcie dowiedziałem się, że chłopak wymyślił całą aferę, która miała polegać na fałszowaniu kart kredytowych

Visa. On miałby włamywać się do systemów bankowych i kopiować numery prawdziwych kart, pozostali oskarżeni mieli je drukować, a ja miałem sprowadzić do Izraela 10 tysięcy polskich gąsiorów, których zadaniem byłoby wypłacanie za pomocą tych podrobionych kart drobnych kwot z bankomatów. Wyobraża sobie pani? Armia Polaków chodzi po Izraelu, a potem wszyscy grzecznie przynoszą mi wyciągniętą z bankomatów gotówkę.

Izraelska policja wykazała czujność. Podejrzani, wśród nich stary znajomy Gąsiorowskiego jeszcze z czasów Art-B Meir Bar, zostali przymknięci, zanim doszło do najgorszego.

Po dwóch miesiącach Gąsiorowski zgodził się zeznawać.

– Miałem dwa wyjścia: milczeć i siedzieć rok w areszcie, bo tyle mogli mnie trzymać bez wyroku, albo iść na współpracę z policją i oskarżać innych.

Postąpił „odwrotnie” – zastosował samooskarżenie.

– Przyznałem się, że wiedziałem o planowanym przestępstwie i nie doniosłem policji, bo u nas, we wschodniej Europie, nie ma takiego obyczaju. Podpadłem pod tak zwany paragraf „wiedział i nie powiedział”.

Został skazany, wyłącznie na podstawie własnych zeznań, na sześć miesięcy pracy w ośrodku dla dzieci autystycznych. Sędzia w uzasadnieniu wyroku napisała, że gdyby doszło do tego przestępstwa, byłoby ono bardzo groźne i ucierpiałoby wielu niewinnych ludzi.

Artyści oscylatora

„Działaj odwrotnie” – to była dewiza Art-B. Spółki, którą założyli wraz z Bagsikiem w roku 1988 z kapitałem kilkunastu dolarów, a która po trzech latach miała roczny obrót sięgający 22 miliardów dolarów, dysponowała prywatnym odrzutowcem i kontrolowała kilkaset mniejszych spółek: córek i wnuczek.

Działanie odwrotne, jak teraz wyjaśnia Gąsiorowski, polegało na tym, żeby sprzedawać nie jak najdrożej, ale jak najtaniej. Było szybko.

– Czas był najcenniejszy. Zrozumieliśmy, że jeżeli obniżymy cenę towaru poniżej kosztów produkcji, to natychmiast otrzymamy gotówkę,

bo ludzie myślą, że to niebywała okazja i jutro już się nie powtórzy. Oprocentowanie depozytów było w tamtych czasach bardzo wysokie, bezzasadnie wysokie, podobnie zresztą jak oprocentowanie kredytów. Wpłacając pieniądze do banku, w ciągu kilku dni zarabialiśmy wielokrotnie więcej, niż gdybyśmy upierali się przy wysokiej cenie sprzedaży.

Zatem w czasach, gdy Andrzej Lepper i jego koledzy jak bezradne muchy powpadali w pułapki kredytowe, Gąsiorowski i Bagsik ciągnęli zyski z przeciwnej strony.

– Zajmowaliśmy się wszystkim: handel, usługi, produkcja, od lodówek poprzez systemy wojskowe i lotnicze. W ciągu roku sprzedaliśmy milion samych telewizorów – opowiada Gąsiorowski.

Zatrudniali 15 tysięcy osób, w tym pokaźną liczbę prawników, doradców i dyrektorów.

– Czołówka zarabiała wtedy u nas po kilka tysięcy dolarów na miesiąc plus samochody służbowe typu Pontiac, BMW itd. – mówi Gąsiorowski.

W chwili kryzysu czołówka najwyraźniej nie spełniała pokładanych w niej nadziei.

– Doradcy... – prychnął pogardliwie Gąsiorowski i odmawia dalszych wyjaśnień w tej sprawie.

Po co mi bilet

Pieniądze dały im pewność siebie, która przejawiała się w prowokacyjnej nonszalancji. Podczas oficjalnych rozmów z najwyższymi władzami Korei Bagsik występował w dresie i tenisówkach. Na lotnisku w Nowym Jorku proszony o okazanie biletu spytał z głupia frant: „A po co mi bilet?”. Na oficera Immigration podzieliło to jak płachta na byka i kapitan ich prywatnego odrzutowca musiał wyjaśniać, że pan Bagsik, któremu już zakładano kajdanki, jest po prostu takim ekstrawaganckim milionerem. Drogę z Warszawy do Cieszynej – ponad 400 kilometrów – Bagsik pokonywał sportową corvetą w czasie krótszym niż dwie godziny.

Poczynali sobie coraz odważniej. Wyszli z cienia. Punktem kulminacyjnym było wykupienie na pniu rocznej produkcji zakładów w Ursusie. Dobroczyńca padającej fabryki nie mógł pozostać anoni-

im. Dziennikarze chcieli wiedzieć, co spółka robi z tymi wszystkimi ciągnikami.

Dzisiaj Gąsiorowski przeklina ten pomysł.

– Gdybyśmy siedzieli cicho, nie byłoby żadnej „afery Art-B”. Znam wielu ludzi, którzy zarobili wtedy masę pieniędzy, a do dzisiaj pies z kulawą nogą o nich nie usłyszał. Media robią listę i wiedzą swoje. Choćby człowiek akurat nie miał na papierosy, to jest najbogatszy i już.

W roku 1991 kandydowali do parlamentu. Bagsik jeździł po rynku w Cieszynej cadillakiem długim jak pół autobusu i rozrzuczał pieniądze.

Nie grają w karty

Od izraelskiego biznesmena Meira Bara, który przyjechał do Polski sprawdzić, czy udałoby się odzyskać przedwojenne majątki rodzinne, dowiedzieli się, że rodzina australijskich Żydów – Libermanów – chce szybko, tanio i bez rozgłosu sprzedać połowę akcji Towarzystwa



Tak Andrzej Gąsiorowski mieszka dzisiaj – willa w Cezarei

Naftowego PAZ. Zaprzyjaźnili się z Barem, o którym izraelska prasa pisze: „stolarz z Jerozolimy”.

Izraelczycy traktują PAZ jak skarb narodowy i obiekt o znaczeniu strategicznym. Jego akcje nie powinny wpaść w niepowołane ręce, toteż odpowiednie służby zaczęły sprawdzać polską firmę.

Jak pisze izraelska dziennikarka Sara Lejbowicz-Dar, adwokat PAZ-u prosił Bagsika i Gąsiorowskiego, by przedstawili pisma polecające od polskiego ambasadora i z Naro-

dowego Banku Polskiego. Zrobili to. Następnie podpisali oświadczenie, że są ludźmi uczciwymi, nie piją i nie grają w karty. Wizja lokalna w Warszawie także wypadła nieźle, mimo to minister skarbu Izraela nie dopuścił do transakcji. Zgodził się dopiero rok później, gdy uznano, że Bagsik i Gąsiorowski „nie zagrażają bezpieczeństwu kraju”.

W Polsce prezesi byli już wyjęci spod prawa, ale stali się obywatelami Izraela.

Na pytanie, jak to się stało, że dostał izraelski paszport, Andrzej Gąsiorowski, syn protestanckiego pastora, odpowiada tak samo jak na wszystkie inne pytania: wymijająco.

– Moja mama zmarła w roku 1993 jako obywatelka Izraela i tutaj jest pochowana. Kto mi udowodni, że nie jestem Żydem?

Żydowskie pochodzenie według izraelskiego prawa dziedziczy się po matce, a zatem wszystko się zgadza. Gąsiorowski dodaje jeszcze: „Urodziłem się w rodzinie protestanckiej i już chyba tak pozostanie. W każ-

dym razie nie zamierzam stać się członkiem Kościoła katolickiego ani prawosławnego, na ortodoksyjnego żyda też już jest chyba za późno”. To jest odpowiedź dla dziennikarza z Polski.

Dla hebrajskojęzycznej prasy ma specjalną wersję: ojciec wprawdzie jest pastorem, ale w domu „byliśmy syjonistami, przestrzegaliśmy szabasu, nie jedliśmy wieprzowiny i modliliśmy się, żeby Żydzi rosyjscy mogli wyjechać do Izraela”. Mama ukrywała jednak



Andrzej Gąsiorowski – rok 2002

swoje pochodzenie: „Dopiero w dniu, kiedy wylatywałem do Izraela, powiedziała mi, że jest Żydówką i że ja też jestem Żydem. Poczułem ulgę i zacząłem rozumieć swoją rodzinę”. Od tego czasu Gąsiorowski przed każdą ważną decyzją radzi się rabinów.

W restauracji nad brzegiem morza, w cieniu rzymskiego akweduktu,

42-letni Gąsiorowski podsumowuje swoje osiągnięcia życiowe.

– Motorem działania mężczyzny są kobiety, sława, pieniądze i władza. Z tego wszystkiego z całą pewnością zdobyłem sławę. Zgromadziłem 10 tysięcy artykułów na swój temat.

Co do pieniędzy:

– Mamy podpisane umowy z Polakami, że majątek Art-B po

zakończeniu likwidacji, po dokonaniu bilansu, wróci do nas. Spółka w chwili naszego wyjazdu była warta okragły miliard dolarów. Nie odpowiadamy za to, co następni właściciele rozkradli. Myśmy ten majątek zgromadzili w półtora roku. A likwidacja ciągnie się już 10 lat i nie widać, by miała się zakończyć przez następnych 15.

Ekumenizm na tle muzyki

Niedawno przeprowadził się spod Tel Awiwu do Cezarei, starożytnego miasta założonego przez Heroda Wielkiego (tego od rzezi niewinątek). Herod wybudował tutaj amfiteatr, akwedukt i port. Całkiem niedawno te imponujące budowle odkopano spod piasku

Na trop operacji finansowych przeprowadzanych na wielką skalę przez spółkę Art-B i kilkaset jej córek pierwszy wpadł wiosną 1991 roku urzędnik nadzoru bankowego. Sprawa nabrała rozgłosu kilka dni po wyjeździe z kraju właścicieli spółki Andrzeja Gąsiorowskiego i Bogusława Bagsika. Podejrzewano ich o wywiezienie z Polski milionów dolarów, wyprrowadzenie z systemu bankowego 4,2 biliona starych złotych (420 miliardów nowych złotych) i stosowanie oscylatora (wielokrotne naliczanie odsetek od tych samych kwot).

Za współnikami rozesłano listy gończe, bezskutecznie domagano się od Izraela ich ekstradycji. W roku 1994 Bagsik został zatrzymany w Szwajcarii i po kilkunastu miesiącach wydany Polsce. Po 4,5 roku aresztu wyszedł na wolność za kaucją w wysokości dwóch milionów złotych. W roku 2000 został skazany na dziewięć lat więzienia za przekupstwo, zagarnięcie 4,2 biliona starych złotych z Banku Handlowo-Kredytowego, co doprowadziło do jego upadku, oraz przywłaszczenie mienia spółki wartości 120 milionów złotych. Oscylator nie był przestępstwem. Bagsik od razu wyszedł na wolność, bo odsiedział już połowę kary. Wyrok nie jest prawomocny.

Jednocześnie likwidator Art-B wytoczył dłużnikom spółki kilkaset cywilnych procesów, wiele z nich wygrał. Bagsik i Gąsiorowski musieli zwrócić spółce 80 milionów złotych uzyskanych ze sprzedaży akcji PAZ. Na zlecenie likwidatora zgodne z wyrokiem cywilnego sądu w Tel Awiwie izraelscy prawnicy wciąż poszukują prywatnych majątków byłych właścicieli Art-B.

pustyni i zamieniono w atrakcje turystyczne. Dzisiejsza Cezarea składa się z około pół tysiąca willi zamieszanych przez najbogatszych lub najwyżej postawionych obywateli Izraela.

Jedną z willi wynajął Gąsiorowski. Mieszka ciągle z tą samą żoną i dwójką dzieci. W piwnicy zainstalował profesjonalne studio muzyczne. Tam spędza wszystkie wolne chwile. Często przy komputerze. W sieci można przeczytać o jego dokonaniach muzycznych i posłuchać utworów w formacie MP3. Wydał kilkanaście płyt, napisał muzykę do kilkudziesięciu filmów dokumentalnych. Dawniej grał w zespołach przy kościołach ewangelicznych, głównie gospel, ale także jazz. W 1985 na koncercie Cliffa Richarda w Hali Gwardii poznał Bogusława Bagsika, który występował w tych czasach z zespołem kościoła baptystów.

– Ja grałem z charyzmatykami, zielonoświątkowcami. Dokonaliśmy ekumenicznego zjednoczenia, dołączyli też katolicy.

Ostatnio z Bagsikiem nie utrzymuje kontaktów.

– Byliśmy prawdziwymi współnikami, przyjaciółmi. Ale już po wyjeździe do Izraela nasze drogi się rozszły. Wspólna była tylko defensywa przed atakami prasy, polityków, prokuratorów.

Jego przyjaźń z Meirem Barem też przeżyła dramatyczny kryzys. Kilka lat temu oskarżył Bara przed sądem, że bezprawnie zajął dwie należące do niego wille pod Tel Awiwem. Sąd uznał wprawdzie, że wersje obu stron są nieprawdopodobne, ale wille przyznał Barowi, bo Gąsiorowski nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, ile jest w nich pokoi i jaki system klimatyzacyjny.

– Oni się nienawidzili, obrzucali błotem, nie mogli na siebie patrzeć – wspomina Edward Elter, dziennikarz polsko-izraelski, znajomy Gąsiorowskiego – a podobno teraz znowu robią razem interesy.

Telewizja dla miliarda

Gąsiorowski co chwila rozmawia przez swoją komórkę, siłą rzeczy słysząc: „500 tysięcy... nie szekli, dolarów. Sprzedajemy. Ale numer! Podpisał”.

W planach na najbliższą przyszłość ma organizację wielkiego koncertu trzech cywilizacji: muzulmańskiej, żydowskiej i chrześcijańskiej, który rozpocznie się na Górze Oliwnej, a zakończy w rzymskim amfiteatrze w Cezarei i będzie transmitowany na cały świat (bez Polski).

Zaprzyjaźnił się z grupą nowych imigrantów – skrajnie prawicowych rosyjskich Żydów, według których Ariel Szaron jest stanowczo zbyt łagodnym premierem. W ciągu ostatnich 10 lat do liczącego około pięciu milionów ludności Izraela przybył milion rosyjskich Żydów. W czasach Art-B Gąsiorowski i Bagsik pomagali organizować ich przeloty z Rosji via Okęcie.

Wraz z nimi i z Meirem Barem uruchamia nową telewizję dla 53 milionów, a jak dobrze pójdzie, to okragłego miliarda odbiorców na całym świecie. Ma to być kanał informacyjny. „BBC i CNN są za bardzo propalestyńskie. Nikt nie wie, co tutaj się naprawdę dzieje. Mój kanał będzie inny. My będziemy stać po stronie Izraela. Tu jest raj” – przekonywał izraelską dziennikarkę.

Kim jest naprawdę?

Gąsiorowski: Marzę, żeby się wyciąć z nurtu pogoni za tym wszystkim: telefony, jazdy, mnie to denerwuje. Biznes jest pewnym stanem niewolnictwa. To jak jazda na rowerze: albo się pedałuje, albo pada. A ja odkryłem dzisiaj, że życie polega na tym, żeby się nim cieszyć, bo to jedyna rzecz, jaką naprawdę mamy. Każdy dzień to jest coś fajnego.

– Brakuje mu Bagsika. Razem tworzyli niesłychanie sprawny mechanizm – mówi Edward Elter. – A teraz został sam i miota się bez sensu. Zawiera podejrzanę znajomości. To dobry chłopak, nie żaden bandzior. Mówiłem mu, że przecież jest lekarzem, ma trochę pieniędzy, mógłby otworzyć prywatną klinikę w Tel Awiwie i dobrze żyć. Ale pieniądze zdobyte zbyt szybko i zbyt łatwo demoralizują. Pogubił się.

MAGDA PAPUZIŃSKA

Korzystałam z artykułu Sary Lejbowicz-Dar, który ukazał się w piśmie „Haaretz”. Serdecznie dziękuję pani Wawce Elter za przetłumaczenie hebrajskiego tekstu.

ZIEMIA Z NIEBA

Portret planety u progu XXI wieku

Yann ARTHUS-BERTRAND FOTOGRAFIA



Photo: © Yann Arthus-Bertrand

Warszawa Park Łazienkowski Ogród Botaniczny UW

piątek 7 czerwca 2002, godz. 20.00,
wystawa czynna codziennie całą dobę do 21 lipca 2002

Wystawa pod honorowym patronatem UNESCO
oraz małżonki Prezenta RP pani Jolanty Kwaśniewskiej
Projekt został zrealizowany dzięki szczególnej pomocy
Fujifilm, Air France, Corbis, Eurocopter
i Institut Geographique National - Francja

współpraca organizacyjna
Łazienki Królewskie
Ogród Botaniczny UW
Uniwersytet Warszawski
Miasto Stołeczne Warszawa

główny sponsor

CITROËN

organizator
Światowid Sp. z o.o.
ul. Merliniego 2
02-311 Warszawa
tel. +48 22 646 39 60

sponsorzy

 Świat Książki

platan group

VIDEOWALL

 WWF

ENERGIE

patronat medialny

 PRZE KRAJ

 2

 TVP3

 gazeta

 BIS

 Radio dla Ciebie

 Kwartalnik
fotografia

www.yannarthusbertrand.com

www.ziemiaznieba.pl

www.swiatowid.cc



Milion żołnierzy na granicy i broń nuklearna w arsenałach obu krajów: Indie i Pakistan przygotowują się do konfrontacji, która może się przerodzić w wojnę atomową

Odwróceni do siebie plecami premier Indii i prezydent Pakistanu na ostatniej konferencji państw azjatyckich w Ałma Acie – to najlepszy dowód na to, jak napięta jest sytuacja w Kaszmirze. Nikt w regionie nie ma pomysłu na zażegnanie konfliktu, a mediacje międzynarodowe nie przynoszą rezultatu. Próbowali Amerykanie, próbowali Rosjanie, próbowali Brytyjczycy. Wszystko na nic.

– Do tanga trzeba dwojga – tak premier Indii Atal Behari Vajpayee zbył brytyjską propozycję utworzenia na granicy zwaśnionych państw wspólnych patroli wojskowych. Pocieszające może być tylko to, że codzienna wymiana ognia na granicy stała się niejako rytuałem akceptowanym bez emocji przez rządy Indii i Pakistanu.

W połowie ubiegłego tygodnia znowu zabłysło światło w tunelu. Okazuje się bowiem, że konflikt indyjsko-pakistański o Kaszmir ma swoją logikę. To nerwowe czekanie na ruch przeciwnika. A ten najwyraźniej nie kwapi się pierwszy do ataku. – Ta wojna nie musi wybuchnąć – skomentował sytuację amerykański sekretarz stanu Colin Powell.

Na razie jedynymi ofiarami wojny są smażący się w słońcu milion żołnierzy obu stron i tysiące uchodźców z Kaszmiru. 14-letnia Anjali, uciekinierka z granicy, powiedziała sieci BBC, że w ciągu ostatnich kilku lat opuściła dom czterokrotnie. Za każdym razem nie miała pojęcia, kiedy wróci. Tym razem również nie wie. Rozumie jednak, że wojna to zasłona dymna. Zasłona, za którą schować można całkowitą niemoc świata wobec tego trwającego pół wieku konfliktu.

MICHAŁ WÓJCIK

Na zdjęciu: Pakistańscy muzułmanie palą kukłę premiera Indii Atala Behari Vajpayee. Lahore, maj 2002

Wojna już prawie atomowa

Apokalipsa w rajskim ogrodzie

ANDRZEJ KRAJEWSKI

Na styku Indii, Pakistanu i Chin leży Kaszmir, w którym od ponad 50 lat prawie nieustannie toczy się wojna. Dziś do generalnej rozprawy o Kaszmir znów szykuje się Delhi i Islamabad. A jeszcze sto lat temu wielkie ogrody na terenie tego kraju określano były trzema słowami – raj na ziemi

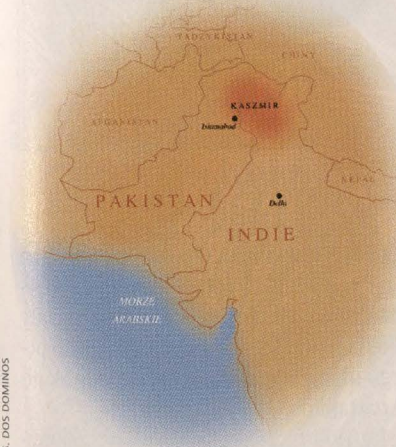


Odprawa oddziałów pakistańskich przed wymarszem na granicę z Indiami. Maj, rok 2002

Przyczyn nieszczęść tej ponoć najpiękniejszej części subkontynentu należy szukać u zarania niepodległych Indii i Pakistanu. Oba te kraje przed II wojną światową były jedną kolonią brytyjską, w której mieszkało około 400 milionów ludzi. Z tego 250 milionów stanowili hindusi, 90 milionów muzułmanie, 6 milionów sikhowie, a resztę pozostali wyznawcy niezliczonych religii i sekt. Partią, która chciała reprezentować wszystkich mieszkańców kolonii, był założony w roku 1885 wspólnie przez hindusów i muzułmanów Kongres Narodowy. Sprzeczne interesy tych społeczności i konflikty religijne doprowadziły jednak po I wojnie światowej do powstania konkurencyjnej Ligi Muzułmańskiej.

Tragiczna dekolonizacja

Po II wojnie światowej stojąca na progu bankructwa Wielka Brytania uznała, że nie ma sensu wydawać pieniędzy podatników na utrzymanie dominacji w Indiach. Tym bardziej że o niepodległość dopominał się Kongres Narodowy na czele z Jawaharlalem Nehru oraz duchowym przywódcą całego ruchu Mahatmą Gandhim. Londyn zdecydował się na stopniową dekolonizację swojej „perły w koronie”.



Pod koniec roku 1945 przeprowadzono powszechne wybory do Zgromadzenia Centralnego. Nie były one typowe, gdyż podzielono kraj na kurie według kryteriów etnicznych i religijnych, zaś każda z tych jednostek miała określoną pulę mandatów. W kuriach muzułmańskich Liga zdobyła wszystkie miejsca poselskie – łącznie 497. Jednak Zgromadzenie zdominowane zostało przez posłów Kongresu Narodowego, który miał ich 930. W zamysle projektodawców był to wstęp do tworzenia federalnego ustroju niepodległych Indii.

Tymczasem muzułmanie wcale nie chcieli zamieniać dominacji brytyjskiej na hinduską. Parli do utworzenia własnego państwa – Pakistanu. Sytuacja szybko wymknęła się spod kontroli. Wzajemna nienawiść hindusów i muzuł-

manów podsycana przez Kongres Narodowy i Ligę Muzułmańską rozpalila tłumy.

16 sierpnia 1946 r. w Kalkucie muzułmanie rozpoczęli rzeź, mordując kilka tysięcy hindusów. Nie pomogły apele Gandhiego o odstąpienie od zemsty – jego zwolennicy nie pozostali dłużni i walki etniczne ogarnęły całe Indie Północne. Do dziś nie udało się oszacować, ile ofiar padło w ciągu następnych dwóch lat. Różne źródła podają od 600 tysięcy do dwóch milionów.

– To jest w historii świata zdarzenie nieporównywalne z niczym i muszę ze wstydem spuścić głowę – zdążył wyznać kilka miesięcy przed własną śmiercią Mahatma Gandhi. Sam zginął w styczniu 1948 roku z rąk fanatycznego hinduskiego zwolennika „Wielkich Indii”.

Bezradni przywódcy Kongresu Narodowego zgodzili się na podział kraju. Niepodległy Pakistan powstał oficjalnie 14 sierpnia 1947 roku, dzień później swoje święto obchodzą Indie. Utworzenie tych państw nie rozwiązało jednak problemów subkontynentu, bo narzucone autorytarnie, za pomocą mapy i kątowników, granice (wytyczone przez brytyjskiego urzędnika) musiały wywołać jedną z największych w historii wędrówek ludów. W strachu przed pogromami ponad sześć milionów muzułmanów przeszło do Pakistanu, a pięć milionów hindusów i sikhów powędrowało do Indii. Wzajemna nienawiść tych społeczności tylko się pogłębiła.

Prowincja wszystkich sporów

Kaszmir to wielki cypel wrzynający się w głąb Pakistanu. To tędy biegł niegdyś Jedwabny Szlak, a wśród lasów, gór i jezior prywatne ogrody zakładali Wielcy Mogołowie. W roku 1947 państewko to rządzone przez maharadzę Hari Singha składało się z Kaszmiru właściwego, Jammu, Gilgitu, Baltistanu, Ladakhu i Poonch. Aż 80 procent ludności stanowili muzułmanie, lecz nie wszyscy chcieli przyłączenia do Pakistanu. Społeczność tę dzielili sympatycy Muzułmańskiej Konfederacji Kaszmiru (propakistańscy) oraz ugrupowania szejka Abdullaha – sojusznika Kongresu Narodowego.

Już w parę miesięcy po powstaniu Pakistanu kraj Poonch ogłosił secesję, co skończyło się zajęciem prowincji przez przybyłych z północy wolnych strzelców pakistańskich. Przez moment wydawało się, że do wielkiego sąsiada przyłączona zostanie stolica Kaszmiru – Srinagar. Maharadża Hari Singh zaapelował wówczas do Indii o pomoc. Wojska indyjskie wkraczały związane obietnicą, iż po interwencji rozpiszą plebiscyt, a miejscowa ludność sama wybierze swój państwowy status. Plebiscytu nigdy jednak nie przeprowadzono, za to usunięto maharadzę i powołano na stanowisko premiera Kaszmiru przyjaznego Indiom szejka Abdullaha. Oczywiście Pakistan łatwo się nie poddał i walki

NOWOŚĆ
S.P. RECORDS

DISCO CHAOS
NOWA FALA 2002



Super Girl & Romantic Boys, Blondyni, Kolor Monitor, Procesor Plus, Lady Electra, Martha O.Bit, dobry Robot, adol, a także archiwalne nagrania Królów Życia to istniejąca, żywa scena, na jednej płycie po cenach kryzysowych. Słabo.

Twardziele undergroundu: 1 dirty Dj Kostek, Fala Falkowski, Dzik, Fagot i inni grają i śpiewają piosenki o miłości. Brutal romantic, elektro, new romantic, new wave, punk, disko, neopolo nie wiadomo o co chodzi ale można to zanuć i zatańczyć.

SP RECORDS
bez obciachu prezentuje scenę, o której nie słyszałeś, ale śnisz.

PRZE KRÓJ **fluid** **wp.pl** **radiostacja**



Ćwiczenia kobiecych regiméntów do walki z Indiami. Dacca w Pakistanie, rok 1965

o prowincję trwały do stycznia 1949 roku, kiedy to ONZ doprowadziła do zawieszenia broni.

Wymuszonego zobowiązania do plebiscytu po obu stronach frontu nigdy nie zrealizowano i jedna trzecia Kaszmiru pozostała w rękach pakistańskich, a reszta pod władzą Delhi.

Stale wybuchające walki na terytorium tej prowincji spowodowały, iż w roku 1953 Rada Bezpieczeństwa ONZ zmusiła Indie i Pakistan do porozumienia w sprawie referendum na tym terenie. Szybko okazało się, że oba kraje znów grają na zwłokę i wcale nie zamierzają dotrzymać zobowiązań, zaś rok później po hinduskiej stronie tamtejsze Zgromadzenie Konstytucyjne uchwaliło – zgodnie z wolą Delhi – oficjalne przyłączenie do Indii.

Tłący się konflikt wybuchał znów, gdy tylko jeden z przeciwników okazywał słabość. W roku 1962 Indie poniosły klęskę w krótkiej wojnie z Chinami, tracąc na ich rzecz część Kaszmiru, co od razu wykorzystał Pakistan, podsycając ruchy separatystyczne po drugiej stronie granicy. Narastające wrzenie wśród muzułmanów i posunięcia władz indyjskich doprowadziły do kolejnej wojny. Dywizje pancerne i lotnictwo Pakistanu ruszyły przez linię demarkacyjną

w sierpniu 1965 roku. Krwawe i zacięte walki ze zmiennym powodzeniem obu stron trwały do września, gdy wielkie mocarstwa wymusiły zawieszenie broni.

Niekończąca się wojna

Pokój w regionie próbował zaprowadzić nawet Związek Radziecki, widząc w Indiach swego naturalnego sprzymierzeńca przeciwko Chinom. Porozumienie między Indiami a Pakistanem wypracowane na konferencji w Taszkencie (rok 1966) zdawało się kończyć wojnę, jednak były to złudne oczekiwania.

Do władzy w Indiach doszła Indira Gandhi i przy pierwszej okazji wykorzystała słabość Pakistanu zrujnowanego konfliktem – gdy kraj ten rozpadał się na część zachodnią (obecny Pakistan) i wschodnią (obecny Bangladesz), Indie wspierały secesjonistów ze wschodu. A czyniły to bardzo zdecydowanie, gdyż na początku grudnia 1971 roku ich wojska wkroczyły do Bangladeszu. Spowodowało to uderzenie Pakistanu na Indie. Wojna trwała dwa tygodnie, ale tym razem zwyciężyli Hindusi, gromiąc armię rządową Pakistanu w Bangladeszu i zdobywając

dalszą część Kaszmiru. Po trzeciej wojnie o Kaszmir w roku 1972 pod wpływem międzynarodowego nacisku oba państwa podpisały w Simli układ, w którym zobowiązały się do pokojowego uregulowania sporu, co jednak nigdy nie nastąpiło.

W roku 1974 Indie dokonały pierwszej próby z bronią nuklearną – i to na wiele lat odebrało Pakistanowi chęć do rozpoczynania konfliktu. Jednak pod koniec lat 80. także ten kraj okazał się gotowy do produkcji własnej bomby atomowej. W połowie lat 80. odnowił się spór o Kaszmir. Na początku wybuchły graniczne starcia, które zaowocowały walkami wewnętrznymi w samej prowincji. Zarówno Muzułmański Front Wyzwolenia Jammu i Kaszmiru, jak i nacjonaliści hinduscy nie unikali terrorystycznych metod. Te niekończące się walki trwają tam do dziś, a wydaje się, że po latach narastania napięcia bezpośredniej wojny chcą nie tylko Indie, lecz także Pakistan. Tym razem konflikt o Kaszmir może mieć jednak charakter szczególny, bo oba państwa dysponują bronią atomową. Czy w raju na ziemi dojdzie do nuklearnej apokalipsy?

ANDRZEJ KRAJEWSKI

Czyściec jest gorszy

ANDRZEJ STASIUK

Mieszka w najgorszej i najtańszej dzielnicy Londynu. Zajmuje dwa pokoje. W żadnym z nich nie ma ani jednego czystego czy porządnego mebla, wszystko jest połamane, zużyte, podarte, pokryte grubą warstwą kurzu (...). Rękopisy, książki i gazety leżą wśród zabawek dzieci. Ścinki i skrawki z koszyka do szycia jego żony, filiżanki z wyszczerbionymi brzegami, brudne łyżki, noże, widelce,

lampy, kałamarz, szklanki, fajki, popiół z tytoniu – wszystko leży w stercie na jednym stole (...). Jest tam fotel o trzech nogach oraz inny, przypadkiem jeszcze cały, na którym dzieci bawią się w gotowanie. To ten oferuje się gościom, ale bez zdjęcia dziecięcych potraw. Wszystko to zdaje się nie krępować Marksa i jego żony”.

Tak, chodzi o Marksa, o Karola Henryka. Postanowiłem o nim napisać, ponieważ w marcu



minęła rocznica jego śmierci, a w maju – 184. rocznica urodzin. Jedna i druga przeszły niezauważone.

Karol Marks najprawdopodobniej przebywał w czyścicu i stąd to zapomnienie. Gdyby znajdował się w piekle, zapewne częściej by go wspomniano. Jego czyścicowe apartamenty nie powinny specjalnie się różnić od tych opisanych wyżej. Kto wie, czy nie zrekonstruowano tam specjalnie dla niego całej Dean Street i całego Londynu z połowy XIX wieku. Wszystko po to, by uwięzić go w czasie i miejscu, których nienawidził tak mocno, że przepowiedział koniec wszelkich dziejów i zagładę wszystkich starych miejsc.

Tak sobie go czasem wyobrażam: głodnego, brudnego, pogrążonego w chaosie rozpadających się rzeczy, otoczonego rupieciami, skazanego na fetor rozkładającej się materii, w której widział jedyną szansę zbawienia. Stary, kaszlący, z brodą pełną fajczanego popiołu zapisuje kolejne kartki i patrzy z obawą, jak ubywa świecy i atramentu w kałamarzu. Ubytek, strata, zanik i rozpad będą trwały nieskończenie długo, ponieważ jego plany były w istocie projektem wieczności. Nie przychodziło mu przecież do głowy, że ktoś może dodać coś nowego do tego, co powiedział.

„Czasem w lombardzie zastawiano ubrania całej rodziny. Musieli wtedy spędzać godziny bez światła i jedzenia, przerywane tylko wizytami natrętnych wierzycieli (...)”.

Jeżeli zaświtały są odwrotnością świata, to prawdopodobnie przez okno swojego dwupokojowego czyścica zamiast wierzycieli Marks widział swoich dłużników, a w każdym razie tych, którzy się za dłużników uważali. Oglądał na przykład Nicolae Ceaușescu – idiotę i szewca – który zużywał tysiące garniturów, ponieważ nigdy nie wkładał drugi raz tego samego, a swojego czarnego labradora karmił jedzeniem sprowadzanym specjalnie z Londynu. Tak, z tego Londynu, który przetrwał tylko po to, by żywić psa dyktatora.

Przyglądał się też, jak Mao Zedong każe w swoim chałupniczym cesarstwie zbierać garnki, gwoździe, klamki, podkowy i motyki, wszystkie żelazny drobiazg, żeby przetopić go na stalowe sztaby w wiejskich dymarkach. Wszystko po to, by wyprowadzić Wielką Brytanię w dziedzinie hutnictwa.

Ten korowód kretynów i zbrodniarzy, karawał głupców i szaleńców okazał się rzeczywistą międzynarodówką ludzkości. Jeśli jest piekło, wszyscy tam skończyli i będziemy ich pamiętać choćby ze strachu. Tymczasem w czyścicu jest tylko dopalająca się świeca, pusty kałamarz i nie działa poczta, którą Karol Marks mógłby wysłać kolejny manifest. Czyściec jest znacznie gorszy.

Cytaty pochodzą z: Isaiah Berlin „Karol Marks. Jego życie i środowisko”, przeł. Wojciech Orliński, Książka i Wiedza, Warszawa 1999.

RYŚ. KAMIL TARGOŚZ



Bezdomność krzepi



PRACĘ ANDRZEJA ŚWIELIKA SPOTOGRAMOWAŁ STEFAN GIGLIOWICZ

Znajdź miejsce, dogadaj się z właścicielem,
zawiadom innych przez Internet i już.
Galeria Bezdomna powstała w dwa tygodnie,
ściągnęła tłumy i wywołała entuzjizm
nie tylko w środowisku

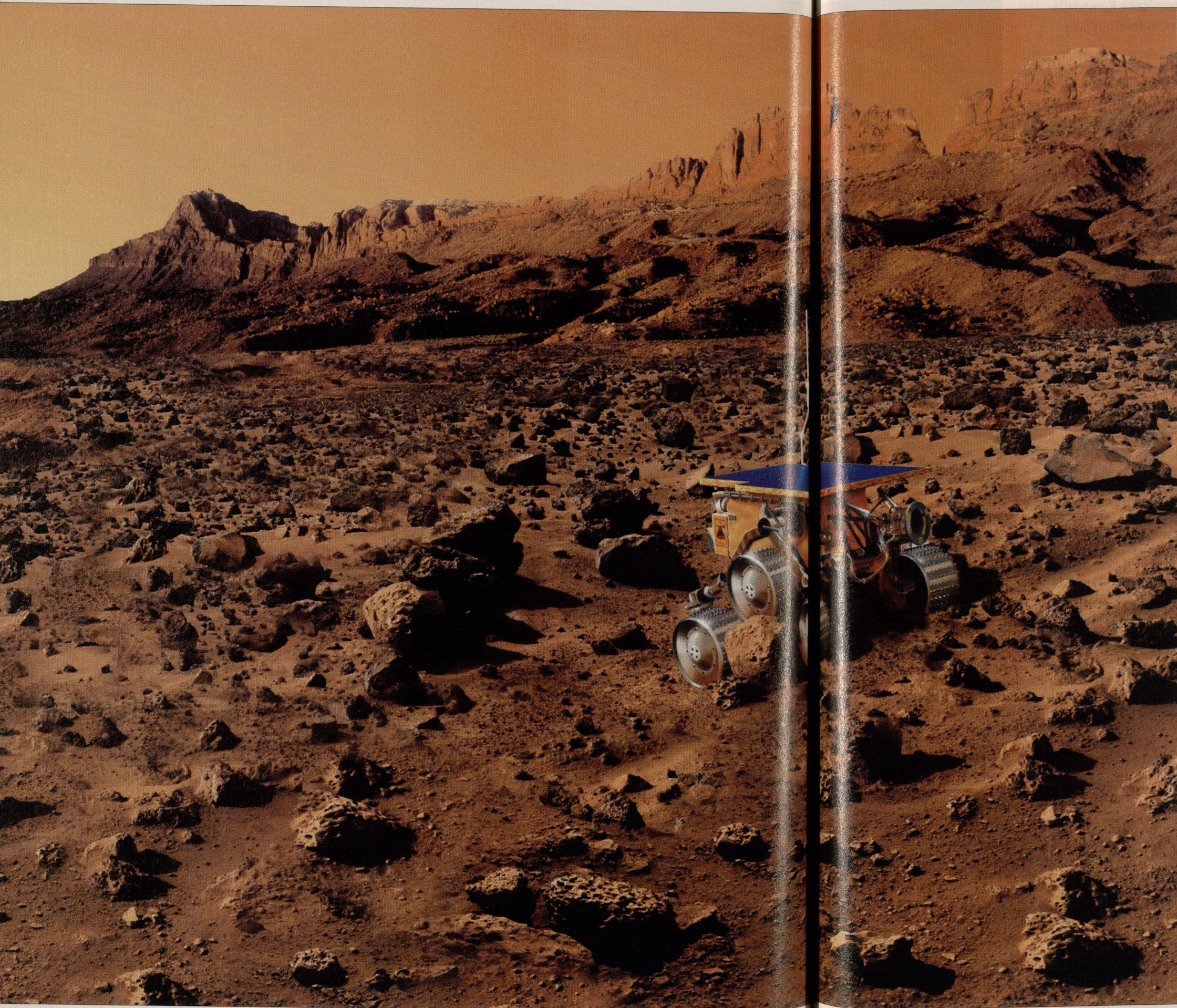
Zrób to sam – tak w skrócie można określić pomysł Tomasza Sikory i Andrzeja Świetlika na galerię fotograficzną.

Warszawska kamienica przy Złotej 1 – na przełomie maja i czerwca i na chwilę przed generalnym remontem – wypełniła się ponad setką fotografów. Znaleźli się wśród nich czołowi polscy fotograficy awangardowi, reklamowi, reportażyści obok ludzi zajmujących się na co dzień malowaniem, studentów i uczniów szkół plastycznych oraz amatorów.

W sierpniu Galeria Bezdomna pojedzie na zaproszenie do Stoczni Gdańskiej, potem

do Wrocławia. Wszyscy uczestnicy wystawy warszawskiej są zaproszeni do Gdańska. Z założenia prace mają się nie powtarzać. Nowi uczestnicy mogą się zgłaszać, wysyłając e-maila do Jakuba Winiarskiego (jakubwiniarski@poczta.onet.pl). Miejsce kolejnych wystaw zależy od samych autorów – wystarczy znaleźć opuszczony budynek, starą fabrykę etc., załatwić sprawy formalne i zawiadomić innych. Andrzej Świetlik apelował podczas otwarcia: „My znaleźliśmy pierwsze pomieszczenie – teraz wy!”.

KATARZYNA MACKIEWICZ



WALDEMAR SADOWSKI

Warunki zabudowy Marsa

Trzeba tylko tam dolecieć, zbudować bazy, posiać sztuczną trawę i za kilka dziesięcioleci będziemy mogli wybrać się na marsjańskie wakacje. Tylko kto za to zapłaci?

Kiedyś odkrywcy, docierając do celu, wołali: „Ziemia na horyzoncie!”. Dziś krzyczą: „Woda na planecie!”. Bez niej trudno sobie wyobrazić kolonizowanie nowych światów.

Dlatego naukowców z amerykańskiej agencji kosmicznej NASA tak ucieszyło odkrycie na Marsie ogromnych zasobów zamrożonej H_2O . Pomiary wykonane przez sondę Mars Odyssey wykazują, że pod pyłem pokrywającym powierzchnię Czerwonej Planety znajduje się gruba warstwa lodu. Posłuży on nie tylko do produkcji wody, z której będą korzystać przyszli osadnicy, lecz także paliwa rakietowego, które umożliwi im powrót na macierzystą Ziemię.

Kiedy? Być może już całkiem niedługo. Przygotowania do podboju trwają od dawna.

Za pieniądze podatników

„Ziemia jest kolebką ludzkości, lecz nikt nie pozostaje w kolebce

do końca życia” – stwierdził na przełomie XIX i XX wieku Konstanty Ciołkowski, rosyjski uczony polskiego pochodzenia, twórca naukowych podstaw astronautyki i pierwszy zwolennik tworzenia ludzkich osad w kosmosie. Działacze Mars Society – organizacji skupiającej poszukiwaczy kosmicznych przygód – twierdzą, że ludzie pojawią się na Marsie już za 10 lat. Przedstawiciele zachodnich agencji kosmicznych uważają, że trochę później. Rosjanie planują załogową wyprawę na Marsa w latach 2015–2020. Według ekspertów istnieją już podstawowe warunki techniczne do realizacji tego typu przedsięwzięcia.

Na razie najbardziej sprecyzowane plany ma NASA. Za rok wyśle na Marsa dwa roboty, które zajmą się poszukiwaniem wody i przeprowadzą dokładne badania klimatu. W tym samym roku ruszy misja „Mars Network”. W jej ramach na Czerwonej Planecie powstanie prawdziwa sieć łączności satelitarnej. W roku 2007 zostanie

tam uruchomione również pierwsze automatyczne laboratorium badawcze. Jednym z jego zadań będzie testowanie technik precyzyjnego lądowania. W tym samym roku naukowcy z NASA mają też zamiar wysłać na Marsa pierwszą roślinę - rzodkiewnik (*Arabidopsis thaliana*). Mniej więcej w tym czasie ruszą również małe misje zwiadowcze wyposażone w niewielkie i tanie lądowniki, a wkrótce potem seria bezzałogowych wypraw z udziałem robotów.

Ambitny program zaplanowała również Europejska Agencja Kosmiczna. W roku 2003 rusza misja „Mars Express” z lądownikiem Beagle 2. Głównym zadaniem wyprawy jest poszukiwanie śladów życia. Wykonane zostaną również zdjęcia powierzchni planety, badania atmosfery, gruntu i wiatru słonecznego. Z kolei w roku 2005 na powierzchni Marsa osiądą cztery lądowniki Netlander, które przeprowadzą specjalistyczne badania geofizyczne. Wszystkie te projekty powinny znacznie wzbogacić naszą wiedzę o Marsie.

Ale już dzisiaj wiadomo, że przebywanie na tej planecie jest niemożliwe bez nowych technologii. Po opuszczeniu statku kosmicznego i wyjściu ze skafandra człowiek przetrwałby najwyżej dwie minuty. Nie lada problemem będzie również sam przelot tam i z powrotem. Eksperci z NASA zakładają, że taka podróż potrwa około trzech lat. Odległość: 400 milionów kilometrów. Tysiąc razy dalej niż do Księżyca.

Realistyczny scenariusz przewiduje wysłanie najpierw bezzałogowej misji, która uruchomi fabrykę chemiczną do produkcji paliwa potrzebnego na powrót. Dopiero potem mogą tam wyruszyć ludzie.

Mars Society ocenia koszt wyprawy na 30 miliardów dolarów. NASA twierdzi, że będzie to kosztowało około 450 miliardów. Skąd taka duża różnica? Być może stąd, że NASA jest organizacją biurokratyczną i wydaje pieniądze podatnika.

Marsjańskie kaniony sięgają nawet na siedem kilometrów w głąb planety. Na satelitarnym zdjęciu widać Candor Chasma wchodzący w skład rozległego systemu kanionów Valles Marineris

Kosmiczna Kompania Wschodnioindyjska

„Nadszedł czas, w którym ludzkość powinna podjąć próbę dotarcia na Marsa. Jesteśmy gotowi. To prawda, że Mars jest daleko, lecz jesteśmy obecnie znacznie lepiej przygotowani do wysłania ludzi na Czerwoną Planetę, niż byliśmy przygotowani do lotu na Księżyc 30 lat temu” – czytamy w deklaracji Mars Society.

Towarzystwo zostało założone w roku 1998 w USA przez Roberta Zubrina. Obecnie liczy cztery tysiące członków i ma już oddziały w wielu krajach świata, między innymi w Polsce. Zubrin, kosmiczny Don Kichot, pisarz i przedsiębiorca, zaczynał jako inżynier w firmie Lockheed Martin. Potem założył własne przedsiębiorstwo Pioneer Astronautics, które jest między innymi podwykonawcą NASA.

Zarząd Mars Society chce uczynić wyprawę przedsięwzięciem komercyjnym. Poszukuje środków z różnych źródeł: zwraca się do bogatych sponsorów (takich jak Bill Gates), do koncernów mediowych, którym chce sprzedać wyłączność na transmisję, oraz do milionów zwykłych mieszkańców Ziemi, którzy mogliby na przykład przekazywać po sto dolarów w formie datków lub zakupu akcji. W przedsięwzięciu mogłyby wziąć udział firmy i banki, licząc na przyszłe zyski.

Z najnowszych badań wynika zresztą, że w podobny sposób finansowano wyprawy, których celem było opanowanie Nowego Świata w XV i XVI wieku. Kolumb, Vespucci, Cortez i Pizarro otrzymywali środki na wyprawę od władców, ale tych finansowali bankierzy z północnych Włoch i Niemiec. Były to już typowe *joint ventures*, które można zastosować również do podboju Układu Słonecznego.

Program towarzystwa, który ma doprowadzić do lądowania ludzi na Czerwonej Planecie, został ujęty w projekcie „Mars Direct”. W dalszej perspektywie ma nastąpić zasiedlanie i eksploatacja ekonomiczna planety. Czyżby Mars Society chciało dorównać potęgzie i bogactwu Kompanii Wschodnioindyjskiej, której celem była kolonizacja Indii, Azji Południowo-Wschodniej i Dalekiego Wschodu?

MARS

Czwarta planeta Układu Słonecznego licząc od Słońca, znana już w starożytności i najlepiej zbadana. Posiada: dwa księżyce (Phobos i Deimos), najwyższą górę w Układzie Słonecznym (Olympic Mons, 26 kilometrów), dość surowy klimat (temperatura powierzchni waha się od -90 do 30 stopni Celsjusza), atmosferę rzadszą od naszej, dobę liczącą 24 godziny i 37 minut, znacznie dłuższy rok (686,7 dni), za to podobne do ziemskich pory roku

Niewykluczone. Założona w roku 1600 brytyjska kompania użyłaby nie tylko prawa do handlu surowcami ze zdobytych terenów, lecz także uprawnienia polityczne i administracyjne. W przypadku Marsa może być nawet łatwiej – jego eksploatacja nie rodzi bowiem problemów moralnych, gdyż nie trzeba będzie nikogo podbijać, wyzyskiwać ani nawracać. Wystarczy tam dotrzeć i osiąść.

Nowy, niezbyt wspaniały świat

Na przybyszów z Ziemi czeka jednak planeta, na której gleba jest zatruta, wody jest mało, panuje bardzo niskie ciśnienie, silne promieniowanie ultrafioletowe, nieludzkie różnice temperatur i psia pogoda. Optymiści z Mars Society twierdzą, że technologia może pokonać wszystkie te problemy.

Na razie nie ma jeszcze silnika rakietowego, który umożliwiłby przeniesienie statku, paliwa, żywności, sprzętu i załogi oraz zapewniłby bezpieczny powrót. Te o znany nam napędzie chemicznym

jądrową. W tym ostatnim przypadku jeden gram paliwa dostarcza aż 90 tysięcy kilowatogodzin energii – odpowiednik 10 ton węgla. Ale na ten napęd trzeba poczekać jeszcze wiele lat. Możliwe byłoby wykorzystanie reaktorów jądrowych, gdyby nie względy bezpieczeństwa.

Poważny problem to promieniowanie kosmiczne – rozpadzone cząsteczki, które uszkadzają ludzki kod genetyczny. Efektem może być nowotwór. Zdaniem prof. Gregory’ego Benforda z Mars Society udział w kilkuletniej wyprawie zwiększy ryzyko zachorowania na raka o pięć procent, podczas gdy palenie papierosów – na Ziemi – zwiększa to ryzyko o kilkaset procent. Wiadomo już jednak, że promieniowanie kosmiczne prowadzi także do szybszego starzenia się organizmu.

Ochronę zapewnić może warstwa wody umieszczona w ścianach statku. Z kolei na Marsie wystarczy pokryć dachy grubą warstwą marsjańskiego gruntu. Naukowcy prześcigają się ostatnio w wymyślaniu habitatów, czyli pomieszczeń dla ludzi na obcych planetach. Od dłuższego czasu trwa również budowa i testowanie pojazdów, robotów, instrumentów pomiarowych, turbin wiatrowych, a nawet... cegieł z gruntu marsjańskiego.

Towarzystwo zatrudniło też grupę ochotników do testowania

warunków życia na Marsie. Poszukiwane były osoby w wieku od 18 do 60 lat, w dobrej kondycji fizycznej. Rasa, wyznanie, kolor skóry, płeć i narodowość nie miały znaczenia. Testy potrwały do końca sierpnia w dwóch stacjach badawczych: Mars Desert Research Station w Utah oraz Flashline Mars Arctic Research Station na Devon Island.

Szanuj zieleń!

Początkowo pionierzy będą mieli na Marsie bardzo ciężkie warunki. Nie będą mogli opuścić na dłużej swoich habitatów, a jeżeli już – to w hermetycznych pojazdach ciśnieniowych. Ale docelowo każdą planetę można przekształcić w przyjazną dla życia oazę. Procesy te naukowcy nazywają terraformowaniem. Podstawy teoretyczne takiego przedsięwzięcia znane są od blisko półwiecza.

Jest to po prostu stworzenie na jałowej planecie biosfery z odpowiednimi dla znanych nam organizmów żywych temperaturami, ciśnieniem, atmosferą. Niezbędna jest też bariera chroniąca przed promieniowaniem kosmicznym. Mars ma wszystkie cechy planety, na której może istnieć życie: rozmiary, odległość od Słońca, grawitację, odpowiednią orbitę i związki chemiczne – dwutlenek węgla,

azot i wodę. Wystarczy mu tylko trochę pomóc.

Tworzenie przyjaznego ekosystemu można zacząć od zwiększenia emisji gazów cieplarnianych, co doprowadzi do uruchomienia aż za dobrze nam znanego efektu cieplarnianego, a więc – podgrzania atmosfery. Jednocześnie powinno nastąpić jej zagęszczenie i zwiększenie ciśnienia. Naukowcy opanowali już w swoich laboratoriach proces fotosyntezy. Na początek można więc „zasiać” na Marsie sztuczne rośliny, które pochłaniałyby dwutlenek węgla, produkując jednocześnie tlen i energię.

Następnie można będzie wypuszczać pierwsze mikroorganizmy i sadzić naturalne rośliny. Kiedyś taki ekosystem stanie się układem samoregulującym, podobnie jak termostat w żelazku albo jak Ziemia. To będzie ogromne i trudne przedsięwzięcie. Ale w podobny sposób dzięki budowie sztucznych systemów irygacyjnych powstawały również pierwsze wielkie cywilizacje. Biorąc pod uwagę różnice w kulturze technicznej, terraformowanie Marsa nie będzie dla ludzkości większym przedsięwzięciem niż nawadnianie pustyni w starożytnej Mezopotamii.

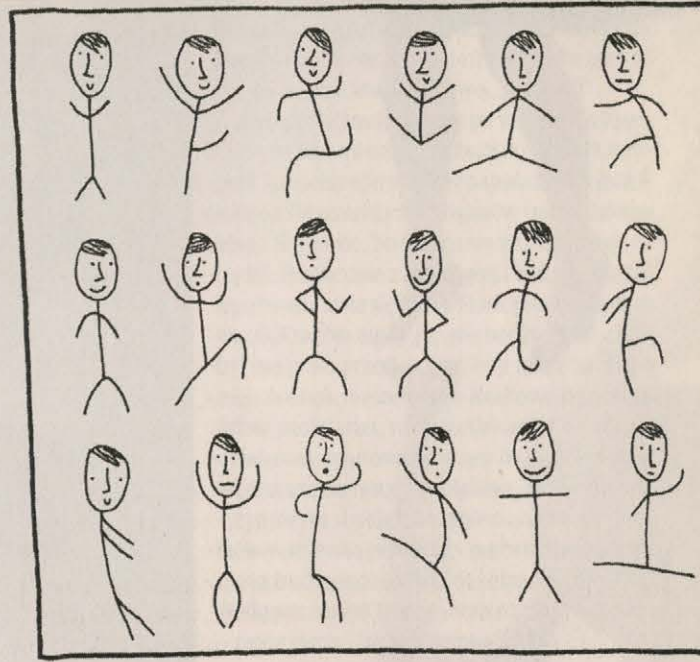
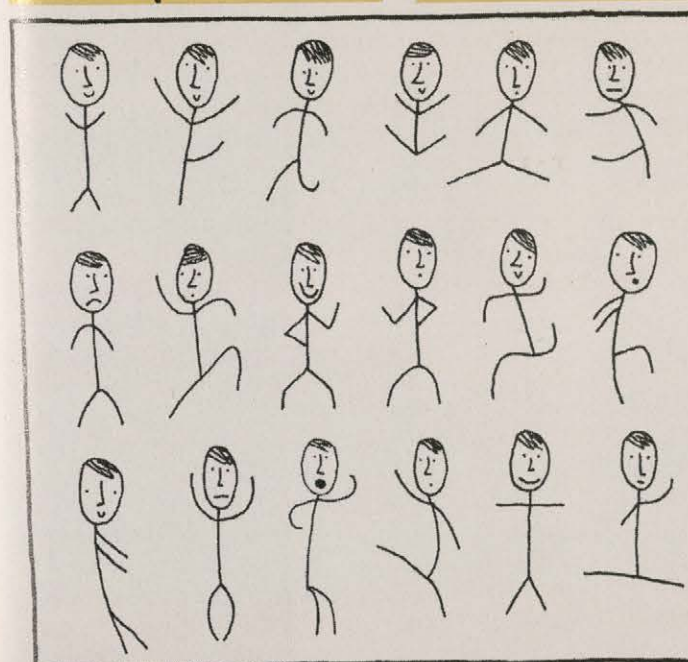
Na pewno zaś będzie znacznie ważniejsze. Bo na naszej planecie zaczyna się powoli robić ciasno.

WALDEMAR SADOWSKI

musiałyby być bardzo duże i drogie. Należałoby zabrać ze sobą w drogę ogromne ilości paliwa. O wiele tańsze byłyby silniki plazmowe albo napędy wykorzystujące fuzję

WYTEŻ WZROK...

...i znajdź 10 szczegółów, którymi różnią się te dwa rysunki Bohdana Butenki. Rozwiązanie na s. 73.



Przekrój Budapesztu

Jak zaszać i przetrwać
w stolicy naszych
węgierskich bratanków
radzą

Stanisław Mancewicz
i Andrzej Saramonowicz

Atmosferą tego miasta można naprawdę odetchnąć, ale raczej poza budapeszteńskimi Krupówkami, czyli ulicą Vaci, albo naddunajskimi bulwarami. Tam oddychają Japończycy, Amerykanie i Niemcy. Chcąc uniknąć trzasku migawek, błysku kart kredytowych czy szelestu dresów, należy – tak jak my – zanurzyć się w cygańskim getcie rozciągającym się w dwóch ekskluzywnych kiedyś dzielnicach, jadać w cichych restauracjach prowadzonych właściwie tylko dla emerytów, wykapać się w łaźni Lukácsa w Budzie, szaleć przy etnojazzie w mrocznych podworcach uniwersytetu oraz tańczyć do upadłego w domach tańca, gdzie w sobotnie noce setki budapeszteńczyków kultywują w strugach potu pozbawioną cepelii ludowość.

Gypsytown, czyli miasto prawdziwe

Trudno w dostępnych przewodnikach turystycznych znaleźć wzmiankę o tak zwanej dzielnicy cygańskiej. Może dlatego, że czasy poprawności politycznej dosięgły już tego typu literatury, ale też i niewątpliwie dlatego, że sami budapeszteńczycy nie chwalać się z pewnością tym miejscem. To dla nich problem wieloraki, bo i polityczny, i kulturowy, i wreszcie turystyczny. Trudno wszak pogodzić się ludziom z miasta turystycznie chyba najlepiej się sprzedającego w tej części Europy z tym, że niemalże w samym centrum, w niezwykle kiedyś ekskluzywnym kwartale, jest równie niebezpiecznie jak w grze komputerowej „Quake II”.

Władze komunistyczne po wojnie wyeksplodowały stąd mieszcuchów, a do ich wykwiutych kamienic sprowadziły najtańszych robotników na Węgrzech, czyli Cyganów (nie będziemy pisać: Romowie, bo nie mamy niczego złego na myśli). Porównanie z Krakowem i traumą, jaką dla tego miasta stała się Nowa Huta, jest nieodparte; wszak Kraków nigdy już nie będzie tym, czym był nie tylko przed wojną, lecz także zaraz po niej. Jednak nie centrum Krakowa ogarnięte przez proletariatus, nie przedmieścia (teraz już dzielnice) opanowane przez ludność wiejską wędrującą do huty za chlebem, ale Kazimierz – żydowska dzielnica zamieniona przez nazistów w miejską pustynię – najbardziej przypomina budapeszteńską Józsefváros. Tę część Budapesztu od Kazimierza różni wielkość i – rzecz jasna – architektura.

Jeden z budapeszteńskich domów tańca. Początek zabawy.

To nie malutka dzielnica, lecz niemalże jedna czwarta centrum. To nie prowincjonalna dziura na peryferiach, ale jedna ze stolic monarchii. Ogromne domy z mieszkańcami z innego świata i z innej skali.

Przy oszałamiającym rozmachu budapeszteńskiej Józsefváros, czyli „ósemki” (dzielnice są oznaczane numerami), wiedeńska secesja czy architektura zagrzebska wypadają skromnie. Co ważne, ten kawałek, a raczej kawał, Budapesztu nie był tknięty żadnymi późniejszymi architektonicznymi pomysłami czy nowoczesnościami. Właściwie każda kamienica, sień czy podwórko nadają się na plan filmu z epoki. Wiąca się na każdym kroku secesja jest pozbawiona cukierkowości miasta odnowionego za unijne pieniądze, nad czym Węgrzy mogą boleć, ale turyście spragnionemu autentyczności, a nie atrapy, musi się tu naprawdę podobać.

Cyganie są w Józsefváros wszędzie. Mają tu nawet swój parlament – mały i dość skromny jak na tę dzielnicę budynek mieszczący się przy ulicy Tavaszmező. Ulicą tą możemy dojść do placu Mátyás ter, który jest centrum rozrywek zarówno dziennych, jak i nocnych. Nasi budapeszcieńscy znajomi zdecydowanie odradzali nam wieczorne spacerować po tej okolicy, zwłaszcza w klasycznym dla turysty odzieniu i rynsztunku. „Planu miasta nie wyciągać, aparat mieć schowany (chyba że aparat słuchowy), gotówki nie przeliczać” – ostrzegali.

I rzeczywiście – jak się sami przekonałismy – obcość przybysza jest tu rejestrowana błyskawicznie przez siedzące w oknach panie i opartych o bramy młodzieńców. Auta miejscowych na widok obcego zwalniają i – rada to czysto instynktowna – lepiej się im nie przyglądać. Los nam jednak sprzyjał. Poza jedną, szczęśliwie nieudaną, próbą pozbawienia nas – o trzeciej w nocy – dóbr materialnych przez grupę miłośników *bodybuildingu*, nic złego nam się nie stało. Czytelnikom „Przekroju” rekomendujemy jednak wycieczki po tym kwartale w świetle słonecznym.

Sąsiadująca z „ósemką” dzielnica Ferencváros, czyli „dziewiątka”, ma podobną historię, jest jednak skromniejsza i da się zauważyć pewne kroki rewitalizacyjne. Poburzone rudery, a w ich miejsce postawiono nowoczesne plomby, architektonicznie, niestety, mniej ekscytujące. Są tu kawiarenki i sklepy prowadzone przez młodych ludzi, którym najwyraźniej zła opinia obu dzielnic nie przeszkadza. Nadają tym okolicom klimat podobnie miły jak zasiedlający właśnie krakowski Kazimierz artyści i studenci. Dotarcie do i z obu dzielnic nie jest żadnym problemem – jak zresztą dotarcie w Budapeszcie dokądkolwiek – fantastycznie funkcjonują bowiem metro i tramwaje. Karta uprawniająca do poruszania się środkami komunikacji miejskiej przez 72 godziny kosztuje 4,5 tysiąca forintów (około 70 złotych) i można ją kupić w biurach informacji turystycznej. Pokazując Budapest Kártya, mamy też prawo do kilkunastoprocentowych zniżek

w ponad stu miejscach – od muzeów po restauracje, puby i cukiernie.

Sprawdziliśmy to, lokując się w Ferencváros w niewielkim hoteliku Thomas przy ulicy Liliom, pięć minut od metra (linia M3, stacja Ferenc Krt.). Wszędzie dało się dojechać bez kłopotu. Wspominamy o tym hotelu także dlatego, że – jak na Budapeszt – ceny ma umiarkowane: około 200 złotych za pokój dwu- lub jednoosobowy. Niestety, uczciwie trzeba wyznać – śniadania wliczone w koszt pokoju są beznadziejne.

„Przekrój” tańczy, czyli transcendencja i ekstaza

Najlepszym sposobem walki z kulinarną zdradą hotelu Thomas okazało się przesypianie godziny, do której śniadania są wydawane. By wylegiwania się na organizmie nie wymuszać, ale uczynić je naturalnym, zdecydowaliśmy się – co rekomendujemy z najwyższą powagą – przedłużyć nocną aktywność rozrywkową do granic interwencji kardiologicznej.

Budapeszt daje tu szerokie pole. Postanowiliśmy skoncentrować się jednak na tych formach rozrywki, które mają charakter endemiczny i występują jedynie w tej części świata. Dlatego czytelników żądnych informacji na temat miejscowego rynku narkotykowego i prostytucji odsyłamy do innych periodyków. Nas porwał taniec.

Współcześni Polacy – będący w ogromnej części progeniturą Antków i Ślimaków podszywającą się pod potomków Kmiciców i Skrzetuskich – mają własny folklor jeśli nie w pogardzie, to w lekceważeniu. Poza góralszczyzną reprezentowaną przez Golec uOrkiestrę w szerokim obiegu nie istnieje nic, bo przecież u popularnych Brathanków polskich korzeni jest tyle, ile w drzewie bananowca. Węgrzy tymczasem wywodzą swoją współczesną tożsamość właśnie z ludowości. Folklor jest tu żywy i silny – dlatego bez wstrętu uznają go za swój coraz to nowe pokolenia.

By się o tym przekonać, wystarczy pójść w weekendowy wieczór do jednego z wielu z Budapeszcie domów tańca. Byliśmy przygotowani na spotkanie grupy dziwaków z etnograficznym skrzywieniem. Jakież było nasze zdumienie, kiedy zobaczyliśmy ogromne rzesze ludzi o różnicowanej kondycji umysłowej i finansowej oraz w różnym wieku. Wszyscy zjawili się tam dobrowolnie, by – nieindukowani przez akcję miejscowego „Lata z Radiem” ani kampanię wyborczą partii chłopskiej – tańczyć ludowe figury do upadłego. Bez wahania wmieszaliśmy się w tłum, by przeżyć coś, czego próżno szukać w dyskotekach techno.

Wszystko zaczyna się około godziny 20. Zebrani grupują się wokół instruktorów, którzy uczą kroków. Zawsze przygrywa żywy zespół, muzykę mechaniczną traktuje się równie wrogo jak kiwi w gulaszu. Kiedy już kroki są jako tako oswojone, rozpoczyna się szaleństwo tańca.



Najstłynniejsza budapeszteńska łaźnia w hotelu Gellérta

FOT. CORBIS/FREE

Ostrzegamy – by dotrzymać kroku instruktorom, trzeba mieć kondycję niemieckich futbolistów. Nam nie zawsze się udawało, szczęśliwie pobliski bufet (woda mineralna, palinka gruszkowa, kanapki z salami – wszystko za grosze!) pozwalała uzupełniać pierwiastki śladowe. Jako serdecznie przyjmowani reprezentanci kraju nad Wisłą (w języku Madziarów Polak i Węgier to nie tyle „dwa bratanki”, ile „dwaj przyjaciele”) staraliśmy się przy tym godnie reprezentować kraj i redakcję. Wytrzymaliśmy do końca, czyli do czwartej rano, kilkakrotnie wychodząc ze śmierci klinicznej, co wzbudziło niekłamany szacunek miejscowych.

Takich domów tańca jest w Budapeszcie, jak wspomnieliśmy, sporo. Gdyby Państwo nie mogli ich odnaleźć, polecamy opisany powyżej przy Almássi Tér 6 (program imprez tanecznych można znaleźć na stronie www.almassy.hu, wstęp – 800 forintów, czyli jakieś 13 złotych).

Innym razem folklor dopadł nas znienacka. Pojmując z rozwieszonych po mieście kolorowych plakatów jedynie słowa: *ezoteria*, *erotika*, *alkohol* i *transcendencja*, trafiliśmy na muzyczny Mámor Fesztivál na dziedzińcach budapeszteńskiego uniwersytetu. Zasięgnawszy informacji u licznie reprezentowanej na miejscu płci



pięknej, dowiedzieliśmy się, że *mámor* to po węgiersku „ekstaza”, co tylko utwierdziło nas w przekonaniu, że dziennikarz (a zwłaszcza dwóch) potrafi znaleźć się w odpowiedniej chwili w odpowiednim miejscu. Kwestią czasu stała się już zatem odpowiedź na pytanie: jak osiągnąć ekstazę w Budapeszcie?

Mámor Fesztivál wykazał jasno, że środkiem niezawodnym jest mieszanina wieloprocentowych destylatów owocowych i równie uderzającej do głowy muzyki ludowej. Mieliśmy to szczęście, że trafiliśmy na fenomenalnie grający zespół Ghymesh łączący energetyczny jazz spod znaku Steps Ahead czy Spyro Gyry z ludowym pierwiastkiem, nad autentycznością którego lęz wruszenia z pewnością uroniłby Oskar Kolberg. W węgierskim folku jest tak ogromna witalność, że nawet żona Lota musiałaby się poruszyć. Setki ludzi wyglądających na fanów grupy Marilyn Manson skakały więc i śpiewały ludowe przyspiewki o słończku, trawce i ptaszętach, a nas dodatkowo zelektryzował wokalista zespołu uderzająco podobny do Romana Polańskiego. Właściwie do tej pory sądzimy, że to był Polański.

Takich festiwali i koncertów są w Budapeszcie dziesiątki, jeśli nie setki. Najlepiej dowiedzieć się o nich z bezpłatnego tygodnika „Pesti Est”,

który ukazuje się w czwartek po południu i jest dostępny w kinach, teatrach i knajpach. Ma stronę internetową: www.est.hu.

Polka kręci, czyli urządzić Węgrom łaźnię

Ulgą dla znękanego nocnym życiem Budapesztu turysty może być wizyta w jednej z wielu miejscowych łaźni. To wręcz obowiązek – być w Budapeszcie i nie pójść do łaźni to jak zobaczyć Neapol i przeżyć! Miejsca owe pobudowane wokół naturalnych gorących źródeł to istota węgierskości jak papryka, czardasz, salami czy skłonność do samobójstw. W atmosferze niczym z obrazów Hieronima Boscha dziesiątki budapeszteńczyków pławią się w pachnących infernem wodach. Profesor przy robotniku, minister obok emerytki, gej koło goja... Całkowity egalitaryzm, nikt się nie wstydy rozstępów, cellulitu czy innych blizn po zębach czasu.

Jedyne dwa słowa, które wzbudzają tu szczerą panikę, to „Katarzyna Kozyra”. Trauma, że znowu wpadnie polska performerka z ukrytą pod rękodzielnikiem kamerą wideo, jest ogromna. Łazieni, zorientowawszy się, że

mówimy w języku Józefa Bema, patrzyli na nas spode łba i dopiero wyjaśnienia, iż w przeciwieństwie do naszej artystki członki mamy naturalne, a nie przypawione, nieco ich uspokoiły. Nas natomiast zupełnie nie uspokoiło, że po „działalności artystycznej” Kozyry w każdej węgierskiej łaźni pojawiły się ideogramy zakazujące filmowania. Wolelibyśmy, by wpływ Polaków na systemy etyczno-prawne narodów sąsiednich kształtował się zgoła inaczej.

Najstłynniejsza budapeszteńska łaźnia najczęściej odwiedzana przez obcokrajowców znajduje się w hotelu Gellérta. My wybraliśmy łaźnię Lukács Gyógyfürdő przy Frankel Leó utca w Budzie, której wody leczą reumatyzm i zwyrodnienia kręgosłupa (niestety, nie moralnego!). Dojechać można kolejką podmiejską HÉV. To jeden przystanek od stacji M2 przy Batthyány Tér lub tramwajem na drugą stronę Dunaju, trzeba wysiąść w Budzie tuż przy moście Małgorzaty. Wstęp – tysiąc forintów (około 16 złotych), ale – uwaga! – po wyjściu przed upływem trzech godzin kasa zwraca 400 forintów. W środku baseny od 25 do 45 stopni, sauna sucha (maks. 70 st. C), parowa (maks. 50 st. C), dwa baseny pływakie pod gołym niebem oraz naturalne solarium na dachu.



Cygański zespół na śródmiejskiej ulicy

Wittman radzi, czyli na partyturze smaku

W peregrynowaniu po budapeszteńskich knajpach postanowiliśmy się oprzeć na opiniach eksperta z gazety „Népszabadság”, który ma opinię potwora, a wypowiedanie jego imienia w przytomności najbardziej nawet nadętego kelnera budzi u niego zsinienie i zwiócenie wręcz pavulonowe.

To imię brzmi „Wittman fiuk” („Bracia Wittman”), co jest tytułem opowiadania węgierskiego pisarza Gézy Csátha, w którym bohaterowie mordują mamusię. Krytyków podpisujących się „Bracia Wittman” jest w rzeczywistości dwóch. Większość Węgrów nie wie, kim są. My wiemy, ale obiecaliśmy nie zdradzać.

Problemem dla cudzoziemca nie do przezwyciężenia jest ponury fakt, iż „Bracia Wittman” piszą o knajpach po węgiersku. Ten fakt w znakomitym stopniu zamyka ogromnej masie ludzkiej możliwość zaznajomienia się z ich kulinarnymi opiniami. Naturalnie z egzemplarzem „Népszabadság” można podejść do któregoś z licznych biur informacji turystycznej i poprosić o tłumaczenie bądź też – my wybraliśmy ten wariant – zapytać kogoś w kawiarni o ostatnio przez „Wittman fiuk” polecane bądź katowane miejsca.

Dzięki temu trafiliśmy do Nostalgii przy ulicy Október 6, niemalże na rogu z József Andrássy, niedaleko centralnej stacji przesiadkowej metra Deák ter.

Wystarczy powiedzieć, że to miejsce jest bardzo w klimacie i stylu XIX-wiecznego Budapesztu, ma znakomitą obsługę i je się tam wykwiłtne węgierskie potrawy. Przekłete gdzie indziej imię Wittmanów wywołuje u obsługi uśmiech pełen dumy. Ceny nie są wygórowane (taniej niż w Krakowie, o Warszawie nie wspominając). Tuż obok – ale broń Boże niezwiązany handlowo z Nostalgia! – znalazł miejsce klub nocny z kosztownymi towarzyszkami wieczoru, dys-

kretnie polecany przez znających się na rzeczy panów turystom o konkretnych marzeniach.

Odmiernym od Nostalgii miejscem jest Kulacs, co znaczy po prostu Bukłak. Dlatego wspominamy tę cygańską restaurację stojącą w zaułku i w cieniu monumentalnego pałacu New York (róg ulic Osvát i Dohány – metro M2, przystanek na placu Blaha Lujza), że rzadko piszą o niej przewodniki. Żywią się tu budapeszteńczycy, którzy – jak miejscowi we wszystkich zakątkach świata – świetnie rozróżniają, co jest dla nich, a co dla ptasio przemyskających turystów.

W Kulacsu siedzi sporo emerytów, co nie znaczy – jak w Polsce – że żywią tu marnie. Wręcz odwrotnie – żarcie jest wspaniałe. I tanie! Obiad kosztuje mniej więcej 20 złotych. A gdy się przyjdzie przed godziną 16, wszystko jest o 50 procent tańsze, wino z beczki też. Obsługa ma kłopoty z językami obcymi, ale nie próbuje tego wygrać i wykazuje dobrą wolę, posługując się rękami w tłumaczeniu, co jest zrobione z czego.

Lokalem, który należy z kolei gorąco odradzić, jest rozreklamowany Fatál w samiułtkim centrum, przy Pinter utca 1. Fa – znaczy po węgiersku drewniany, tál – talerz – i rzeczywiście wszystko podają na drewnianych talerzach. Ostrzegamy jednak, że nazwę tę należy rozumieć zgodnie z indoeuropejską, a nie ugrofińską etymologią. Knajpa jest fatalna, droga, ze zbieszoną do granic wytrzymałości obsługą, okropnym jedzeniem, w dodatku pełna obco-krajowców złaknionych cepeliowskiej wersji czardasza.

Świński ryjek, czyli skupienie w hali targowej

Nasza opcja robienia zakupów na Węgrzech pomija raczej wyroby w stałym stanie skupienia, może z wyjątkiem wędlin czy papryki. Oczywiście, ciecze najlepiej kupować w winnicach na prowincji. W Budapeszcie siłą rzeczy wszystkie przetwory alkoholowe są trochę droższe niż

gdzie indziej. Istnieją dziesiątki sklepów specjalistycznych, mniej lub bardziej nastawionych na naiwnych i bogatych.

Dwa kroki od wspomnianego Bukłaka (ulica Dohány 58–62) znajduje się jednak magazyn z winami, coś pomiędzy sklepem i hurtownią. Ceny są przyzwoite, obsługa miła i kompetentna, władająca narzeczami. Palinki, czyli destylaty owocowe, najlepiej jednak kupować w supermarketach, bowiem w Budapeszcie zdobycie mocnego trunku zrobionego poza fabryką, ale porządnie, może być szalenie trudne.

Oczywiście, markowe palinki firmy Zwack da się kupić wszędzie i – co ważne – nie stoją na najniższych półkach (od 30 do 50 zł za 0,7 litra w zależności od gatunku). Warto zachłusnąć się digestifem Unicum, którego gorczy nie da się porównać do niczego gorzkiego, nawet do smaku porażki. Trwająca właśnie od jakiegoś czasu intensywna reklama Unicum na Węgrzech opiera się na elementach patriotycznych. Każdy Węgier pije Unicum, taka jest prawda.

Z kupowaniem wędlin lub papryki w proszku lepiej się w supermarketach czy zwykłych sklepach wstrzymać. Po cóż kupować ogólnie dostępną konfekcję, gdy prawie każda budapeszteńska dzielnica ma swoją halę targową. Budapeszteńczycy boleją, że władze miasta – zamiast te piękne pomniki typowo miejsko-gospodarczej architektury odnawiać – idą na łatwiznę. Buduje się więc nowe, mniej lub bardziej luksusowe supermarkety, zaniedbując ich XIX-wieczne odpowiedniki.

Więcej luzu, czyli gdzie jest parlament

Nie ma w Polsce miasta, które by – tak jak Budapeszt – umiało kupić turystę. Kraków – przy wszelkich podobieństwach, ale i proporcjach – nie dość, że jest miastem droższym, to nie daje sobie rady z elementarnymi potrzebami przyjezdnych. Do Warszawy Polacy przyjeżdżają tłumnie jedynie po to, by protestować przed Sejmem.

Weekend w Budapeszcie może być natomiast rozkoszą dla średnio nawet rozgarniętego środkowego Europejczyka. To miasto ma bowiem coś, czego w Polsce nie stało, a o czym tak na przykład czeska Praga zapomniła, zamułając każdego banalną pamiątkarską konfekcją – rozmach i naturalność.

Po Budapeszcie można, oczywiście, się przelecieć, korzystając ze standardowej pomocy przewodników, w których wymieniono zabytki, muzea czy restauracje. O tym jednak nie pisaaliśmy, zakładając, że elementarne wiadomości, w rodzaju: gdzie stoi parlament, hotel Gellérta, statua wolności czy most Małgorzaty, są do zdobycia bez potrzeby kupowania „Przekroju”.

STANISŁAW MANCEWICZ
ANDRZEJ SARAMONOWICZ

Kolejka



W Anglii – kraju, w którym ludzie uwielbiają wszelkiej maści eufemizmy – często określa się wyznanie miłości „I love you” mianem „three little words” (poetycko tłumacząc – trzy czułe słówka). To niewątpliwie najpiękniejsze, co można usłyszeć w języku angielskim. Polski też ma zwroty, które podnoszą człowieka na duchu. Polskie „four little words” zawsze napełniają mnie miłością do bliźniego. Brzmiały one: „Zapraszamy do wolnej kasy”.

Mieszkając w Polsce, przyzwyczałem się, że kolejny dzień to kolejna kolejka. Wiem, że jest to dla Polaków temat tabu. Sam kiedyś stałem w ogonkach po papier toaletowy, na szczęście tamte czasy już dawno minęły. Ale nawet jeśli Państwu wydaje się inaczej, to ja swoim jednym „zewnątrznym” okiem widzę. A jak widzę, to mówię: jeszcze kolejki nie zginęły!

Ostatnio żona postanowiła, że trzeba zmienić nasze telefony komórkowe na nowszy model (podobno nasze już nie są modne). Najpierw stałem w kolejce, żeby przedłużyć umowę (15 minut). Właśnie podpisywałem umowę, kiedy pani oznajmiła mi, że w pierwszej kolejności trzeba zapłacić bieżący rachunek. W kasie, oczywiście. Stałem więc w kolejce do kasy (10 minut). Wróciłem do pani od umowy. Miała już następnego klienta (10 minut). Wreszcie mogłem odebrać telefony (50 minut). Ale zanim to nastąpiło, stanąłem w kolejnej kolejce do kasy – tym razem, żeby zapłacić za nowy telefon (10 minut).

Czy nie dałoby się tego wszystkiego załatwić w jednym okienku? Pobieżna analiza powyższej sytuacji wykaże, że wystarczyłoby, aby ekspedientka z działu obsługi klienta miała pod ręką telefon objęty nową umową, a zaoszczędziłbym 50 minut. Gdybym jeszcze mógł u niej zapłacić, zyskałbym kolejne 20 minut.

Z tymi oddzielnymi kasami to zresztą dziwna sprawa. Nadal istnieją w licznych miejscach – zwłaszcza w aptekach. Mówię „nadal”, ponieważ jednoznacznie kojarzą mi się z poprzednim ustrojem. Rozumiem, że w tej dzie-



Guillermo MORDILLO

zinie zrobiono duże postępy. Nie trzeba już, na przykład, przechodzić do innego działu sklepu po odbiór towaru, ale po co te oddzielne kasy? Najbardziej irytuje mnie, że nawet kiedy nie ma przy nich kolejki, trzeba czekać ładnie parę minut, aż z okienka sprzedaży „przywędruje” do kasy rachunek.

Naprawdę doceniam zmiany. Na przykład na poczcie. Wchodzisz, bierzesz numerek, czekasz na swoją kolej. Wprowadza to trochę ładu, nie musisz się już bać, że ktoś się wciśnie przed ciebie. Niestety, szybko się zorientowałem, że co prawda system jest doskonały, ale w żaden sposób nie skraca długości czekania. Nie ma już kolejek na pocztę,

to fakt. Ale czy to nie pozór? Po prostu wszyscy teraz nie stoją w kolejce, ale... siedzą!

Najlepiej więc chodzić tam, gdzie nie ma kolejek. Mam swoje adresy, których oczywiście nie mogę Państwu zdradzić. Powiem tylko, że od jakiegoś czasu jem trochę więcej hamburgerów niż zwykle. Tłumaczę sobie, że nie mogę stać w kolejce cały dzień tylko po to, żeby usłyszeć te cztery najczulsze słówka...

Christiaan van Lierop

Autor nie lubi kolejek – jest Anglikiem.
Mieszka w kraju Mieszka.



Zebranie członków grupy artystycznej „Unowis”,
Witebsk 1921. W środku – wskazujący na plakat
– Kazimierz Malewicz

JAN GONDOWICZ

W czarnym lustrze sztuki

Obrazy Kazimierza Malewicza warte są dziś miliony dolarów. Zagadka jego twórczości pozostaje nierozwikłana i – bezcenna

Część pierwsza, w której wykradziona zostaje tajemnica

Gdyby nie sztuka, nikt by już nie pamiętał ani schyłku Rosji carskiej, ani koszarnej „Sowdepil”, czyli Związku Radzieckiego z pierwszych lat jego istnienia. Galopada ówczesnych artystycznych „izmów” okazała się nie mniej ważna od polityki. I na swój sposób równie dramatyczna.

Trudno dziś pojąć zgrozę odkrycia, że malować czy rzeźbić da się na wiele sprzecznych sposobów. Syntetyści opluwali dywizjonistów, fowiści warczeli na łuczystów, symultaneiści wypinali się na futurystów, kubiści mieszały z błotem konstruktywistów. Ktoś zawsze mógł stwierdzić, że twoja, bracie, robota to śmieć, bo dziś się maluje inaczej. Od towarzyskiej katastrofy ochronić mogła tylko własna, żelazna teoria. Można też było, przeciwnie, ogłosić się prorokiem, rebeliantem, wizjonerem. Przynajmniej jeden artysta spróbował obydwu dróg naraz.

Jesienią roku 1915 w pewnej moskiewskiej pracowni miała miejsce znamienita scena. „Wdepnąłem jak w psie łajno – donosił Kazimierz Malewicz najbardziej zaufanemu z przyjaciół, kompozytorowi Michaiłowi Matiuszynowi. – Porozwieszałem swoje roboty, siedzę i zasuwam. Wtem drzwi się otwierają i wchodzi [Jean] Pougny. Więc prace zostały już zobaczone! Pozostaje jak najszybciej wypuścić broszurkę o moich dokonaniach, zawarowując w ten sposób należne mi prawa autorskie”. Po trzech dniach dodał: „Wielu w Moskwie wie już o moich pracach, ale

nie mają pojęcia o suprematyzmie”. A w przededniu wystawy: „Wszyscy w kółko powtarzają nazwę, ale nie kapują, na czym to polega. Niech więc choć to jedno pozostanie w sekrecie!”.

Część druga, w której sfinks zadaje zagadkę

Posmakujmy tej atmosfery. Impreza ma nosić nazwę „Ostatnia wystawa futurystów”. Trzeba więc spichcić dynamit, który zniemacka naprawdę wysadzi to truchło. Gorączkowa praca przy zapuszczonych storach. Pełna konspiracja. Przyszły komisarz wystawy wpada z głupia frant na przeszpiegi. Kłops, lecz zostaje szansa: malarz w trzy dni wymyśla dla swego kierunku piorunującą nazwę. A gdy ta wychodzi na jaw, przynajmniej wciąż nikt nie wie, co to wszystko znaczy.

Ciąg dalszy był równie barwny. Nim w grudniu otwarto pietrogradzką wystawę, Malewicz wtajemniczył śpiesznie dziewięciu kolegów, załatwił po cichu druk broszury i wykład. Po czym wymusił na Pougny, by nazwę wystawy opatrzyć osobliwym symbolem „0,10”. W noc przed otwarciem dziesiątka spiskowców „z drugiej strony zera” przeniosła swoje obrazy do wspólnej sali, gdzie zwiedzających powitał afisz: „Suprematyzm malarstwa. K. Malewicz”. Widząc na wernisażu rozdającego tryumfalnie swoją broszurkę autora, jeden z wystawionych do wiatru, Władimir Tatlin, runął na drania z pazurami. Padło parę prastarych rosyjskich słówek. Mocarny cios pięści Malewicza rozciągnął

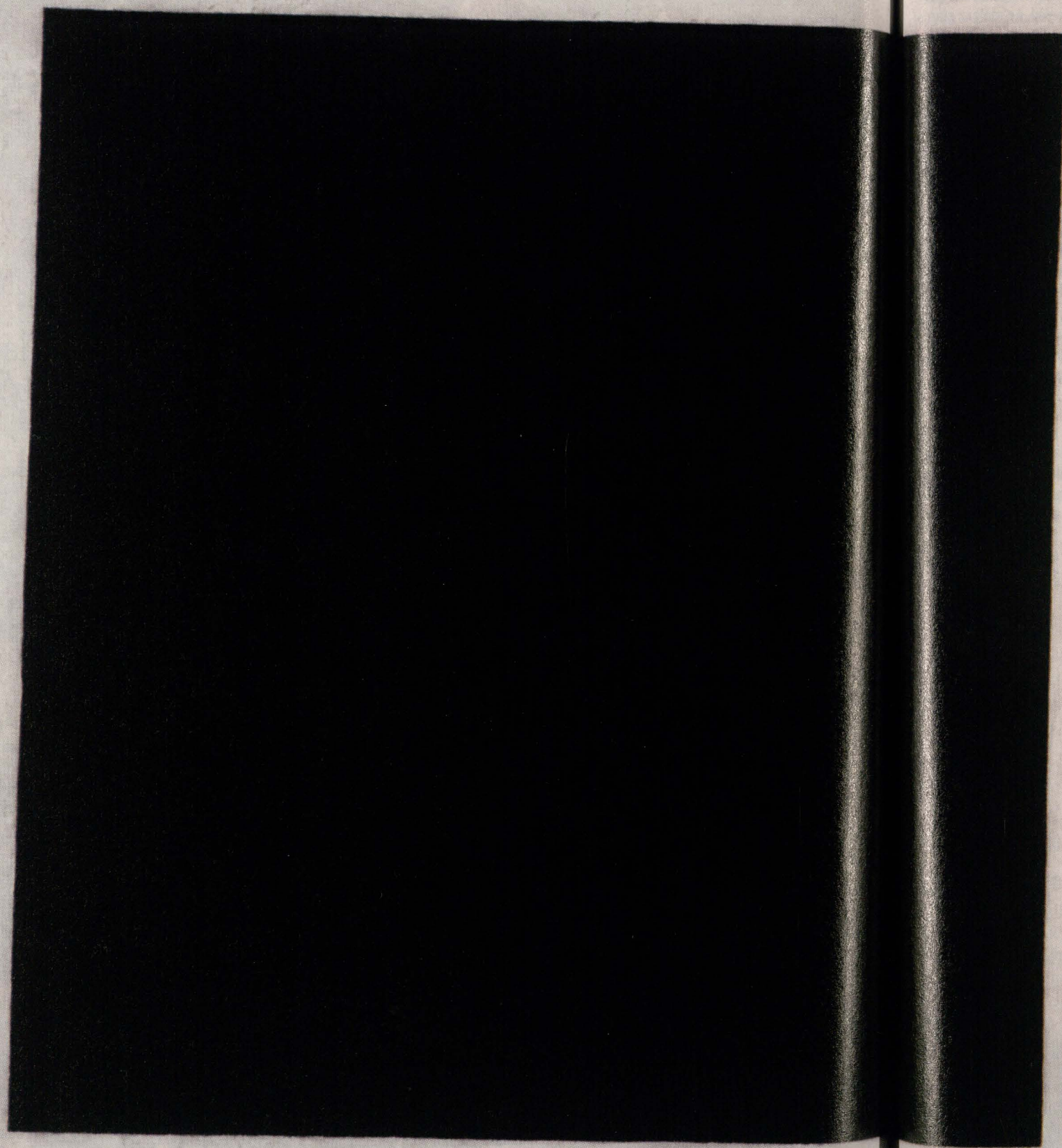
cherlawego konstruktywistę u stóp upstrzonej kolorowymi kółkami i kwadratami ściany. W sumie – bomba! Jeszcze w dniu zabójstwa Rasputina i abdykacji cara prasa meła wciąż suprematyzm.

Część trzecia, w której zero staje się kwadratem

Co robi w nazwie ta jedna dziesiąta? – zapytywali krytycy. Bystrzejsi wiązali ją z dziesiątką separatystów. Ktoś domyślił się wreszcie, że powinna brzmieć „zero – dziesięć”. A zatem wskazywać 10, którzy przeszli przez zero i znaleźli się po drugiej stronie. Tak kombinował też sam Malewicz, który jeszcze wiosną próbował wydawać pismo „Zero”.

Zero we własnej osobie wisiło na wystawie. Był to słynny Czarny Kwadrat. Nie pierwszy zresztą w życiu malarza (według pierwszego sporządzono dwa lata wcześniej kurtynę pewnego futurystycznego spektaklu) i nie całkiem kwadratowy. Ale po raz pierwszy stworzony świadomie. Autor skłonny do stanów mistycznych wpatrywał się weń jak w oblicze Czarnego Boga. W tym jest wszystko – mówił sobie. – Pełnia kształtu poza realnością, pełnia kolorów poza wszelką barwą. Ucieleśniona potencjalność. I to właśnie jest suprematyzm!

Najbardziej tajemnicze malowidło wszech czasów (zrudziałe dziś i splekane z racji kiepskiej wojennej farby) objawiało, że zero zawiera w sobie wszystko. Nie nic, jak się zwykle sądzi, lecz wszystko. Powierzchnia czarnego zwierciadła skrywała nowe światy niczym w praktykach



Czarny kwadrat – nie jeden w twórczości Malewicza i nie całkiem kwadratowy. W tym jest wszystko – mówił sobie autor skłonny do stanów mistycznych – pełnia kształtów poza realnością, pełnia kolorów poza wszelką barwą

magicznych tafla nalanego w zagłębienie dłoni atramentu. Nic dziwnego, że artysta później dwukrotnie odtworzył ów pierwotny kształt.

A skoro Czarny Kwadrat zawiera wszystko, to i całą przestrzeń. Przestrzeń bez krańca i granic to jedyna dostępna nam pełnia. Przejście przez zero w urojoną przestrzeń po tamtej stronie było istnym lotem kosmicznym w jej zwierciadlane odbicie. Albowiem po drugiej stronie zera otwiera się minus nieskończoność.

Co z tą nieskończonością zrobić?

Część czwarta, w której coś wyłania się z niczego

Malarstwo bez przedmiotu nie jest, wbrew pozorom, malarstwem bez tematu. Antyprzedmiot, jakim był Czarny Kwadrat, okazał się tematem co się zowie. Stąd właśnie nie mógł go na płótnie zastąpić byle kleks. Geometria w malarstwie zawsze wiąże się z metafizyką. Metafizykę Czarnego Kwadratu stanowił fakt, że jego geometria wyznacza geometrię białego tła – otaczającej go przestrzeni. W tym krył się trik suprematyzmu. Bo co można zrobić z nagą przestrzenią? Pokazać ją. Rozpiąć wokół przedmiotu, który wyznaczy geometrię tej właśnie przestrzeni. Nie on ma być uwidoczniiony, lecz ona.

Odtąd obrazy Malewicza jęły wypełniać kształty, zgęstki sił – zdaniem niektórych, kosmicznych – które energetyzują przestrzeń. Krzyże, prostokąty, kliny i kręgi, a z czasem jakby elementy rozsypanej dziecinnej układanki. Artysta stwarzał te światy, żeby zbadać ich parametry. Nazajutrz tworzył inne. Wyczuwał ich energie (niektórzy mówią: kosmiczne) i nadawał im formy. Suprematyzm nazywał „supremacją odczucia” – tej właśnie zdolności wyczuwania niewidzialnych energii.

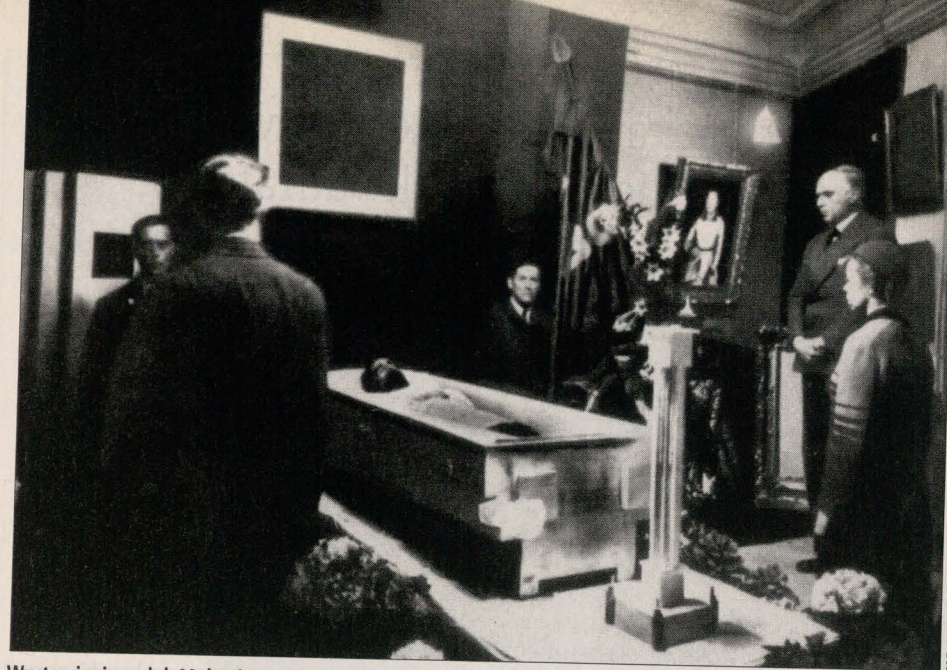
W gruncie rzeczy jest to geometria rzutowa. Kubiści malowali trzy wymiary naraz. Stół widziany jednocześnie od przodu i tyłu, a portret z *en face* i profilu łącznie. Namalowane, czyli rzutowane na płaszczyznę. Suprematyzm na początek sięgnął po czwarty wymiar. Niestety, jest on niewidzialny. Całkiem tak jak prze-

strzenność dla fikcyjnych istot dwuwymiarowych, które fizycy zwa płaszczakami. Zamiast przecinającej jego ojczystą płaszczyznę ręki płaszczak widziałby tylko cztery kropki, potem pięć, wreszcie jedną i podłużny owal. Malewicz odkrył, że płaszczak w ogóle coś widzi, bo obiekt jego obserwacji się porusza. Kształty czterowymiarowe w ruchu zostawiały na płótnach ślad iluzorycznej trójwymiarowości. Na jednym z obrazów jest to zredukowany do elementów własny obraz Malewicza „Drwal”. Na innych dopatrzeć się można wizji czterowymiarowego nadkrzesła, nadkrowy i nadfurmanki.

Część piąta, w której sfinks odsłania oblicze

Żądza eksperymentów zmieniła artystyczną Chimere – jak przeszedł przed laty Jerzy Stempowski – w zwierzę pociągowe. Ekstremalne marzenia twórców narzuciły swój styl życiu społecznemu *gay twenties* – szalonych lat 20. Chimera należy bowiem sama do stworów eksperymentalnych. Jest odważna jak lew, uparta jak koza, kusząca jak wąż. W niczym nie przypomina odkrywcy Czarnego Kwadratu, którego szerokie oblicze z autoportretów i zdjęć zdradza uderzające podobieństwo do egipskiego sfinksa. Sprawdźcie sami!

Skąd wziął się w świecie narwanych malar-skich burzycieli ktoś taki – niewzruszony, majestatyczny, zagadkowo pewny siebie kapłan *idei sfinks*? Ze zbiedniałej rodziny szlacheckiej herbu Szeliga zamieszkałej pod Kijowem, gdzie przyszedł na świat w roku 1878. Ojciec był głównym technologiem w cukrowniach Tereszczutki – jednego z tych upojonych milionami spekulantów, o których pisał Stempowski. Po śmierci ojca trzej starsi bracia i dwie siostry Kazimierza dostali pracę na kolei. I on sam rok czy dwa pracował na kolei w Kursku. Malował już wtedy całymi dniami i wkrótce trafił do Moskwy, na kursy Rehrberga. Były to kursy wstępne przed egzaminem do Szkoły Malarstwa, Rzeźby i Architektury – tej samej, z której miano wkrótce wyrzucić Majakowskiego. Nim je Malewicz skończył, sam był mistrzem.



FOT. ARCHIWUM „P”

Wystawienie zwłok Malewicza w Domu Plastyków w Leningradzie, 1935

Jego rozwój to dzieje sztuki nowoczesnej w pigułkach. Zaczyna w roku 1903 jako postimpresjonista, w 1905 ma już za sobą Cézanne'a, w 1906 pointylizm Seurata, w 1910 fowizm Rouaulta. Jego chłopki z roku 1911 mają gęby „Pani z Awinionu” Picassa. 1912 to okres Légera. 1914 – kubizm analityczny. Rok później sam staje się czubkiem szpica, którym malarstwo nakłuwa świat widzialny. Trafił nań, konsekwentnie negując wszystko, co osiągał. Mam subtelny światłocien? Na grubość palca obwiodę kontur czernią. Chwalicie plastykę bryły? Przyprawię obraz na płasko. Cenicie mój kolor? Won z kolorem. Zatrzymała go dopiero ściana abstrakcji.

Ale choć Czarny Kwadrat stanowił ślepią ścianę, Malewicz przełamał nieprzezwyciężalne. Posunął się jeszcze krok dalej. Trzy lata po Czarnym Kwadracie namalował na białym tle Białą Kwadrat. Był to jednak już kres malarstwa. Zamknął w ramie Absolut.

Część szósta, w której kwadraty okrągają w miliony

Malewicz miał szczęście umrzeć (1935) we własnym łóżku. Ominął go los takiego choćby Meyerholda, któremu w śledztwie wydłubało oko, a żonę zgwałcono i pokrajano w kawałki. Mistrza złożono w graniastej trumnie własnego projektu, a prochy po kremacji pochowano pod dębem na lotnisku w Niemczynowce pod Moskwą, gdzie zwykł spędzać wakacje. Nad grobem ostatni uczeń oberiuta Daniil Charms odczytał ostatni w ZSRR dadaistyczny poemat. Miejsce upamiętnił lity drewniany sześcian o boku metra, poświęcony Czarnym Kwadratem. Wkrótce mieszkańcy rozdrapali go na opał. Potem zrabano dąb. Potem wybuchła wojna i przez polaną puszczono okopy. Potem wszystko zaoarano. Dziś nie wiadomo, gdzie spoczy-

wa Przewodniczący Przestrzeni Kazimir Sewerynowicz Malewicz.

Na przeorany polu wyłoniła się nowa generacja miłośników sztuki. Jeden z nich przypomniał światu Malewicza, gdy 11 maja 2000 r. w małym nowojorskim domu aukcyjnym Phillipsa zawisł magiczny dwubarwny krzyż – „Kompozycja suprematystyczna” z lat 1919–1920. Od dziesiątków lat oglądali go zwiedzający nowojorskie Museum of Modern Art. Teraz spojrzeli innymi oczyma. Cena wywoławcza wynosiła 10 milionów dolarów.

Człowiek, który zdołał odebrać obraz jednemu z największych muzeów świata, nosi nazwisko Clemens Toussaint, liczy dziś lat 40, mieni się „detektywem dzieł sztuki” i bynajmniej nie szuka rozgłosu. Biura (w których nie bywa) ma w Kolonii, numer jego zarejestrowanego we Francji telefonu komórkowego zna tylko parę osób. Wielką karierę zaczął 16 lat temu od wywiezienia z NRD stosu awangardowych obrazów ukrytych przed hitlerowcami przez pewnego starego kolekcjonera pół wieku wcześniej. Ze sprzedaży opłacił faceta, który synów staruszka przemycił na Zachód. Saldo okazać się musiało niebywale dodatnie, bo odtąd Toussainta stać na najdroższych ekspertów i adwokatów, wręcz miażdżących opór posiadaczy zdobytych nieprawnie zbiorów.

Toussaint zaczyna zwykle od listy spadkobierców malarzy, zwłaszcza w krajach byłego obozu i w Izraelu, po czym proponuje transakcję, za którą żąda – bagatela – 50 proc. zysku. Tak stało się z Malewiczem mającym 31 spadkobierców w Rosji, Turkmenistanie, na Ukrainie i w Polsce. Do odzyskania była część depozytu, jaki malarz pozostawił w roku 1927 podczas swej jedynej zagranicznej podróży do Niemiec. Gdy hitlerowcy zamknęli sławną szkołę wzornictwa Bauhaus, te z eksponatów, które były jej własnością, trafiły legalnie do Stedelijk Museum w Amsterdamie. Inne okazy Malewiczowskiej

„sztuki zdegenerowanej” dyrektor muzeum w Hanowerze Alexander Dorner najpierw ukrył, a następnie warunkowo powierzył Museum of Modern Art i galerii Bush-Reisinger w Bostonie. Toussaint był gotów dowieść, że malarz złamał niegdyś radzieckie prawo, wywożąc dzieła będące własnością Państwowego Instytutu Kultury Artystycznej, którym kierował. A że właścicielów przestał istnieć, prawa przeszły na spadkobierców.

Nowojorska aukcja stanowiła efekt ugody z Museum of Modern Art. Ale Toussaint nie opuścił. Sięgnął do Bostonu, do Amsterdamu. Tak właśnie poczynił sobie z dziełami konstruktivisty El Lissitzky'ego, które wyrывa na rzecz 72-letniego dziś syna artysty Muzeum Regionalnemu w Hanowerze. Działa zaś tak brutalnie, że na kolejnej rozprawie w lutym tego roku nazwano go hieną cmentarną. W latach 90. ustąpił już przed nim galeria Lenbachhaus w Monachium, gdzie zdybał zrabowanego podczas wojny Klee, zuryjska Fondation Beyler, która

w podobny sposób stała się posiadaczem obrazu Kandinsky'ego, oraz kolońska galeria Ludwig z wątpliwej proveniencji Marcoussisem. Obecnie wiedzie spór prawny o ponad 50 obrazów. Tylko raz „Monsieur 50%” powinęła się noga: skradzione w Amsterdamie, a odnalezione w Kalifornii płótno Magritte'a przechwyciła w Londynie jako dowód rzeczowy policja.

Część siódma, w której Czarny Kwadrat wyziera z czarnej dziury

„Kompozycji suprematystycznej” nie ujrzemy długie lata. Licytację u Phillipsa wygrał przez telefon anonimowy nabywca. Dał za czerwono-czarny krzyż 17 milionów 52 tysiące 500 dolarów. 14 swych pozostałych Malewiczów Muzeum wybroniło na razie za pięć milionów. Wynik tej operacji zamknął się zyskiem Clemensa Toussainta w wysokości 10 milionów 250 tysięcy dolarów, 330 tysięcy 645 dolarów 16 centów

dla każdego ze spadkobierców oraz 615 tysięcy (trzech procent) dla prezentującej dzieło uroczej Sharon Stone. Po czym jeden z wielkich symboli wolności w sztuce przepadł w czymś sejfie.

Że jednak, jak mawiają Rosjanie, święte miejsce pustym nie bywa, z sejfów wychynał niedawno inny symbol. Zaginiony od niepamiętnych czasów czwarty Czarny Kwadrat znalazł się w masie upadłościowej moskiewskiego Inkombanku, który przed paru laty odkupił go cichaczem od mieszkających w Samarze potomków malarza. Weto rosyjskiego ministerstwa kultury ocaliło dzieło przed aukcją, po której niewątpliwie gdzieś na Zachodzie doszłoby do następnej, w rodzaju wyżej opisaney. Żadne jednak z rosyjskich muzeów nie mogło wyłożyć miliona dolarów, na który wyceniono płótno.

I tu niespodzianie wyłoniła się postać nieco innego kalibru niż „detektyw dzieł sztuki”. 26 kwietnia bieżącego roku w świat poszła wieść, że biznesmen Władimir Potanin podjął ów milion z konta swego holdingu Interros,

po czym ofiarował obraz petersburskiemu Ermitażowi. Czarny Kwadrat zawisnie tam naprzeciw abstrakcyjnej „Kompozycji nr 6” Kandinsky'ego, obok dzieł Matisse'a i Picassa.

Dla czytelników pism artysty szczęśliwy ten finał nie wygląda jednak na zakończenie. Cztery Kwadraty, czwórca czarnych luster suprematyzmu, powinny niewątpliwie przejrzeć się w sobie w jakiejś wspólnej kwadratowej sali. Ten najsławniejszy z Muzeum Rosyjskiego w Petersburgu, te z roku 1921 i 1929 z moskiewskiej Galerii Trietiańskiej oraz właśnie odnaleziony najstarszy, z roku 1913. Że coś wtedy nastąpi, to pewne. Może ktoś, kto znajdzie się w polu ich skoncentrowanych mocy, zdoła otworzyć malarstwo na dalszy wymiar, ku któremu zmierzał Malewicz?

JAN GONDOWICZ

Za dokumentację „sprawy Toussaint” autor dziękuje Panu Szymonowi Bojce

Sharon Stone prowadzi aukcję w domu aukcyjnym Phillipsa. Anonimowy nabywca zapłacił za czerwono-czarny krzyż 17 milionów 52 tysiące 500 dolarów



FOT. REUTERS / FORUM

SREBRNE WESELE

FILIP ŁOBODZIŃSKI



Vivienne Westwood – królowa punku

PUNK ROCKA



Pocałunek kobiety-punka – Vivienne Westwood dziękuje modelowi. Mediolan, styczeń 2002

MOTTO:
„MY LORD,
SHE MAY BE
A PUNCKE;
FOR MANY
OF THEM ARE
NEITHER
MAID,
WIDOW,
NOR WIFE”
(„PANIE MÓJ,
MOŻE TO BYĆ
KURWA; GDYŻ
WIELE Z NICH
NIE JEST
PANNAMI,
MEZATKAMI
ANI
WDOWAMI”)

William Szekspir,
„Miarka za miarkę”,
przeł. Maciej Słomczyński

Ćwierć wieku temu królowa Elżbieta II obchodziła uroczyste srebrny jubileusz panowania. Ceremonie zagłuszała nowa muzyka i nowa moda: punk. Dziś, z okazji złotego jubileuszu tej samej władczyni, ówczesne osoby dramatu ponownie wchodzą na scenę

„Ona jest w porządku. Ludzie traktują tradycję tylko dlatego, że jakiś jej element im nie odpowiada. To paranoja XX wieku” – tak w obronie królowej Elżbiety II wypowiedziała się niedawno Vivienne Westwood, też królowa. Królowa punku. Kobieta, w której otoczeniu powstał najsłynniejszy hymn antyroyalistów brytyjskich, piosenka „God Save the Queen”.

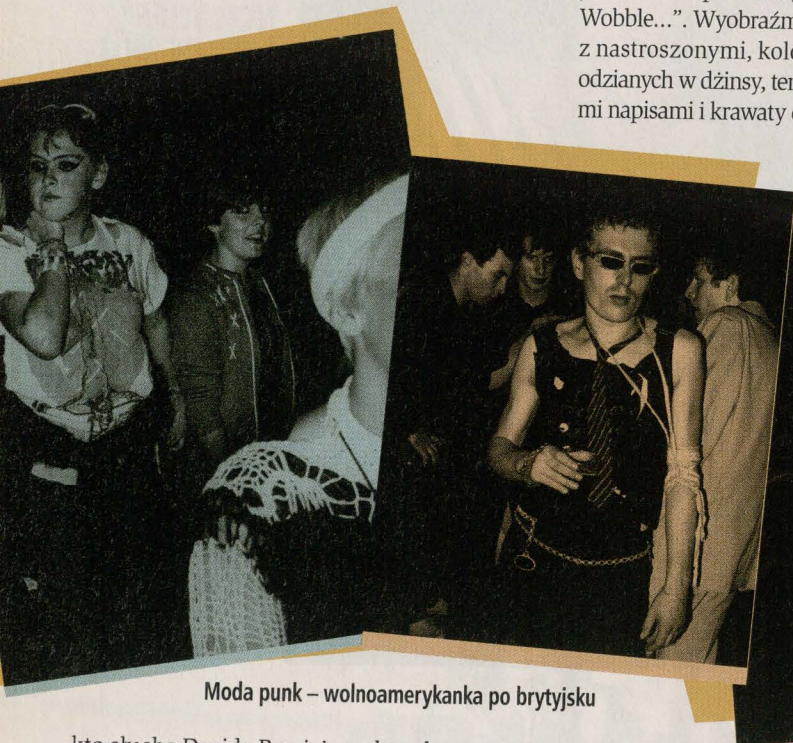
No future

Boże, chroń Królową,
To nieludzki twór...
Boże, chroń Królową,
Jej faszystowski reżim...
Nie masz przyszłości

– słowa tego utworu John Lydon alias Johnny Rotten, wokalista Sex Pistols, napisał w kuchni, czekając, aż ugotuje się fasolka. Z marszu – tak

bardzo doskwierał mu brak przyszłości w złe rządzonej Anglii. Był rok 1976. Od trzech lat trwał światowy kryzys paliwowy, inflacja w Zjednoczonym Królestwie niemal galopowała, ceny wzrosły w tym czasie niemal dwukrotnie, a Irlandia Północna płonęła. Skinheadzi tłukli odmienców wszelkiej maści i siebie nawzajem.

Lydon w rozmowie z „Przekrojem” potwierdza, że punk po prostu nie mógł nie powstać. – Szkoły były opanowane przez pozbawionych wyobraźni sadystów – mówi Lydon. – W radiu leciała muzyka, która przyprawiała o mdłości, a perspektyw żadnych. Ja akurat trochę zarabiałem, ale nikt z rządzących nie miał kompletnie pomysłu, skąd ludzie mają wziąć nadzieję na lepsze życie. Poza tym większość młodych histerycznie podążała za kolejnymi modami. Na ulicy od razu można było rozpoznać, kto kibicuje Arsenalowi,



Moda punk – wolnoamerykanka po brytyjsku

kto słucha Davida Bowie’ego, kto chce zostać pieprzonym prawnikiem.

Nożyczki i agrafka

John Lydon od dzieciństwa ujawniał wielkie zdolności plastyczne. Zanim został muzykiem, zarabiał czasowo jako instruktor prac ręcznych w centrum rozrywkowym. Swój talent wykorzystywał także przy kleceniu własnych strojów, bardzo często niezgodnie z ich pierwotnym przeznaczeniem. Wszystko zaczęło się jeszcze w katolickiej szkole dla chłopców. Któregoś dnia ksiądz wychowawca nakazał uczniom, by nazajutrz przyszli w krawatach, bo inaczej nie będą wpuszczeni do szkoły. John pojawił się, owszem, w krawacie, ale na gołe ciało. Wściekłe pytanie dyrektora: „Czemu bez koszuli?!” zbył uwaga: „Miałem przyjść w k r a w a c i e, niech się ksiądz zdecyduje”.

Czasem, żeby rozjuszyc ciało pedagogiczne, John i jego kumpel farbowali sobie włosy na najmniej naturalne kolory (fioletowy, pomarańczowy, zielony) i targali je we wszystkie strony, by wyglądać maksymalnie niechlujnie.

– John zawsze ubierał się inaczej – wspominał jego ojciec (również John). – Potrafił obciąć rękaw swetra, po czym przypiąć go z powrotem agrafkami. Nowy garnitur, który kosztował mnie majątek, porznął na strzępy. Garnitur z pewnością lepiej by wyglądał, gdyby wyjął go psu z gardła po tygodniowym przeżuwanu!

W swojej autobiografii Lydon mówi: „Jakiś gość napisał kiedyś, że punk narodził się w dyskotekach. Jak twierdził, widział w dyskotekach Lacey Lady punków, którzy podrygiwali przy tanecznych kawałkach, i pisze, że Johnny Rotten zmałpował ten styl. Ha ha! Te punki to właśnie ja i moi kumple – Sid [Vicious – przyp. FL], Jah Wobble...”. Wyobraźmy sobie grupkę chłopców z nastroszonymi, kolorowymi włosami, przyodzianych w dżinsy, tenisówki, *T-shirty* z dziwnymi napisami i krawaty obwiązane wokół kolan...

no mocno naiwnych i oglupionych owieczek. Wierzyli w miłość zamiast wojny i w to, że sam strój zmieni cię wewnętrznie. Dlatego z zapałem wdzielali kolorowe fatałaszkę, chusty, korale, wpinali kwiaty we włosy, malowali pacyfki i oczekiwali nadejścia Ery Wodnika. Chcąc odróżnić się od zuniformizowanego pokolenia rodziców, gdzie nie było miejsca na indywidualizm, założyli mundurki (tyle że barwniejsze) i zaufali instynktowi stadnemu.

„Lato Miłości” zakończyło się nieciekawie. Kilka kolejnych gwiazd hipisowskiego pantheonu zmarło przedwcześnie: Brian Jones, Janis Joplin, Jimi Hendrix, Jim Morrison, Duane Allman. Tragicznie zakończył się koncert Rolling Stonesów w San Francisco – ochrona zabiła widza. Wojna wietnamska trwała w najlepsze. Do tego doszła afera Watergate: panujący prezydent Richard Nixon kazał podsłuchiwać konkurentów do władzy. Wszystko to razem rozproszyło nadzieje na to, że Wodnik pofaryguje się na amerykańską ziemię.

Amerykańska frustracja doszła w pełni do głosu dopiero na przełomie lat 1974 i 1975, kiedy na scenie pojawił się nowojorski kwartet Ramones. Młodzi muzycy (sami twierdzili, że nauczyli się grać dopiero w tym zespole) pragnęli tylko jednego: powrotu do beztroskich czasów śpiewania o miłości i prostych sprawach, piosenek, jakie kilkanaście lat wcześniej święciły triumfy na listach przebojów. Ponieważ jednak czasy się zmieniły, kochankowie w piosenkach Ramones już nie spoglądali sobie czule w oczy, tylko wspólnie wachali klej i wałesali się po podejranych spelunach. Prosty rytm i podstawowe akordy gitarowe, do tego skórzane kurtki, ciemne okulary i poszarpane dżinsy – oto mamy amerykański punk. Wtedy zresztą narodził się i sam termin.

W zacytowanym na wstępie fragmencie komedii Szekspira słowo *punkce* oznaczało jeszcze prostytutkę. Z czasem objęło także wszelkich wyrzutków społecznych, stając się synonimem flei, śmiecia i lumpa. Ludzkiej nędzy. W roku 1975 młodzi fani nowej muzyki adoptowali wyraz dla siebie i sobie podobnych.

Styl. Styl?

W tym samym czasie, kiedy John Lydon ciachał nożyczkami nowe ciuchy, pewien amerykański muzyk nazwiskiem Richard Hell kłócił się z narzeczoną, a że dziewczyna była krewka, wkrótce jego ubrania znalazły się w strzępach. Hell nie należał do ludzi sukcesu, z pięniędzmi było krucho, więc musiał sobie poradzić inaczej. W sukurs przyszły agrafka.

Na tym nie koniec koincydencji. Oto bowiem do Nowego Jorku zawitał wówczas płomiennowłosy Malcolm Edwards, już wówczas

posługujący się pseudonimem McLaren, londyński sklepikarz i chorobliwy amator prowokacji. Przez parę miesięcy bezskutecznie usiłował wypromować Hella jako niepokornego muzyka, jednak Ameryka nie była jeszcze gotowa na takie objawienie. McLaren wrócił więc do Londynu, do sklepu, który prowadził z Vivienne Westwood, swoją ówczesną narzeczoną, i obydwójce postanowili włączyć do asortymentu stroje podpatrzone w nowojorskich klubach alternatywnych. Uwagę narzeczonej Malcolma, eksnauczycielki i córki naczelnika poczty, zwróciły przede wszystkim podarte ubrania.

Geneza Sex Pistols, sztandarowego zespołu brytyjskiego punku, to odrębna historia, nas interesuje tu jej aspekt wizerunkowy. Na McLarenie i przyszłych muzykach Sex Pistols ogromne wrażenie zrobił właśnie Lydon, ale bynajmniej nie swoim talentem scenicznym (ten pozostawał chwilowo nieujawniony), lecz wyglądem. 19-letni Johnny miał zęby pomalowane na zielono, włosy nastroszone i ufarbowane, a na chudej piersi koszulkę z fabrycznym napisem PINK FLOYD i ręcznie dopisanymi słowami *I hate* (nienawidzę). Dla wyjaśnienia: zespół Pink Floyd był tym samym w muzyce, czym królowa Elżbieta i rząd w życiu społecznym – establishmentem.

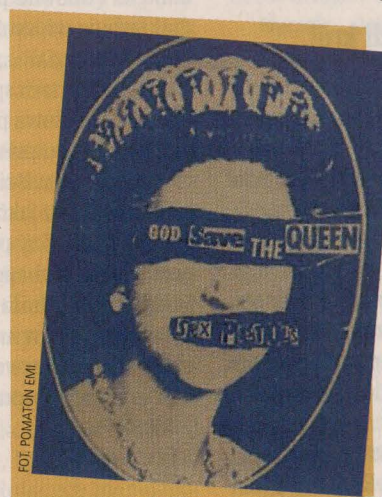
Vivienne Westwood doszła do wniosku, że odzienie Lydona to doskonałe przedłużenie jej własnych pomysłów.

Królowa punku

Westwood przyszła na świat w roku 1941 jako Vivienne Swire. Wychowana w niewielkiej miejscowości w robotniczym regionie środkowej Anglii dość wcześnie wyszła za mąż, zaczęła nauczać w londyńskiej szkole podstawowej i została matką. Na szczęście dla świata mody na jej drodze stanął pewien światowiec o rudych włosach.

– Malcolm był jak omen – wspomina dziś Westwood. – Po przyjeździe do Londynu czułam się głupiotka i pewnie taka byłam. Żadnej kultury. Malcolm pochodził z żydowskiej rodziny i miał zdecydowanie bardziej globalne spojrzenie na sprawy. On mnie też ubrał. Byłam blond lalunią w sztucznym futrze, on chlapanął mnie na ciemno i zaopatrzył w szkolny mundur. Potem sama zaczęłam wymyślać własny wizerunek.

Koronowana Lady Punk (zakazana okładka płyty Sex Pistols, 1977)



Punk na salonach – Vivienne podczas wyścigów w Ascot, rok 1995

W sklepie McLaren, który początkowo zwał się Let It Rock (Czadu!), potem Too Fast To Live, Too Young To Die (Za szybki na życie, za młody na śmierć), wreszcie po prostu Sex – od dawna można było dostać fetyzystyczne stroje dla oryginałów, dziwne *T-shirty* z szokującymi napisami i rysunkami, ubrania z lateksu i innych elastycznych tworzyw. – To był pomysł Malcolma, on chciał zagrać na nosie panującym układom – mówi

Westwood. – Wszyscy wkoło mieli dzwony i koturny, a ja przechadzałam się w przezroczystej halce, kabaretkach, botach na szpilkach i z włosami we wszystkie strony.

Pod wpływem narzeczonego Vivienne zaczęła projektować stroje, ale metodą obrała mocno nietypową jak na świat mody. I tu dochodzi do sedna całej historii. Zainspirowana destrukcyjnymi poczynaniami Lydona,

członków Ramones i zapomnianej przez historię dziewczyny Richarda Hella, zaczęła kroić istniejące ubrania, by zbadać ich strukturę i ewentualnie potraktować jako punkt wyjścia do nowych układanek. Gdyby nie pierwsi punkowie, Westwood nie byłaby dziś uznana za geniusz, zaś gdyby nie jej wycucie stylu (i interesu zarazem), punk pozostałby formą ekspresji wąskiego grona młodzieży po obydwu stronach Atlantyku, nigdy natomiast nie stałby się stylem.

I o to, że stał się stylem, ma do niej do dziś pretensje John Lydon.

Wielki rockandrollowy szwindel

– Malcolm i Vivienne sprzedawali często stare wzory, ale przemalowane na nietypowe kolory – wyjaśnia „Przekrojowi” były wokalista Sex Pistols. – Kupowałem u nich czasami, ale nie traktowałem ich obydwójka jako wyroczni, zaopatrywałem się też gdzie indziej. Strasznie ich to wkurzało, bo uważali, że mają monopol na punk. Do dziś każde z nich tak twierdzi. Punk nie był żadnym pieprzonym stylem, ale wyrazem indywidualizmu.

FOT. CAMERA PRESS / BULLS (4)



Gdy wokół wołano: „No future”, ona śmiało patrzyła w przyszłość (Vivienne w swoim sklepie przy King's Road, 1977)

Moi kumple i ja ubieraliśmy się, jak każdy chciał, dowolnie kombinując i zmieniając gotowe elementy. Vivienne widziała to na nas, po czym papugowała patent, sprzedawała jako nowy projekt za ciężką kasę i płodziła kolejne zastępy głupców ślepo podążających za modą. I jeszcze bezczelnie utrzymywała, że to jej własne koncepcje. Fałsz i brak skromności.

Malcolm McLaren równie chętnie przyznaje się do autorstwa prowokacji sprzed ćwierćwiecza. W opublikowanym niedawno w dzienniku „The Guardian” wspomnieniu nadzwyczaj często używa zaimka „my”. Istotnie, miał kilka niezwykłych pomysłów. To on wpadł na pomysł, by Sex Pistols podpisywali kolejne kontrakty z wielkimi wytwórniami (co dla ich publiczności było synonimem zdrady ideału niezależności). Kontrakty były niemal natychmiast zrywane przez same koncerty, co wiązało się ze sporym odszkodowaniem. On wymyślił, by zespół zagrał koncert na statku wycieczkowym na Tamizie, zakłócając oficjalne uroczystości jubileuszowe, co skończyło się interwencją policji, zatrzymaniem w areszcie i groźbami ze strony czynników oficjalnych. McLaren wreszcie namówił wybitnego młodego grafika nazwiskiem Jamie Reid, by zaprojektował okładki płyt Sex Pistols. Szczególne wrażenie robiło zdjęcie Elżbiety II na kopercie płytki z piosenką „God Save the Queen”: oblicze monarchini przeszyte było agrafką.

Dziś singel ten na nowo pojawia się w sklepach – na 50-lecie królowania. W tej samej okładce jest równie obrazoburczy jak wtedy. Tyle że tym razem trudno już przeoczyć go w mediach. Czwierć wieku temu radio BBC wydało zakaz emisji piosenki, a duże sklepy odmówiły jej sprzedaży. Mimo to piosenka trafiła na pierwsze miejsce listy bestsellerów.

Sex Pistols nie byli osamotnieni. Na scenach angielskich zaroiło się wówczas od podobnie

bezkompromisowych grup: The Damned, The Clash, Sham 69 i dziesiątek innych. Niektóre podchwytywały pomysły Lydona (i Westwood). Muzycy Clash z kolei preferowali zwykłe ubrania pochłapane byle jak farbą. Niezależnie od wizerunku wszyscy młodzi muzycy wykrzykiwali swój protest przeciwko nierównościom społecznym, zakłamaniu rządzących, brutalnej policji, biedzie i mediom. Na tym tle Sex Pistols mogli uchodzić za nihilistów. – Błąd! – burza się dziś Lydon. – Sex Pistols to był prawdziwy punk, czyli indywidualna postawa, wcale nie negacja, tylko alternatywa wobec systemu. Cała reszta zespołów to punk rock, a więc muzyka oparta na podobnych schematach. Ale oni przemawiali w imieniu swoich fanów, a my wyłącznie we własnym. Reprezentowaliśmy tylko siebie.

Dwa lata później punk inspirowany i infiltrowany przez ludzi pokroju Vivienne Westwood stał się elementem rynku, a więc własną parodią. Jak śpiewał zespół The Clash, młode punki podpisały kontrakty.

Królowa panuje, odszedł król, odeszła królowa

Johnny Rotten, sfrustrowany manipulacjami McLarena jako menedżera Sex Pistols, porzucił zespół w roku 1978, zrezygnował z punkowego pseudonimu i rozpoczął nową, interesującą i znacznie trudniejszą przygodę muzyczną z grupą Public Image Ltd. Kanadyjski muzyk Neil Young w piosence „My My, Hey Hey (Out of the Blue)” złożył mu hołd: „Odszedł król, lecz go nie zapomnimy / Oto historia Jasia Zgniłka / Lepiej się wypalić, niż zardzewieć”.

Nad amerykańskimi pionierami wisi fatum. Dwóch czołowych muzyków Ramones, Joey

i Dee Dee Ramone, nie żyje. Pierwszy zmarł rok temu na raka, drugiego w zeszłym tygodniu znaleziono martwego w domu.

Malcolm McLaren zarobił na Sex Pistols sporo. Część potem musiał oddać jako zaległe tantiemy, ale nadal bywa na salonach. Od czasu do czasu wydaje płyty pod własnym nazwiskiem, gromadząc na nich postacie z różnych sfer sztuki (nagrał między innymi piosenki z Catherine Deneuve). Jak pisze w „The Guardian”: „Nie zmieniłem zdania o monarchii od 1977 roku”.

Vivienne Westwood od początku lat 80. zachwyca oryginalnością i śmiałością projektów. Zawsze punktem wyjścia są dla niej historyczne wzory, które łączy z artefaktami, elementami i przydatkami współczesnymi, by na gruzach starego i nowego stworzyć niepojęte. Krzyżuje na przykład XVIII-wieczny strój piracki z torebką plastikową na głowę i perłowymi botkami. 10 lat temu królowa Elżbieta II dostrzegła geniusz u dawnej kontestatorce i udekorowała ją Orderem Imperium Brytyjskiego. A że projektantka przyszła na ceremonię bez majtek? Podobno przez niedopatrzenie. Do dziś farbuje włosy na pomarańczowo i stawia je „na krochmal”. „Punk? To był tylko wizerunek, żaden tam sposób myślenia” – przekonuje była królowa punku, a obecnie gwiazda establishmentu prêt-à-porter.

Czy rzeczywiście? Punk narodził się jako niezgoda, wręcz jako bunt. I w tym sensie punk jest wieczny. Czy przybiera postać uniesień poetyckich Rimbauda albo prowokacji Oscara Wilde’a, czy hałaśliwych piosenek młodych Beatlesów u progu wielkiej kariery, czy wreszcie nerwowego kina niezależnego – zawsze mówi wprost: „Wasza przyszłość nie jest moją”.

FILIP ŁOBODZIŃSKI

SALON Nr 6 WYTRZEŻWIENIE

POD REDAKCJĄ TADEUSZA NYCZKA

WŁODZIMIERZ BOLECKI LITERATURA, ANDRZEJ CHŁOPECKI MUZYKA,
PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ KULTURA ALTERNATYWNA, MARIA KORNATOWSKA FILM,
PIOTR RYPSO SZTUKA, MARYLA ZIELIŃSKA TEATR

Nyczek: Uszanowanie redaktorstwa. Na poprzednim zebraniu z udziałem Pana Ministra Kultury dowiedzieliśmy się, że nasz gość zamierza wziąć pod ministerialne skrzydła opuszczoną podobno od wszystkich działkę urbanistyki i planowania przestrzennego. Wywołało to wśród koleżeństwa żwawe zainteresowanie. Porozmawiamy zatem o tym, „jak żyliśmy, jak żyjemy i do czego doprowadziliśmy nasze mieszkania” – że zacytuję tytuł jednego z najśłynniejszych programów kabaretowych krakowskiej Piwnicy pod Baranami, jeszcze z lat 60. pewnego niezapomnianego stulecia.

Dunin-Wąsowicz: Od jednego kolegi słyszałem taką historię. Na boisku jego podstawówki menele jeszcze niedawno chlejący tam wódę, wino i piwo poustawiali grille i zaczęli urządzać regularne *garden party*. Pytanie: czy mamy do czynienia z zawłaszczaniem przez element świętego miejsca publicznego – czy też z naturalnym zachowaniem członków społeczeństwa obywatelskiego, którzy tę publiczną przestrzeń uznali za własną? Nie mają własnych ogrodów, mieszkają w 10-piętrowych blokach, więc doszli do wniosku, że jeżeli młodzież wieczorem nie korzysta z boiska, mają pełne prawo piknikować na trawie.

Nyczek: W socjalizmie chyba nie do pomyslenia. To mi przypominało inną historię. Kiedy zarządzono budowę Nowej Huty na pohybel staremu Krakowowi, jednym z pomysłów Gomułki było osiedlenie tam Cyganów, dotąd tradycyjnie jeżdżących taborami. Dali im mieszkania w blokach i kazali żyć jak inni. Boże, co tam się wyrabiało! Zamieszkaliśmy w tym czasie z rodzicami w Hucie, w późnych latach 50., przypadkiem obok tych cygańskich bloków, więc miałem to na co dzień. Palili ogniska na podwórkach, śpiewali, piekli mięso, pili na umór. Zimą w mieszkaniach palili ogniska z klepek parkietowych, trzymali świnię w pokojach i węgiel w wannach, choć były kaloryfery. Usiłowali jakoś ośwoić swoimi sposobami przestrzeń publiczną, ale wpadali w skrajny z nią konflikt. Dzisiaj, jak widać z opowieści Dunia o grillujących menelach,

ta odległość między osobistym a publicznym bardzo się zmniejszyła.

Dunin-Wąsowicz: Czasem aż za bardzo. Na moim dawnym osiedlu Zatrasiu, na warszawskim Żoliborzu, teren boiska szkolnego został zawłaszczony przez prywatną szkołę jazdy i z boiska zostały tylko pola manewrowe.



Zielińska: Odkąd Polacy stali się społeczeństwem obywatelskim,

lubią nie tylko grillować czy uczyć się jeździć na boiskach, ale i na przykład stawiać gdzie bądź pomniki.

Wystarczy powołać fundację albo stowarzyszenie. Na pustym, pięknym przedpolu pałacu w Wilanowie pewien absolwent SGGW, czując się artystą, wymyślił sobie pomnik Jana III Sobieskiego, dwuczęściowy. Jedną część – Jan Sobieski jako gospodarz Wilanowa, z żoną Marysieńką i dwoma pieskami, bo trzeci się już nie zmieścił, jak to jest w tym wierszyku. Część druga...

Nyczek: ...Jakim wierszyku? Ja, za przeproszeniem, jestem z Galicji, a Państwo, korzystając z przewagi liczebnej, rzucacie przykładami stołeczno-mazowieckimi.

Zielińska: To szło jakoś tak: „Król Sobieski miał trzy pieski, żółty, biały i niebieski”.

Nyczek: Dziękuję w imieniu reszty ojczyzny.

Zielińska: Proszę uprzejmie. Druga część pomnika miała czcić Sobieskiego jako żołnierza, stąd pomysł powiększenia jego buławy hetmańskiej do 75 metrów. W górnej części obywatel ów umyślił wystawić lokal gastronomiczny, żeby społeczeństwo, pijąc kawę, mogło podziwiać kominy elektrociepłowni Siekierki i cementarz. Otóż w demokracji są mechanizmy mogące doprowadzić do tego, by takie zamie-

nienie mogło być zrealizowane – pomysłodawca doprowadził nawet do referendum gminnego. Po różnych perturbacjach z konserwatorem zabytków i władzami gminy odpowiadającymi za porządek przestrzenny pomnik kompromisowo skurczył się do 10 metrów i przypomina trzepaczkę do ubijania piany. To nie wszystko. Na tę niedoszlą 75-metrową buławę facet dostał w darze od jakiegoś producenta kilka ton miedzi w formie trzech walców, które uroczystie zostały odsłonięte przed pałacem Wilanowskim. Ciagle tam sterczą. Zmierzam do tego, że demokracja tu akurat zaszkoziła przestrzeni miejskiej, dopuszczając do głosu wariatów. I póki co nie stworzyła mechanizmów mogących nas chronić przed taką działalnością.



Chłopecki: Ludzie najczęściej organizują sobie

przestrzeń według własnego widzimisie, skoro już wolno.

Zauważmy, co się stało z naszymi miastami, kiedy po 1989 wszystko zaczęło pękać. Najprostszy przykład: jak na architekturę i całe miejskie otoczenie zaczął wpływać prywatny handel, te wszystkie łóżka, z których się sprzedawało serki topione i mięso. Centrum Warszawy przypominało w pewnej chwili żywą martwą naturę z płócien starych Holendrów. Różne samowolki architektoniczne są z tej samej parafii. Jest pytanie: powiedzieć obywatelom, że możecie z przestrzenią robić, co wam się podoba, czy że jednak są granice i od tego momentu wara, bo tu rządzą wyższe siły, powiedzmy – przytomny konserwator.

Nyczek: Handel uliczny możemy odpuścić, to inna bajka. Fakt, że wiąże się z pejzażem przestrzennym, ale jako element bardzo ruchomy i w efekcie przejściowy. Przecież teraz już niemal znikł.

Kornatowska: Ale tam! Jak przyjeżdżam do Warszawy, pierwsze, co się rzuca w oczy, to już nawet nie łóżka, ale jakieś zbite deski, na których leży a to bielizna, a to kupa sznurów. Ohyda. I to ma być stolica? Nawet Nowy Świat jest zaśmiecony.

Bolecki: Handel uliczny jest we wszystkich wielkich miastach. Na Manhattanie, w Londynie, w Monachium, w Sztokholmie, w Paryżu.

Kornatowska: Prawda. Ale, nie wiedzieć czemu, tu to jakoś inaczej wygląda. Na dziedzińcu.

Bolecki [z towarzyszeniem spontanicznego chóru pozostałych]: Niestety.

Kornatowska: Weźmy taką Łódź. Niby wielkie, przemysłowe miasto, drugie po Warszawie. Grille w ogródkach na tyłach starych kamienic to jeszcze nic, zwykła moda. Ale na rogach ulic, na różnych schodkach i murkach, przed sklepami, zwłaszcza całodobowymi, trwa życie towarzyskie. Gdzie tylko jakiś mur, młodzi czy starzy siadają i tkwią tam od rana.

Chłopecki: Na Schodach Hiszpańskich w Rzymie także różni tkwią i nikt nie narzeka.

Bolecki: Na łódzkiej Piotrkowskiej siedzą na murku, obok Grand Hotelu, ale tylko dlatego, że tam zamiast Schodów Hiszpańskich są delikatesy.

Kornatowska: Na Schodach Hiszpańskich nie siedzą mieszkańcy Rzymu, tylko turyści. To, co się w Polsce teraz dzieje, to wchodzenie do miast wsiowych obyczajów, całkiem jak w nowojorskim Harlemie. Owszem, Harlem nie wie, ale tam też gromadzą się gdzieś po rogach i obok sklepów Murzyni, i tak całymi dniami stoją. Za socjalizmu w PRL-u mówiono, że nie ma lokali, nie ma się gdzie spotykać, że jest nuda. A teraz lokali ile bądź, a ci nieszczęśnicy tam dalej stoją po ulicach albo siedzą.

Rypson: Na Boga, przecież nie możemy zachowywać się jak arystokraci, którym lud wszedł nagle do ogrodu!

 We współczesnym mieście ścierają się różne siły, to jest żywy organizm, w którym się dzieją najróżniejsze rzeczy, raz fajne, raz nefajne.

Widziałem w TV Planete wspaniały program o Portorykańczykach w Nowym Jorku. Przyjechali tam w latach 30. i generalnie żyli na ulicy, mówiąc, że to ich przestrzeń, bo tam mieszkali. W razie potrzeby sąsiedzi zajmowa-

li się dziećmi, mieli wszystko na oku. Rządzili się swoimi prawami i był porządek.

Kornatowska: Ja nie jestem za ani przeciw, bo ten obyczaj istnieje, ale sprawia, że miasto przestaje być miastem. Niedawno były Dni Łodzi. W samym centrum zrobiono rozmaite turnieje, skoki, biegi, cały małymiateczkowy odpust. Być może jest to na świecie powszechne, że ludzie mają dosyć wielkich miast i osuwają przestrzeń, rozbijając ją. Ale ja akurat nie jestem zwolenniczką tych zjawisk, na przykład urządzania odpustu na głównej ulicy miasta. Nie jesteśmy ani Amsterdamem, ani Nowym Jorkiem, ani Paryżem, prawdziwa mieszczańskość jest tu nadal słaba, a jej resztki doprowadza się do rozbicia.

Nyczek: A może ludzie wreszcie po prostu zaczęli się dobrze czuć ze sobą i swoim środowiskiem?

 Włoskie miasta od setek lat tak wyglądają, majtki na sznurach nad ulicami, gołe dzieci biegają.

 **Kornatowska:** Ale dlaczego tam to jest malownicze, a u nas jakby niekoniecznie?

Włosi są innym typem ludzi, poza tym wszystko – architektura, pejzaż śródziemnomorski, styl życia – jakoś dobrze współgra ze sobą, nawet te majtki powieszone.

Nyczek: No, dobrze. Czy wobec tego uważacie, że Polska ma szansę stać się pięknym krajem? Myślę o przestrzeni życiowej, egzystencjalnej, naszych domach, wsiach, miastach.

Kornatowska: W najbliższym czasie na pewno nie. Przeciwnie, Polska paskudnieje przez te rozwalone centra miejskie, rozpanoszone reklamy. Jest zaśmiecona, chaotyczna. Jeśli mamy już społeczeństwo obywatelskie, o którym mówicie, to na razie stanowi dowód na istniejącą od XVIII wieku anarchię. Niewiele mieliśmy czasu na rozwinięcie prawdziwej, odpowiedzialnej obywatelskości. Bo o czym świadczą te buławy Sobieskiego i budy z ciuchami w środku miasta?

Chłopecki: Co innego przestrzeń urbanistyczna, kolory tynków, proporcje budowli, nawet kolor reklam. I co innego rodzaj życia, jakie się w tym toczy. Ale fakt, trudno to rozdzielić.

Patrzmy na piękny budynek, a pod nim mur, żule piją piwo i rzucają pod siebie puszki. Tu człowiek się zachwyci, a tam zbrzydzi. Ale myślę, że architektura mimo wszystko się zmienia, i to na lepsze. Miasta, łącznie z Warszawą – a tak, moi państwo, łącznie z nią – są coraz bardziej atrakcyjne. Weźmy Kraków. Nie chodzi tylko o to, że elewacje wielu kamienic zostały przywrócone do dawnego piękna, ale że miasto odżyło, na Rynek można pójść o 12 w południe i o 12 w nocy. I to samo jest w Toruniu, w Lublinie, Gdańsku.

 **Dunin-Wąsowicz:** Gdańsk ostatnio przegrywa. Lublin bardzo się wysforował, Wrocław i Poznań też, ale Gdańsk jest bardzo smutny. Ale ja mam inne pytanie: co zrobić z tym sidingiem?

Rypson z Boleckim [jednogłośnie]: Z czym? **Dunin-Wąsowicz:** Z sidingiem.

Zielińska: Ale to już przeszło.

Dunin-Wąsowicz: Mnie się wydaje, że przeciwnie, rośnie w siłę.

Rypson z Boleckim [nadal jednogłośnie]: O czym wy mówicie?!

Nyczek: O tym białym na budynkach, co na prowincji było modne z 10 lat temu.

Zielińska: Takie sztachetki jako okleina.

Rypson z Boleckim [jednogłośnie]: Ach, siding!

Dunin-Wąsowicz: No, wreszcie. Dla mnie to jest jedyny przykład wydawania przez ludzi pieniędzy na ozdoby. Przejaw prywatnej estetyki.

Chłopecki: A lusterka? Denka od butelek?

Rypson: Ludzie, o czym wy mówicie? O jakichś przelotnych dewiacjach estetycznych, podczas gdy niemal cały polski pejzaż przypomina zły sen architektonicznego Franksteina. Przecież nie jest tak, że tylko bogate społeczeństwo jest w stanie wyprodukować piękny krajobraz, piękną chałupę, piękny dom. Biedne społeczeństwa też to umieją. Potrafią powtarzać dobre, wypracowane przez wieki wzory tworzące spójną strukturę i trzeba się nieźle nabiedzić, żeby to schrzanić. A jak to jest, że w Polsce to się chrzani niezależnie od regionu? Jechałem niedawno autobusem do Zakopanego i zamykałem oczy, bo to, co tam powyrastało, jest koszmarnie zupełnie. A cepełiowska góralszczyzna jak rak rozpełzła się od Bieszczadów po Kaszuby.

Bolecki: Pełzała nie bez przyczyny. Mówimy o kraju, w którym przez dziesięciolecia paranoja polityczna miała wpływ na systematyczną dewastację przestrzeni – zarówno przez budujących, jak i architektów. Bieda inwestorów prywatnych, idiotyzm państwowych, brak nowoczesnych technologii, materiałów budowlanych, kretyńskie regulacje prawne itd. No i sprawa najistotniejsza – estetyczna dewastacja wyobraźni przeciętnego „budującego się” obywatela. Pani Maria wybrzydzała na wiejski charakter miast, że taki nienowoczesny. Nie zgadzam się z tym. Są społeczeństwa, w których tradycja wiejska jest znacznie silniejsza niż miejska i które są z tego dumne. Skandynawia, Ameryka Łacińska, Włochy południowe, wiele innych. Kraje skandynawskie pielęgnują swoją wiejskość jako podstawę wręcz swojej tożsamości, drewno jest tam budulcem równie szanowanym na prowincji, co w miastach. Nie uświadczysz nad jeziorem betonowego silosu w funkcji domu letniego. Ta wiejskość jest wzorem piękna, prostoty, harmonii, które się kultuwuje. W Polsce odwrotnie, co świadczy o głębokim wykorzenieniu ludzi z krajobrazu i przyrody, i to w społeczeństwie, które w swojej masie jest przecież bardziej wiejskie niż mieszczańskie. U nas faktycznie nastąpiło zerwanie naturalnej ciągłości między wsią a miastem, bo historyczne napięcia społeczne komunizm utrwalił w formie klasowych antagonizmów.

Nyczek: Mamo komuno, wielkie ci dzięki! Dostaliśmy w spadku po tobie nie tylko wewnętrzną agresję, ale rozlewiska wielkopłytowych bloków w miastach i betonowe pudełka jednorodzinne na prowincji.

Stąd moje pytanie: czy przyszła Polska ma szansę być pięknym krajem, bo co zrobić z tym, co już stoi?

 **Bolecki:** Szanse są zawsze, ale chodzi o czas.

 **Zielińska:** Nie widzę tego w każdym razie za naszego życia.

[Gwar podnosi się znaczny, bo każdy jednak chciałby, żeby Polska... Ale czy Polska chce?]

Nyczek: A czy Polska tego chce? Przecież tych klocków-koszmarek wręcz przybywa! To już nie kwestia polityki ani pieniędzy, ale mentalności!

Bolecki: Redaktorze drogi. Niech redaktor będzie łaskaw wziąć trochę z wielu pism poświęconych domom czy ogródkom. Tam są rzeczy naprawdę wspaniałe, świadczące

o najwyższym wysmakowaniu, o tym, że ludzie kochają swoje mieszkania i umieją je urządzać.

Nyczek: W socjalizmie też kochali, tyle że pism nie było.

Bolecki: Nie mieli szans realizacji tych możliwości.

Nyczek: Fakt, możliwości były niewielkie.

Chłopecki: Co do tych betonowych klocków. Myślę, że w ten sposób ludzie chcieli uciec od wsiowości, awansować cywilizacyjnie. A ponieważ ten parszywy projekt architektoniczny był najtańszy, spopularyzował się i w latach 60.-70. stał się wręcz symbolem moderny.

Dunin-Wąsowicz: Moi rodzice mieszkali w Warszawie w kamienicy na Górskiego, samo centrum. Ale mieszkanie było w oficynie, w amfiladzie, na czwartym piętrze, nie było windy, babcia miała 70 lat, a ja się miałem urodzić. Byli szczęśliwi, że się przeprowadzają do bloku na pierwszym piętrze. Mieszkanie ciasne, mniejsze, ale rozkładowe. Nikt tam ciągle nie kuł, nie brakowało ciepłej wody i nie było zrujnowane.

Bolecki: Andrzej mówi o czym innym: że w latach 60. betonowe pudełko było bardziej szpaniarskie od chałupy, a płytki PCV uważano za coś o wiele bardziej nowoczesnego i piękniejszego niż banalne deski podłogowe.

Kornatowska: Znam ludzi, którzy wyrzucili stare meble, kupowali jakieś regały, meblościanki, i teraz plują sobie w brodę.

Chłopecki: Byli jeszcze tacy, co w kamienicach poodkuwali z sufitów stiuki czy amorki, żeby mieszkanie wyglądało nowocześnie. Wszystko tu się w ogóle pozapętało okropnie. W pewnym momencie miejska inteligencja zaczęła kupować stare chaty wiejskie, kultuwać strzechy, kiedy wieś te strzechy zdzierała ze wstydem i pokrywała eternitem.

Bolecki: Pamietajcie państwo o ideologii. Wszystko co stare uznawano za burżuazyjne, a na tym miejscu miało być nowe, w domyśle socjalistyczne, czyli nowoczesne.

Kornatowska: Ależ niekoniecznie! Przed wojną też odcinano się od pewnych wzorców estetycznych w imię nowoczesności! Taka secesja czy art déco były w pogardzie, bo liczyła się prostota, funkcjonalizm itd. Ile w latach 60. wyburzono w Nowym Jorku pięknych, secesyjnych domów, bo ta moda wciąż trwała!

Dunin-Wąsowicz: W gotyku wyburzano drewniane, romańskie budowle, w baroku gotyckie i tak dalej. I normalne jest, że w Warszawie przy Puławskiej wyburzono socjalistyczne kino Moskwa i zbudowano multiplex. Choć nie jest normalne, że w mieście, gdzie zachowało się 15 procent przedwojennej substancji budowlanej, wyburza się nadal stare budynki, zwłaszcza w ścisłym centrum.

Zielińska: Tym bardziej potrzebne jest stworzenie jakiejś instytucji architektów miasta, co na początku lat 90. zostało zlikwidowane...

 **Chłopecki:** Protestuję przeciwko ograniczaniu wolności obywatelskiej i oddawaniu rzeczy w ręce urzędników. Nie chcę.
 **Kornatowska:** A ja chcę.

Zielińska: ...Przynajmniej żeby można było z nimi porozmawiać...

Chłopecki: Nie chcę z nimi rozmawiać!

Zielińska: A ja marzę, żeby minister Celiński wprowadził do swojego urzędu specjalnego urzędnika od przestrzeni!

Nyczek: Ciska! Uwaga. Naczelnny plastyk naszego „Salonu...”, redaktor Rypson, podsumuje dyskusję, wygłaszając przy okazji własną opinię.

Rypson: Pani domaga się powołania kogoś, kto będzie projektował, decydował. Ja też jestem za tym. Wy jesteście przeciwko, dobrze. I tak jak na razie dominuje w Polsce model amerykański, który pozwala robić wszystko, stawiać, rozwalać, bo kto zabroni? A model jest silny i dużo wody upłynie w Missisipi do czasu, kiedy Amerykaninowi ktoś powie, że nie wolno mu zrobić czegoś za własne pieniądze na własnej ziemi. Ale Ameryka to inne tradycje, inny rodzaj społeczeństwa. Skądinąd na całym świecie trwają dyskusje na temat wolności w tych sprawach. Dwa tygodnie temu rozmawiałem z wiceprezydentem Warszawy. Opowiadał, ile mu storpedowano rozmaitych inicjatyw przez żywioł mieszkańców, którzy po prostu mówili „nie”. To nam się nie podoba, tu będzie za głośno. Po 22 nie będzie żadnego otwartego ogródka czy kawiarni. Nie mówiąc o poważniejszych inwestycjach miejskich.

Bolecki: Na całym świecie mieszkańcy mają takie prawa.

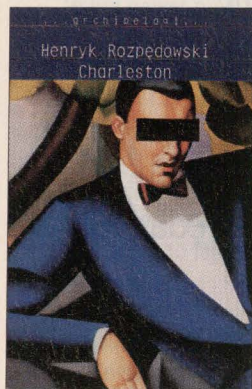
Rypson: Ale są miasta, gdzie jest tak, że po prostu jak ci się nie podoba, to musisz się wyprowadzić do innej dzielnicy, bo tutaj są, powiedzmy, bary i restauracje i one pełnią swoje publiczne funkcje.

Bolecki: Jednak w państwach demokratycznych społeczność lokalna decyduje.

Rypson: Ale jednak do pewnych granic, których u nas nie ma.

Nyczek: W odróżnieniu od naszego spotkania, które granice mieć musi. Dziękuję koleżance i do zobaczenia za dwa tygodnie.

„Salon W.” dziękuje klubowi Bagatela przy warszawskiej Bagateli za niebagatelną gościnę.



Henryk Rozpędowski,
„Charleston”,
W.A.B., Warszawa 2002

Charleston jest wyjątkowo dynamicznym i rytmicznym tańcem. Czytając „Charleston”, powieściowy debiut Henryka Rozpędowskiego, gubi się rytm mniej więcej co kilkadziesiąt stron. W książce obejmującej czas od lat 20. do 80. autor uwodzi nas początkowo barokową, bardzo zmysłową opowieścią o Kubie Boroniu i jego inicjacjach, w której pod hałdami metafor i ozdóbników ledwo szmerze strumyczek fabuły. Później mamy do czynienia z wielopoziomą, niezwykle sugestywną i krwistą prozą opisującą wojenne i powojenne losy chłopca stopniowo pozbawianego niewinności. Całość zwieńczona jest groteskową puentą. Według Rozpędowskiego jest to historia człowieka, który się zjadł. Mam jednak wrażenie, że nie człowiek jest w tej powieści najważniejszy, od papierowych sylwetek ludzkich bardziej rzuca się w oczy drapieżny styl i językowa werwa autora (określającego na przykład październikową odwilż mianem „ruskiego cukierka dla trupa”). „Realizm, senne marzenia, bluźnierstwo, tragedia, facecja, grotesk, gdy się dobrze wczyta, nawet poezja” – zgoda. Tyle że „Charleston” jest w gruncie rzeczy wyjątkowo ambitną porażką. Książką wybitną, z której niewiele się zapamiętuje. (PC)



Ian McEwan „Pokuta”,
przeł. Andrzej Szulc,
Albatros,
Warszawa 2002

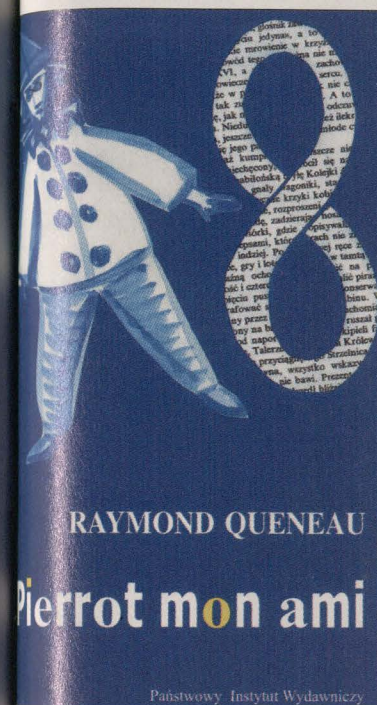
„Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością” – gdyby Ian McEwan wiedział o istnieniu Zygmunta Krasńskiego, mógłby swą najnowszą powieść poprzedzić takim właśnie mottem. „Pokuta” traktuje bowiem o układaniu romansu ze szczęśliwym zakończeniem. O przekształcaniu w niego autentycznej tragedii, za którą ponosi się odpowiedzialność. Przyglądając się temu, jak powstaje literatura, angielski prozaik wnika w świadomość człowieka piszącego. Czyli w prawdziwą strefę mroku i kłamstwa. Briony Tallis jest utalentowanym literackim dzieckiem traktującym życie jako scenę, gdzie rozgrywają się dramaty, które ma obserwować i imitować, choć ich jeszcze nie rozumie. Tajemnicą są dla niej przede wszystkim erotyczne rytuały: użucie dwojga 20-latków oraz przemiana 15-letniej kuzynki w kobietę. Kiedy uwieńczy je seksualny finał, nieopierzona dramatopisarka potraktuje go jako akt zbrodniczy i doprowadzi do ukarania „przestępcy”. Pięknie skrojona narracja zawiera w sobie wszystkie elementy „klasycznej” literatury: jej tematem jest wielka namiętność, a sprawdzianem dla uczucia staje się wojna opisana z ładu epickim rozmachem (te partie książki to pokaz mistrzowskiej klasy McEwana). Kochankowie pozostają wierni sobie i czystości pomimo strasznych doświadczeń, natomiast przeciwstawieni im „oprawcy” konsekwentnie trwają w grzechu milczenia. (MIZ)

Nasz przyjaciel Pierrot

Raymond Queneau jak nikt inny potrafi łączyć śmiech z filozofią i matematyczne szyfry z beztroską zabawą

Równo 60 lat temu Raymond Queneau wydał książkę „Pierrot mon ami”. Dziś, w przekładzie Anny Wasilewskiej, książka ta ukazuje się pod świetnie przetłumaczonym tytułem „Pierrot mon ami”. Jest to książka zabawna i wyrafinowana, zagadkowa i potoczna, promienna i ponura, klarowna i eliptyczna, czyli taka, jakich mało jest w literaturze polskiej, w której zwykle dominuje jedno albo drugie. Albo śmiech, albo filozofia, albo historia, albo myślenie: tak zwykle rozkładają się akcenty w polskich powieściach, co oznacza, że można opowiadać uciśne historie, nie prowokując wcale do myślenia, lub odwrotnie – pisać ponure opowieści, z których

wygnano raz na zawsze ochotę do śmiechu. Queneau zdaje się tę szkodliwą opozycję unieważniać i pisać wyrafinowaną kompozycyjnie powieść o naiwnym prostaczku Pierrocie, który po rozmaitych – najczęściej zabawnych – perypetiach zdobywa życiową mądrość, o jakiej nie śniło się filozofom (nawiasem mówiąc, przedstawionym w powieści pod postacią podglądaczy damskich wdzięków w lunaparku). Mądrość, która pozwala niczego nie posiadać i do niczego się nie przywiązywać („Samochody, wycieczki, znaczki pocztowe – przyglądał im się z całą powagą znawcy wyzbytego wszelkich trosk posiadania, z zadowoleniem, jakie daje pełna bezinteresowność”).



która objawia się śmiechem na końcu powieści („Kiedy doszedł do rogu ulicy, przystanął. Zaczął się śmiać”). Już z tego powodu, z powodu bohatera, który za pomocą bezinteresownego śmiechu rozprawia się z filozofami lubieżnie podglądającymi spektakl świata, książka Queneau warta jest czujnej uwagi, tym bardziej że powieść filozoficzna (w której poważne kwestie metafizyczne oglądane są z ironicznego dystansu) w literaturze współczesnej nie jest gatunkiem zbyt popularnym.

Gdyby jednak w tak popularnej recenzji jak ta niebacznie napisał, że: ● Raymond Queneau był pisarzem awangardowym, jednym z twórców tak zwanego OuLiPo, czyli Warsztatu Literatury Potencjalnej, i autorem bardzo zabawnych tekstów opartych na skrzętnie ukrytej

metodzie komponowania łączącej matematykę z retoryką, na przykład „Ćwiczeń stylistycznych”, gdzie banalne zdarzenie w autobusie zostało opowiedziane na 99 różnych sposobów z użyciem 99 różnych figur stylistycznych;

● Raymond Queneau był z zamiłowania encyklopedystą, co powodowało, że od pisania w młodości „Encyklopedii Nauk Nieścisłych” doszedł do sprawowania nader odpowiedzialnej funkcji kuratora Encyklopedii Plejady, wcześniej jednak postanowił wzorem bohatera Sartre’owskich „Młodości” przeczytać wszystkie książki znajdujące

się w bibliotece miejskiej w Hawrze;

● Raymond Queneau największe upodobanie znajdował w kombinatoryce matematycznej, której najpełniejsze wcielenie odnajdywał w języku;

● Raymond Queneau próbował zreformować francuski język pisany, zapisując niektóre wyrazy fonetycznie i – jak pisze tłumaczka – „zasilając go strukturami i ortografią mowy potocznej”;

● Raymond Queneau był autorem powieści, których – według oceny jego przyjaciela, amerykańskiego pisarza Harry’ego Matthews’a – „nikt jeszcze nie rozszyfrował do końca (...) i nikomu się to nigdy nie uda”;

● Raymond Queneau uważał za swoich duchowych mistrzów gnostyków, Hegla i słynnego interpretatora Hegla sfrancuziałego Rosjanina

Kożewnikowa alias Kojewe’a, którego wykłady o Heglu Queneau wydał tuż po wojnie i bez którego nie byłoby większości najciekawszych humanistów francuskich;

● Raymond Queneau w swoich powieściach – jak napisał pewien filozof – „odkrywa przed nami alegoryczny i hipotetyczny charakter filozofii historii, która zachowuje walor prawdy jedynie za cenę ironicznej transpozycji”;

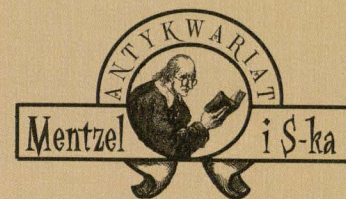
● Raymond Queneau jest autorem naszpikowanej naukowym żargonem „Małej kosmogonii kieszonkowej” wierszem (napisanej oczywiście aleksandrynem, czyli francuskim odpowiednikiem wiersza, jakim napisany jest „Pan Tadeusz”);

● Raymond Queneau – według Italo Calvina – „kpił sobie z historii, zaprzeczając jej stawianiu się i sprowadzając ją do substancji codziennego przeżycia”;

gdybym więc to wszystko w recenzji z „Pierrot mon ami” napisał, to oczywiście redakcja „Przekroju” nigdy by tego tekstu nie opublikowała i żaden rozsądny czytelnik książki Queneau nie wzięby do ręki. Skoro jednak nigdy tego nie napiszę, powieść „Pierrot mon ami” po entuzjastycznej recenzji w „Przekroju” może śmiało liczyć na wielki sukces, co spowoduje, że w najbliższej przyszłości z pewnością ukażą się w polskim tłumaczeniu wszystkie dzieła Raymonda Queneau.

MICHAŁ PAWEŁ
MARKOWSKI

Raymond Queneau „Pierrot mon ami”,
przeł. Anna Wasilewska,
PIW, Warszawa 2002

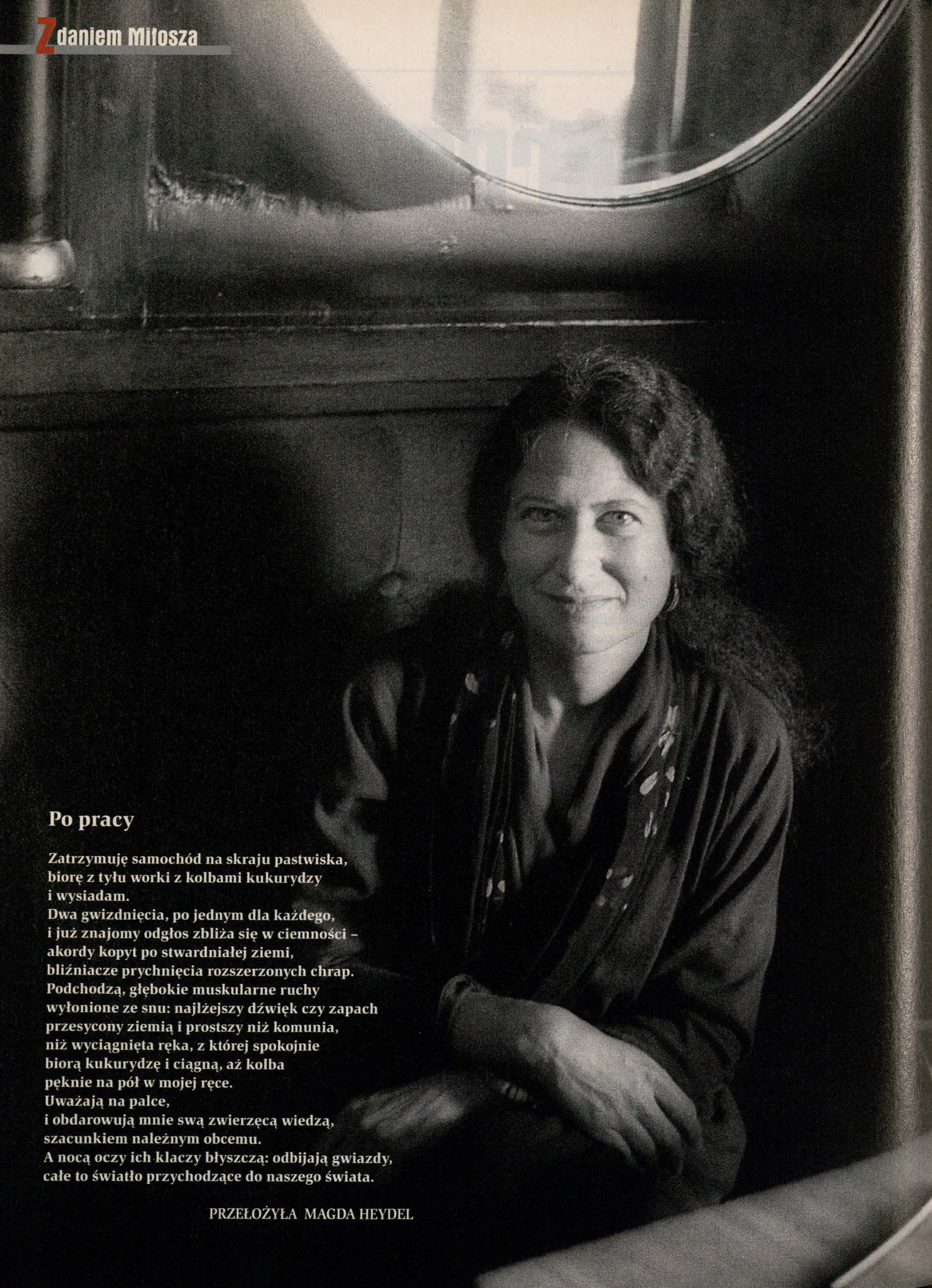


Miron Białoszewski
„Trzydzieści lat wierszy”.
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 1982, 210 s.

W „Pięknych dwudziestoletnich” Marek Hłasko wspomina swoją wizytę u Artura Sandauera – poszedł pożyczyc pieniądze: „Sandauer zaczął mi czytać wiersze Białoszewskiego; ja siedziałem i nic nie rozumiałem. Wreszcie Sandauer przerwał czytanie. – Rozumie pan? – Nie – powiedziałem. – Proszę słuchać – rzekł Sandauer i zaczął czytać dalej. [...] Ja patrzyłem w niego, ale mimo nadludzkich wysiłków woli nie wiedziałem, o co chodzi. – Rozumie pan? – Nie – powiedziałem. – Nic? – Zupełnie nic. – Jak to jest możliwe?”. Sandauer nie pojmował, dlaczego Hłasko nie pojmował, bo Białoszewski był dla niego poetą nadzwyczaj racjonalnym. Weźmy, chociażby, „Funkcję” z tomu „Rachunek zachciankowy”: „a ciąg? / na smyczy / radarowa smoc / taka such sztuczna / nylonozawsze / nykoń / rola uprawiana przez funkcję / rzy.. yix / mrówka pszczoły / porozumiewawczarnia / jeno / uwiera / wieża / nieprzesadzania / na przykład / ze skorupiakiem po mleku”. Wiersz jest skrótowy – wyjaśniał Sandauer – jak skróty staną się w kosmicznej, godnej społeczeństwa pszczoł czy mrówek „porozumiewawczarni” sposoby porozumiewania się. W zdematerializowanym przez technikę świecie, gdzie z nylonu będą nawet przysłówki (nie mówiąc o koniach), gdzie nawet rolę będą uprawiać funkcje, jakieś rżące „x” czy „y”, pozostanie jednak coś, co będzie „uwierać” i co „przesadzi” się nie da: jakaś skorupka świadcząca o nieusuwalnym istnieniu materii. Kto wie – zastanawiał się krytyk – czy w poezji Białoszewskiego nie rodzą się „zagadnienia, które stanowią będą palącą aktualność nadchodzących stuleci”. Kto wie, czy nie zarysowuje się tu przyszły konflikt – Ziemi z Kosmitami. „Rozumie pan? – Nie. – Nic? – Zupełnie nic. – Jak to jest możliwe?”.

ZBMENTZEL@WP.PL





Po pracy

Zatrzymuję samochód na skraju pastwiska,
biorę z tyłu worki z kolbami kukurydzy
i wysiadam.
Dwa gwizdnięcia, po jednym dla każdego,
i już znajomy odgłos zbliża się w ciemności –
akordy kopyt po stwardniałej ziemi,
bliźniacze prychnięcia rozszerzonych chrap.
Podchodzą, głębokie muskularne ruchy
wyłonię z snu: najłżejszy dźwięk czy zapach
przesycony ziemią i prostszy niż komunია,
niż wyciągnięta ręka, z której spokojnie
biorą kukurydzę i ciągną, aż kolba
pęknie na pół w mojej ręce.
Uważają na palce,
i obdarowują mnie swą zwierzęcą wiedzą,
szacunkiem należnym obcemu.
A nocą oczy ich klaczy błyszczą: odbijają gwiazdy,
całe to światło przychodzące do naszego świata.

PRZEŁOŻYŁA MAGDA HEYDEL

Niełatwo zachwycić Czesława Miłosza.
Udało się to Jane Hirshfield

Siostra poetka

Kilka lat temu głęboko poruszył mnie wiersz
Jane Hirshfield i przetłumaczyłem go na polski.
Oto ten wiersz:

Opowieść

*Kobieta opowiada mi
o ślicznym ptaszku,
który, martwy, leżał
przez trzy dni na parapecie okna.
O swojej córeczce, która przybiegła
wołając: „Mamo, on żyje!”
Kiedy tam poszła, chyba żył.
Smaragdowe piórka skrzydeł
ruszały się, gardło
zdawało się znów pulsować.
Z bliska zobaczyła,
jak rzeczywiście życie podnosi się
pod skrzydłami. Odwróciła twarz,
żeby dziecko nie widziało, choć zobaczy.*

Jest w tym wierszu wszystko, czego potrzebujemy, żeby uświadomić sobie nasze miejsce w świecie. Dziecko podbiega do matki z wiadomością, że martwy ptaszek na parapecie okna rusza się, matka podchodzi i widzi, że to, co dziecko bierze za życie, jest rojeniem się drobnych owadów żywiących się trupem ptaka. Dziecko jeszcze nie wie, ale matka wie i czuje się zażenowana tą swoją wiedzą o powszechności umierania i rodzenia się, żeby umierać. Właśnie to zażenowanie, chęć oszczędzenia dziecku wiedzy mnie przejmuję. To jak ojciec księcia Siddharthy, który trzymał syna w pałacu, żeby ten nie wymknął się na miasto i nie odkrył, że prawem ziemi jest cierpienie, choroba, nędza, śmierć. Książę jednak odkrył nędzę istnienia i żeby wyzwolić ludzi, stał się Buddą.

Czytając i tłumacząc ten wiersz, nie mogłem nie myśleć o roli buddyzmu w biografii tej poetki. Wychowała się w Nowym Jorku w areligijnej

rodzinie żydowskiej, studiowała w Princeton, następnie przez rok pracowała na farmie, po czym samotnie wybrała się w podróż przez całe Stany Zjednoczone swoim minibusem zaopatrzone w łóżko, lodówkę i kuchenkę. Traktowała tę podróż jako poszukiwanie samej siebie. W Kalifornii odwiedziła klasztor zen w górach nad Pacyfikiem, początkowo na krótko, ale wróciła tam i przez trzy lata poddawała się rygorystycznej, ascetycznej dyscyplinie. Jak sama stwierdza, gdyby nie to doświadczenie, jej poezja byłaby zupełnie inna. Choć w jej poezji bardzo rzadko występują wiersze ściśle religijne.

Jako wieloletni mieszkaniec Kalifornii świadomy jestem znaczenia buddyzmu dla wielu tamtejszych poetów i, przyznam się szczerze, nie pozbawiony nieufności wobec tych adaptacji wielkich religii Wschodu. Ale buddyzm jest dla mnie przede wszystkim wrażliwością na cierpienie wszelkich istot żywych i ogromnym współczuciem. To właśnie znajduję w poezji Jane Hirshfield i dlatego ją cenię. Tematem jej poezji jest codzienność naszego życia wśród ludzi, co odbywa się przy naszych ciągłych spotkaniach ze wszystkim, co przynosi nam ziemię, a więc drzewami, kwiatami, ptakami, zwierzętami. I wiele zależy od tego, czy umiemy cieszyć się chwilą i czy odnosimy się przyjaźnie zarówno do ludzi, jak i kotów, psów, koni. Bardzo sensualna, ta poezja uświetnia wielką buddyjską cnotę, mianowicie „uwaga”. Jeden z jej wierszy opisuje chwile spotkania z końmi na pastwisku. Znaleźć go można w tym tomie i nosi tytuł „Po pracy”. Tak prosta czynność jak dawanie koniom kolb kukurydzy staje się tajemniczym rytuałem.

*(...) biorą kukurydzę i ciągną, aż kolba
pęknie na pół w mojej ręce.
Uważają na palce
i obdarowują mnie swą zwierzęcą wiedzą,
szacunkiem należnym obcemu. (...)*

Przecież życie nasze jest bardzo interesujące, tylko trzeba to rozumieć i wtedy te niezliczone spotkania innych istot nabierają ogromnego znaczenia. I nawet przedmioty przemawiają do nas wyobrażeniem ludzi, którzy te przedmioty wykonali. Na przykład tomik jakiejś poetki. Jane Hirshfield za temat jednego ze swoich wierszy obrała rozmyślanie o pokoju, w którym pracuje nieznana jej osobicie poetka, czyli jest to jakby ćwiczenie wyobraźni. Mówię o wierszu pod tytułem „Poetka”.

W tym początku XXI wieku pisze się mnóstwo poezji i o poezji. Kto wie, czy to rzemiosło nie dostarcza utworów, które stanowią część sztuki życia. Nie jest to ani wiedza naukowa, ani filozofia, może po prostu jakieś utrwalone kapsułki energii przekazywane za pośrednictwem zadrukowanych kartek. I w rezultacie coś bardzo zbliżonego do modlitwy.

Jane Hirshfield jest ceniona w Ameryce zarówno za swoją poezję, jak i za swe rozmyślania o poezji. Brała udział w Międzynarodowym Spotkaniu Poetów w Krakowie w roku 2000. W Kalifornii mieszkaliśmy przedzieleni Zatoką San Francisco, ja w Berkeley, ona w Marin County. Jest jedną z wybitnych osobowości w naszej tamtejszej konfraterni poetów. Cieszę się, że Magda Heydel, znana ze swoich kompetentnych tłumaczeń, zrobiła wybór z kilku tomików mojej kalifornijskiej koleżanki.

CZESŁAW MIŁOSZ

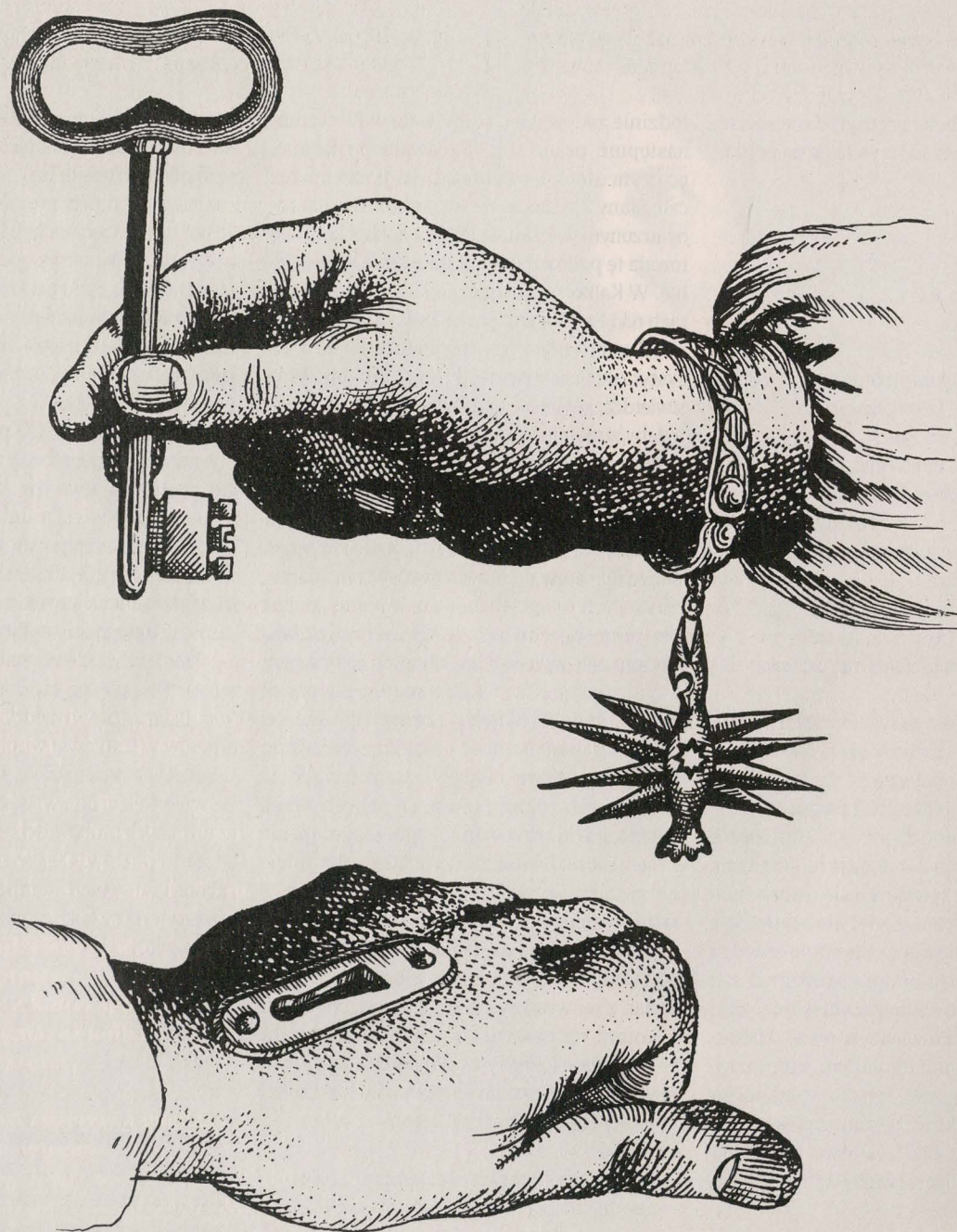
Jane Hirshfield odwiedzi Polskę w lipcu tego roku, aby wziąć udział w warsztatach poetyckich w Krakowie. Wtedy też ukaże się – nakładem wydawnictwa Znak – wybór jej wierszy pod tytułem „Uwaga” w przekładzie Magdy Heydel ze wstępem Czesława Miłosza, który dziś publikujemy.

PIOTR WOJCIECHOWSKI

RYSUNKI DMITRIJ SZEWIONKOW-KISMIEŁOW

KOBIETY Z NASZEGO PLEMENIA

(Z cyklu „Opowieści czterech wiatrów”)



Piotr Wojciechowski (ur. 1938) zasłynął cyklem nadrealistycznych powieści zapoczątkowanym w roku 1967 „Kamiennymi pszczołami”. W kolejnych tomach – takich jak „Czaszka w czaszce”, „Wysokie pokoje”, „Obraz napowietrzny” i „Harpunnik otchłani” – powołał do życia alternatywną Europę Środkową, w której mityczna historia krain wymaginowanych przenika się z prawdziwymi najnowszymi dziejami Polski. Jednocześnie inne jego utwory, jak najnowsza powieść „Próba listopada” (2000) czy część opowiadań ze zbioru „Półtora królestwa”, utrzymane są w konwencji realistycznej. Przedstawiamy dziś Państwu najnowsze opowiadanie Piotra Wojciechowskiego pt. „Kobiety z naszego plemienia” napisane specjalnie dla „Przekroju”.

Autor jest nowym prezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Autobus z Wilkołapa do Grudzińsk przez Wytycz Leśny nie zatrzymał się w Brusku. Padało nieustannie, skośnie, bo górą szedł wiatr od wilkołapskich łąk nad Bugiem, szumiał w młodym listowiu ogromnych sokor przy ogrodzeniu kościoła. Resztki dnia, szarówka. Autobus nawet nie zwolnił, może kierowca wypił, może nie dostrzegł tej jednej sylwetki w deszczu przed sklepem U Pani Jadziuni.

Sebastian pobiegł za autobusem, człapiąc sandałami w kałuże na dziurawym asfalcie. Kilkanaście kroków i stop. Pobiegł, aby udowodnić sobie tym zrywem bez sensu, że zrobił wszystko, aby. Jak dotąd nie zrobił nic. Zawrócił, wszedł na podwórze domu przy sklepie, ale zaraz pies wypędził go za furtkę. Nikt nie wyrżał, mimo że ujadanie niesło się w deszczu, pobudziło inne psy, osady, tenory, falsety, barytony.

W czwartym obejściu otworzyły się drzwi, w żółtawej jasności framugi ukazała się postać w podkoszulku i szortach.

Sebastian spytał chłopca, czy zawiezie go do Wytycza, bo musi, bo autobus uciekł, ostatni. Sebastian wyciągnął portfel, a z portfela stówkę.

– Pojechałbym, ale krowa mi się będzie celiła. Trzeba dopilnować. Możesz pan zanoć, jutro piąta dwanaście leci pracowniczy.

Wtedy zobaczył rower. Nie do pożyczania, potrzebny od rana. Mimo to do sprzedania.

I już jechał tym ciężkim, popiskującym od piachu w przekładni rowerem Ukraina. W deszczu, w zgęstniałym nagle mroku, piaszczystymi skrókami bruskiego lasu, które znał na pamięć. Rodzice zbudowali dom w Wytyczu – Letnisku. Sebastian był jeszcze w podstawówce. I z ojcem jeździł rowerem do sklepu w Brusku po chleb, po piwo, po lody. Na początku z ojcem, potem sam, z kolegami z sąsiedztwa, ostatnio z Hanką. Las, potem polana ze szkółką leśną i zbiornikiem pożarowym, wydma porośnięta brzoźkami i bór nad rzeczką Szupot słynący z jagód i grzybów.

Na wydmie zaczął spadać łańcuch. Zakładał go parę razy, w końcu postawił rower pod brzozą, wytarł w mokrą trawę uczernione smarem dłonie. Na klęczkach, bardzo starannie i długo wycierał dłonie, starając się nie myśleć, dlaczego to robi.

Dalej pieszo, już blisko. Truchtem, pośpiesznym marszem. W Wytyczu – Letnisku zostało tylko parę chłopskich zagrod. Reszta wykupiona, przerobiona na działki. Jeszcze w stanie wojennym pierwsze działki kupił dla swoich pracowników instytut wojskowo-lotniczy. Jakiś czas było to modne miejsce, budowali się ludzie z uniwersytetu, prokuratury, był śpiewak operowy, jakaś pisarka czy redaktorka z trójką kundli. Jej goście opalali się na golasa, w pierwszym roku było to coś. Potem rok po roku żywopłot robił się bardziej gęsty, a golasy jakby się zestarały. Może już inne towarzystwo przyjeżdżało do literatki. Starsi.

Już tu. Ulica Poziomkowa. Dom rodziców Sebastiana był jeden z największych – najpiękniejszy na pewno. Małżeństwo adwokata od spraw rozwodowych i notariuszki – to był bardzo korzystny układ. Gdy kupili działkę, matka była jeszcze w prokuraturze, kiedy musiała odejść, przyjaciele pomogli jej zrobić papiery i otworzyć kancelarię notariusza. Przy budowie nie było więc kłopotów. Nie musieli nawet brać kredytów, ale brali. Ojciec tłumaczył Sebastianowi, dlaczego należało brać, ale wtedy nic to Sebastiana nie obeszło.

Zdjął z szyi woreczek z kluczami, chciał otworzyć furtkę. Była otwarta. Zamknął ją więc za sobą. Wszedł na ganek, spróbował klamki. Zamknięte na wszystkie zamki. Najważniejszego patentowego klucza nie można wsunąć, bo drugi tkwi od wewnątrz.

Odetchnął, jest w środku. W porządku, tego chciał. Ruszył przez wystrzyżony trawnik w stronę szopy na narzędzia, zdjął z haków na tylnej ścianie szopy drabinę. Deszcz ustawał, wiało i chwilami robiło się jasne, blade miejsce w chmurach. Wtedy widać było linię dachu, plamy drzew, czarne zarysy dwu sąsiednich domków. Przystawił drabinę do okapu, wspiął się po niej. Odnalazł właściwe miejsce, tuż ponad rynną, zszedł z drabiny na dachówki i ostrożnie wciągnął drabinę na dach. Było na kalenicy miejsce, gdzie zaczepiało się drabinę, aby było dojsię do komina. Widział raz, jak robił to kominiarz z Wilkołapa, a drugi raz, jak pan Zyzyk Mikuta zdejmował z dachu gałęzie zwalonej topoli. To był rok matury Sebastiana, kiedy wichura nałamała drzew w całej okolicy.

To nie było takie trudne. Po leżącej płasko na zielonych dachówkach drabinie doszedł do uchylonego okna w dachu. Wszystko było w najwyższym gatunku, dachówki kosztowały majątek, okno przywieziono gdzieś z Trójmiasta. Włamywacz nie miałby tu łatwo, ale Sebastian wiedział, że okno otworzy się przed nim. Ojciec jak zawsze posłał go przed wyjazdem, aby sprawdził okna na górze. I on sprawdził, że wszystkie są zamknięte. Docisnął klamki jak zawsze. Ale nie tę jedną w uchylnym szwedzkim oknie do pokoju gościnnego zamienionego na składzik. Dlaczego? Miał niejasne poczucie, że teraz nie może już być jak zawsze.

Okno powinno ustąpić, gdy popchnie dolną krawędź. Nic. Mocniej i znowu nic. Wyjął z kieszeni w bluzie pęk kluczy, płaski klucz wsunął w szczelinę. Wiedząc, że tak właśnie może złamać klucz, podważył. Klucz wytrzymał, okno ustąpiło. Nogami naprzód wsunął się do składziku, owionął go znajomy zapach. Dobre proszki do prania plus dym kominkowego drewna. Omijając deskę do prasowania, karton z odkurzaczem i od paru sezonów nieużywany rower matki, Sebastian dotarł do drzwi i uchylił je. Słuchał. Potem zdjął sandały i boso poszedł korytarzem, w sypialni ojca było pusto, tak samo w sypialni matki. Jego własny pokój był w końcu korytarzyka, miał okno w szczytowej ścianie. Czy nie zostawił drzwi otwartych? Były zamknięte, ale nie na klucz. Słuchem, węchem, omackiem sprawdził, że i tu nie było nikogo. Zszedł schodami w dół. Parter był podzielony kominkiem i piecem kuchennym na część jadalną i to, o czym mówiono „liwing”. Przeszedł cicho jak duch mimo stołu jadalnego do korytarzyka przy drzwiach wejściowych. Idę cicho jak duch – tak myślał.

Odnalazł na wieszaku swoją żółtą żeglarską kurtkę, namacał w kieszeni latarkę. I wtedy uświadomił sobie, że przed chwilą przez mgnienie widział kątem oka czerwony jasny punkcik jaśniejszy niż ogienek papierosa. Odbicie w szkle oprawionej akwareli „Jachty w St. Tropez”, kicz pamiątkowy przywieziony przed rokiem przez ojca. Czerwony punkcik żaru. Palenisko kominka. Tu. Nie zapalając latarki, podszedł. Była drobna jak dziecko. Pościagała z foteli klubowych i kanapy futrzane kędzierzawe obicia i zrobiła sobie legowisko blisko płomieni. Nakryła się kraciatą serwetą ze stołu w liwingu, ale pewnie ogień napaliła mocny, rozkryła się przez sen i widział teraz jej połowę oświetloną okruczem zarzewia, profil ze smugą jasnych włosów, szyję, drobną pierś z lekko różowiejącą strażnicą sutka na szczycie, łuk żeber, biodro i nogę aż po wesołe towarzystwo pięciu drobnych paluszków.

Zjawiła się, gdy już byli gotowi do odjazdu.

Odnosił wiosła do szopy, kiedy usłyszał, że rodzice z kimś rozmawiają.

Wybuch ojca: Co za... co za propozycja! Idź szukać dalej, ktoś cię przenocuje...

Zza furtki wyglądała tylko połowa twarzy – uważne oczy i grzywa jasnych włosów zasłaniająca czoło.

– Zostałabym tylko dwa dni i potem odwiozła klucze. I tak będę jechać przez Warszawę. Odwiozę państwu. Ulica Franczesko Nullo to gdzieś na Ursynowie?

– Nie, to blisko placu... – zaczął Sebastian.

– Nie wtrącaj się! – uciął wyjaśnienia ojciec. – Proszę odejść!

Dziewczyna za furtką uchwyciła krawędź furtki i stając na poprzecznej listwie dolnego zawiasu, wysunęła się tak, że zobaczyli jej twarz i ramiona. Tak zawsze wynurzali się koledzy Sebastiana, gdy przychodzili pytać, czy może iść z nimi na rower czy na boisko.

– Naprawdę nie mam gdzie iść, panie mecenasie. Miałam spać w lesie, ale niech pan spojrzysz na niebo. Zaraz chluśnie. A tu taki dom stoi pusty. Gdzie logika?

– Nie rozmawiaj z nią. Zaraz zadzwonię po policję – wtrąciła matka.

– Przecież to bez sensu, pani prokurator. Na posterunku w Grudzińskich jest ich czterech i mają chyba zajęcie. Przez weekend trzy domki okradziono w Brusku. To oczywiście firma ochroniarska straszy tych, co nie wykupili usług, ale gliniarze i tak muszą spisać, opieczetować. Pani to zna... Może pani poprosić męża, żeby mnie postraszył jakąś giberą, przecież musi mieć broń. Ale ja się śmierci nie boję, ja się trochę boję burzy.

Matka spojrzała bezradnie na ojca, a potem zatrzymała wzrok na Sebastianie. A on wpatrywał się w dziewczynę. Przy geście, jakim wskazywała na dom, odwróciła się bransoletka z kolorowej plecionki na jej szczupłym przegubie. Przy plecionce błysnął mosiężny wisior – ażurowy ptak z promieniami gwiazdy zamiast skrzydeł.

– Sebastian, idź do auta – powiedziała matka. – Miałeś jeszcze umyć dywaniki.

– Hydrofor już wyłączyłem – odpowiedział.

– Masz dosyć deszczówki.

– Ja już u państwa spałam dwa razy – odezwała się dziewczyna. – Ale to był lipiec, a ja miałam śpiwór ze sobą. Pysnie było pod wiatem na deskach, żaby grały... Teraz maj, a ja jestem, jak stoję. Niech mi państwo dadzą klucze. Jaki to będzie świat, jak nie potrafimy sobie trochę ufać?

– Niech pani spróbuje u sąsiadów – łagodniej odezwał się ojciec. – Tu pod szóstką już przyjechali na całe lato.

– U literatki? – zdziwiła się dziewczyna. – W jej książkach jest tylko strach i nienawiść, musiał pan czytać. A do tego jej psy. Bardzo miłe kundle, ale hałas. Tu słysząc, jak zaczynają jazgot. A są momenty, kiedy potrzebujemy ciszy tak jak chleba.

– To są pani sprawy, nie nasze – zaczęła znówu matka, mocno już poirytowana, z purpurowymi plamami na twarzy i szyi.

– Ale może państwu się przyda ktoś do popilnowania chaty przez parę dni. Łazi jakiś podpalacz, policja niby szuka. W Wilkołapie tak nagarował, że strażę z całego powiatu się zjechały. To jakiś psychol, wybiera zamożniejsze domy. Taki świr lewicowy. Ja wiem, jest polisa, dobre ubezpieczenie. Ale dom lepszy niż odszkodowanie, dobrze mówię, pani prokurator? Pani się zna.

Sebastian nie spodziewał się, że ojciec ustąpi. Dopiero w samochodzie dowiedział się, jaki ma być rozwój wypadków. Matka wyciągnęła komórkę, ledwie zamknęli bramę w ogrodzeniu. Zadzwoniła do Mikuty, miejscowego gospodarza, który przychodził do wszystkich awarii jako „złota rączka”. Był na bańce, jak to w niedzielę wieczór, więc umówiła się z Mikutową, aby Zyziek skoro świt podjechał do posterunku w Grudzińsku i wrócił z policjantem.

Złodziejka zabrała klucze, wygląda, że uciekła z poprawczaka. Oczywiście, benzyna, wszystkie koszty. Byle być w Grudzińsku bardzo rano. Jak trzeba dać policjantowi, trudno, dać.

Potem jechali w milczeniu leśnym traktem do asfaltu w zatroskanym i gniewnym milczeniu. Bez wymówek za kurz i piach na podnóżkach w hondzie.

Zaczął lać, wiatr tu i ówdzie rzucił na jezdnię gałęzie. W świetle lamp auta ich zieleń była fosforycznie ostra. Burzowe podmuchy miotły nimi poprzez kałuże w koleinach niby mokrymi sztafardami wojsk Birnamskiego Lasu.

– Tato, wysiądę w Białośni. Będę miał zaraz elektryczny, podjadę do Jędrasa, pouczymy się razem i pojutrze obydwa razem na egzamin.

– Ale miałeś uczyć się w domu. To ważny egzamin – zaoponowała zdziwiona matka.

– Oj, mam... wiem, że ważny. Dlatego się umówiłem z Jędrasem. To pracuś. Ma wszystkie notatki, a ja jeździłem na narty, a potem zarabiałem przy kongresie. On naściagał z Internetu materiałów z Harvardu, Bóg wie skąd... Jak złapię na teście z socjologii marketingu maksimum punktów, przeskoczę ze studiów płatnych na dzieńne.

– Wiem – odpowiedział ojciec. – Podwiozę cię do Jędrasa.

– Ale po co? Tam dziura na dziurze. Szkoda zawieszenia. Chcesz nową hondę załatwić? A ja mam elektryczny prawie pod sam dom Jędrasa.

Wysiadł na stacyjce w Białośni. Zobaczył, jak czerwone światła auta rodziców oddalają się i gasną, potem przez dymną jasność peronów przełomotał elektryczny z wagonami barbarzyńsko zabazanymi w niepojęte znaki, tajne alfabety grafficiarzy. Pomyślał, że Hanka zadzwoni do domu, potem do Jędrasa... Niech dzwoni. Nie chciał o niej myśleć. Już nie.

Wyszedł na pustą szosę z uczuciem lekkości, wyzwolającej strasy. Stał pod jedyną latarnią na skrzyżowaniu, zaczął machać na przejeżdżające samochody. Po kwadransie dostawczy zabrał go do Bruska.

Po czterech godzinach dotarł do letniego domu. „Na Wytyczu” – jak mówili miejscowi.

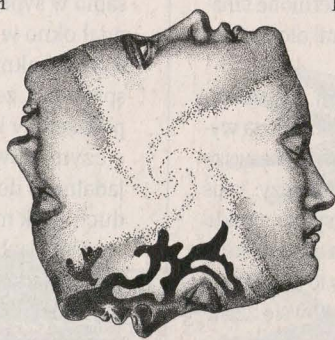
Nieznana była tu, w futrach gniazda przed ogniem.

Skradając się, dołożył parę polan na żar. Namacał zapałki nad okapem kominka, odszedł w najdalszy kąt pokoju. Tu był jego ulubiony fotel klubowy kryty skórą i świecznik na półce. Zapalił świecę, usiadł w jej świetle, wyciągnął zmęczone nogi i spojrzał ku drugiemu biegunowi jasności – młode salamandry ognia wypełzły właśnie z popiołu i wspinały się na drwa.

Poczuł, że spodnie nie cisną go już w kroczu, odpływa imperatyw erotycznego podniecenia mącący mu myśli. Odpływa jakby odstraszone jasnością. Widział pasma jasnych włosów rozrzucone na wezgłowie z futer, widział dziewczynę od tej strony, od której osłaniała ją huculska wełniana narzuta. Zrzucił mokre sandały.

Nie wiadomo, jaka była przynależność tego bezimiennego plemienia. Celtowie, Jądzwingowie, Słowianie, Ariowie czy Achajowie. Naukowcy wiedzieli zbyt mało, aby rozpocząć spór. Przechował się tylko mit o stracie kobiet, gdzieś daleko na Północy. Przechowała się nazwa jeziora, nie ma jej na żadnej mapie.

Był dziadek Lipowy, brat ojca matki. Tylko raz odwiedzili go w zapadłej wsi pod Grodnem. Nie głodował, miał kolejarską emeryturę, zagony cebuli, kapusty, ziemniaków. Udało mu się ocalić dwa ule ukryte chyttrze w labiryncie krzewów. Czasem któreś z doszczętnie zruszczonych dzieci przysyłało mu trochę rubli z niepojętych przestrzeni między Amurem a Sachalinem. To dziadek Lipowy wymówił nazwę jeziora Niteż. A może Nieciecz?



Kiedy mężczyźni wracali z wielkiego przepędu reniferów na wiosenne pastwiska, zagroziła im drogę czarna woda. Łódź na jeziorze Nece pękła od brzegu do brzegu i otworzyła się otchłań. Widzieli obcych pładujących obóz. Kiedy dotarli na brzeg, znaleźli tylko trupy chłopów i chłopaczków, niemowląt płci męskiej. Wszystko żeńskie zostało zabrane. Na ścieżkach pościgu znajdowali tu i ówdzie ozdoby, które pojmane zsuwały z przegubów, odpinały od sukien i zdejmowały z uszu – aby znaczyć drogę.

Pieszy nie dogoni konnego, przენigdy.

Kobiety plemienia zostały na zawsze stracone. Nowe kobiety porwane potem i kupowane u obcych umiały rodzić dzieci, ale przecież nie umiały uciarać z ziół takich przypraw. Nie znały kołysanek i zaklęć tamtych, coraz bardziej czerniejących w zbiorowej niepamięci. Te nowe garnki lepione przez obce kobiety były brzydkie. Plecionki z włosów i rzemyków nie opowiadały niczego. I nikt nie potrafił naszeptać zasypiającym chłopcom bajki o łuczniku Winnegardzie, który strzał stracił z nieba czarny księżyc. A dziewczynki nie miały od kogo nauczyć się trzystu zwrotek pieśni o białorękiej olbrzymce Garwynn, która pojmała i poślubiła króla Północnych Bagien. W tajemnicy przed obcymi matkami i siostrami ojcowie przekazywali synom ozdoby z cyny i brązu pozbierane na krwawych ścieżkach za jeziorem Nytte. Stulecie po stuleciu przechodziły z ojca na syna, a znajdowali się szaleni złotnicy, którzy robili ich kopie w mosiądzu i szlachetniejszych metalach. Te znaki pamięci nigdy nie były na sprzedaż.

Dziadek Lipowy nie był z lipowego drewna. Nie miał zielonych konarów zamiast ramion. Ale istniał naprawdę, miał krzywy dom w Woli Lipowej. Kiedy mama, babcia i szwagierka poszły kupić słoninę na kołchoznyj rynek, dziadek przyniósł ze strychu księgę ze śladami myślicz zębów na krytych kurdybanem drewnianych okładkach. Historia kobiet utraconych była tam spisana w dwu alfabetach, w trzech językach, z wyblakłymi rysunkami. Dziadek objaśniał wszystko dziesięcioletniemu Sebastianowi, a na koniec wsunął złoty od machorki palec między grzbiet okładki a zszycie kart. W wewnętrznej stronie okładki otworzyła się klapka, a w niej na wyściółce koloru zaschniętej krwi leżał srebrny ptak z osmioma promieniami gwiazdy zamiast skrzydeł.

– To biały kos – powiedział dziadek. – Przedłuża noc, przywraca wzrok niewidomym, obraca wiatry. Kobiety starego plemienia można odnaleźć. Poznasz je po tym, że kiedy spotkają znaki, bransolety, wisior, brosze – odzyskują część przedpamięci, przypomina się im umiejętność odnajdywania dróg, łagodność obyczaju, melodie kołysanek.

– A ty spotkałeś taką kobietę?

Dziadek milczał. A potem skierował na Sebastiana spojrzenie mocno niebieskich oczu i skinął głową.

– Ale wtedy byłem już z twoją babką. Zgryzłem się trochę, utrapiłem. Wierność ważniejsza.

Ogień w kominku zamierał. Sebastian wstał i zdjął ze ściany bęben, pamiątkę ojca z safari w Nigerii. Tak mocno, tak długo śmierzdział padliną, dymem, że nie mógł być podróbką made in Hongkong. Zagłębił się w fotel, położył sobie bęben na kolanach i cichutko zaczął na nim wystukiwać ten rytm, jaki dziadek zagrał mu palcami na okładce księgi.

Trochę głośniej.

I jeszcze.

Dziewczyna poruszyła się. Błysnęły białka otworzonych oczu.

– Musimy iść – powiedział Sebastian powoli i cicho, niepośpieszonym, przychylnym tonem. – Zaraz będzie świt.

Odnalazła go wzrokiem. Okryła się szczelnie serwetą, podniosła, podciągnęła kolana pod brodę. Wybił rytm na bębnie ledwie słyszalnie, najlżej.

– Przynieś mi coś do ubrania – powiedziała takim samym tonem nieznana. – Uprałam wszystko. A ty jesteś mokry. Twoje imię to...

– Sebastian. Bastek. Twoje imię to... I jeszcze – skąd masz białego kosa?

– Białego kosa mam od siostry. Od Narcyzy. Ona dostała od matki i zrobiła taki sam dla mnie i dla malej, Betki. Bo nas jest trzy. Matka powiedziała, że to się zdarza. Znaleźnienie człowieka. Idź, przynieś jakieś ciuchy.

– A twoje imię to...

– Dąbek Mira. Co, takie śmieszne?

– Dziadek Lipowy i Dąbek. Drzewni ludzie. Dorzuć na gorajkę, a ja poszukam.

Przestał bębnić. I w ciszy powrócił szum deszczu.

Szli w milczeniu pod parasolem, nad którym wysklepiała się szarzysta świta, jasnoperlowa w stronie łkowej, nad rozlewiskami Świsłoczy.

Po drodze zamienili tylko parę słów.

– Wiesz już, co to znaczy zostać na lodzie? – spytała Mira.

– Tak. Nie. Dlaczego?

– No, cała historia.

– No to wiem – odpowiedział Sebastian i nieśmiało objął swoją własną kurtkę żeglarską, a w niej Mirę w sukni plażowej matki i swetrze ojca.

Drzewa przy drodze na łąki majaczyły jak widma we mgle. Deszcz doszywał ostatnie ściegi. Przeleciała czapla.

U Mikutów już nie spano. Mikutowa szła przez podwórze z wiadrzem parowanych ziemniaków dla świń, a jej spódnicy czepiała się bosonoga dziewczyneczka w futrzanym wielkim serdaku nałożonym na koszulę nocną.

Mikutowa zmartwiona tłumaczyła się, że próbowała budzić męża, śpi. Jak śpi, to uparty. Ucieszyła się, kiedy Sebastian powiedział, że już nie trzeba do policji, że wyjaśniło się wszystko.

– To może państwo mleka? Zaraz będę doić.

– A nogi na łodziach? – spytało dziecko, zadzierając głowę. – Mamo, a nogi?

*Zeszła ku rzece, ku przystani
Garwynn, piękna Garwynn,
Znalazła co było dla niej
Za chodaki czółna na nogi Garwynn*

– zanuciła Mikutowa, a córka odpowiedziała jej natychmiast:
*A jak weszła w las między buki
Garwynn, wielka Garwynn
Stary buk uczyniła łukiem
Sosny brała na strzały Garwynn!*

Mira schyliła się i wzięła dziewczynkę na ręce. Wtedy z żółtego rękawa kurtki wysunął się jej przegub z wisiosem. Mikutowa wyciągnęła dłoń i przez moment obracała medalion z ptakiem w dłoniach.

– Mój też ma osiem promieni. Teściowa wypatrzyła przy moim kurpiowskim stroju, jak mieliśmy występy w Myszkowie. No i co, Zyziek zaczął za mną latać. Wiecie, przedłuża noc. Biały kos.

– Teraz już wiemy – odpowiedział Sebastian. – A ty skąd wiedziałas? – szepnęła do Miry.

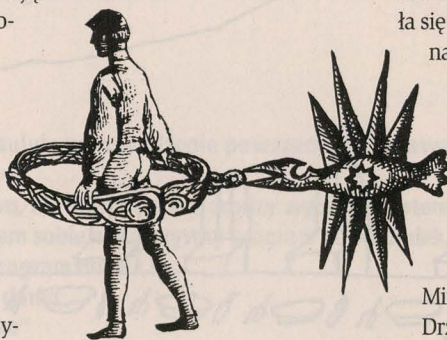
– Przedłuża noc, otwiera oczy, znajduje drogi.

Zadzwęczał łańcuch przy kołowrocie studni. Pan Zyziek chlusał wody do miednicy na kulawym krześle i mył się hałaśliwie.

– Dobry, panie Bastek – odpowiedział na powitanie i przetaił twarz ręcznikiem. – Co jest? Dom w porządku? A Marcia nową ciotkę znalazła?

– Dom w porządku – powiedziała Mira.

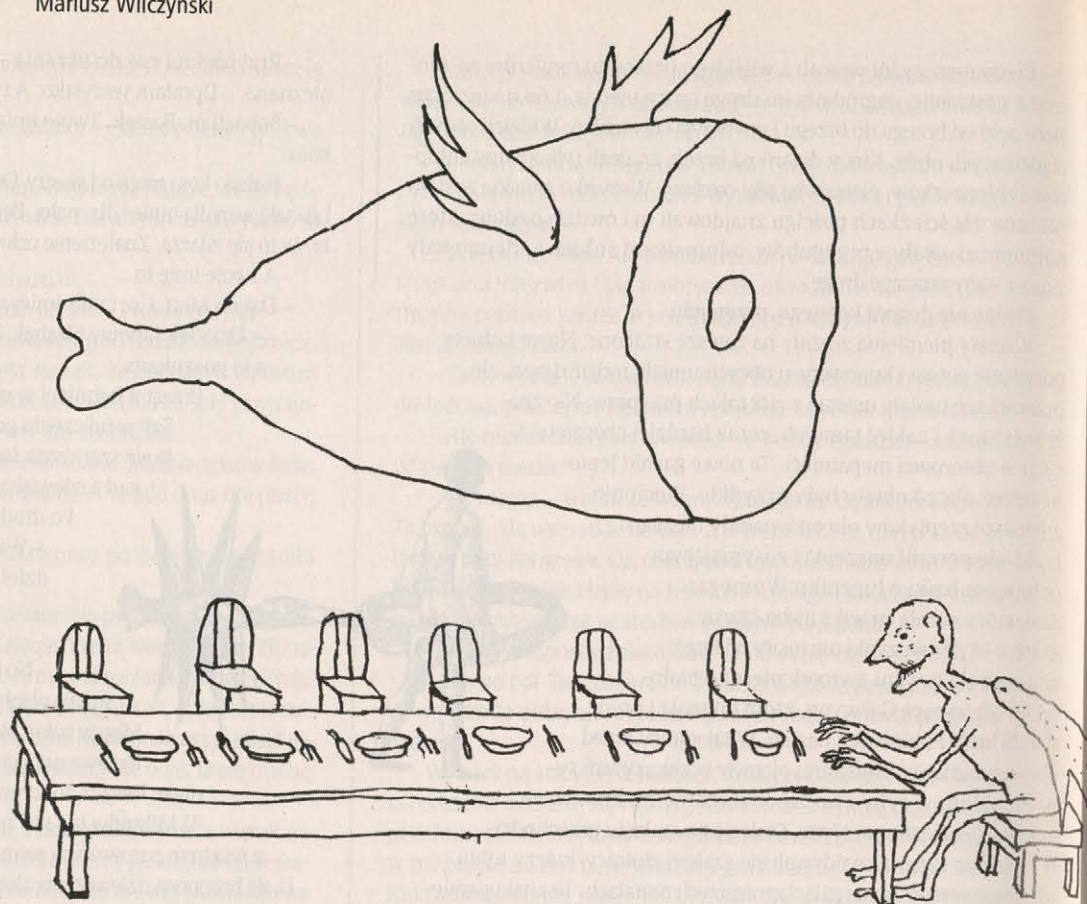
– Przyszliśmy na ciepłe mleko – wyjaśnił Sebastian, ale nic już nie trzeba było wyjaśniać.



HECA

- Każdemu się marzy słońce na plaży
- Co słycać? - Zależy, co kto mówi.
- Ani, ani, proszę pani.
- Na dotyk, to gotyk (turystyczne).
- Jaka sie tylko wtedy, gdy mówi
- Więcej poufałości jak znajomości.
- Proszę dzwonić, pukanie zepsute.
- Pobiegł klusem za autobusem.

HECA



Odpowiedz: Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść

Jak rozpoznać/wyrazić uczucie

- we Francji: L'AMOUR; JE T'AIME
- w krajach anglosaskich (i nie tylko): LOVE; I LOVE YOU
- w Hiszpanii i Ameryce Południowej (poza Brazylią): EL AMOR; TE QUIERO (chcę cię) lub TE AMO (bardziej wzniośle)
- we Włoszech: L'AMORE; TI VOGLIO BENE (bardzo cię pragnę) lub TI AMO (kocham cię)
- w Portugalii i Brazylii: O AMOR; AMO VOCE (kocham cię, panią, pana)
- w Szwecji: KÄRLEK; JAG ÄLSKAR DIG
- na Słowacji: LAŠKA; MILUJEM/LUBIM ŤA
- w Czechach: LÁSKA; MILUJI TĚ
- w Japonii: AI; mężczyzna mówi do kobiety AI SHITE IRU-YO (dosłownie: robię miłość - shite iru znaczy „jestem robiący”), kobieta mówi AI SHITE IRU-WA
- w Albanii: DASHURI (rzeczownik nieokreślony) lub DASHURIJA (miłość określona, na przykład do konkretnej osoby); TE DUA (dosłownie: chcę cię)
- na Węgrzech: SZEREELEM; SZERETLEK
- w Niemczech: LIEBE; ICH LIEBE DICH
- w Turcji: SEVDA; SENI SEVIYORUM

- w Rosji: LUBOW; JA LUBLU TIEBIA
- w Holandii: LIEFDE; IK HOU VAN JOU
- w Finlandii: RAKKAUS/LEMPI; MINÄ RAKASTAN
- w Norwegii: KJAERLIGHET; JEG ELSKER DEG
- w Danii: tak samo jak w Norwegii, tylko podczas wyznania miłości zamiast DEG mówimy DIG
- w Iranie: ESZQ, DUSTET DĀRAM (kocham cię) lub ĄSZEQ-E TO HASTAM (jestem w tobie zakochany/zakochana)

Zestaw niezbędnych wyrażen
i zwrotów w różnych językach świata

KICI KICI



RYŚ. MAREK SOBCHYZAFRYKI

PIĄTKA KLEPKA

Postanowiłem uratować kraj i dlatego przedstawiam program polityczny mój oraz moich zwolenników:

Prawidłowe funkcjonowanie społeczeństwa zapewnią przypominacze. Każdy obywatel od urodzenia będzie miał swojego przypominacza, który w każdej chwili będzie nad nim stał i przypominał mu, co ma robić: „Gulgotać! Gaworzyć! Jeść kaszkę! Rosnąć! Iść do szkoły! Kształcić się! Pracować! Spać! Umrzeć!”.

W przypadku bezrobotnych przypominacz będzie krzyczał: „Nic nie robić! Nic nie robić!”. Jest jednak możliwe, że wyeliminujemy bezrobocie dzięki zatrudnieniu bezrobotnych na stanowiska przypominaczy.

Wszystkich, którzy nie będą się zgadzać, zesłamy na emigrację wewnętrzną bez prawa powrotu.

PS. Jeżeli nie podoba Wam się ten program, nie martwcie się, drodzy wyborcy. Jestem nowoczesnym politykiem i od razu przygotowałem sobie alternatywny program na wypadek, gdyby tamten przegrał w sondażach. Oto mój program numer 2:

1. Wszystkie dzieci dostaną cukierki
2. Wszystkie kobiety dostaną kwiaty
3. Wszyscy mężczyźni dostaną flaszkę
4. Wszystkie wiewiórki dostaną orzeszki

Ze względu na ostatni punkt programu postuluję wprowadzenie powszechnego prawa wyborczego dla wiewiórek.

PS.PS. Jeżeli nie podoba Wam się ten program, nie martwcie się, drodzy wyborcy. Jestem nowoczesnym politykiem i od razu przygotowałem sobie alternatywny program na wypadek, gdyby tamten przegrał w sondażach. Oto mój program numer 3:

1. Po wygraniu wyborów zamierzam wyjść z domu
2. Skieruję się w lewo, w stronę sklepu „Żabka”
3. Zakupię chleb, boczek wędzony i czosnek
4. Przy kasie wezmę też butelkę wódki „Mocna”
5. Pójdę do domu i będę świętował

PS.PS.PS. Ten ostatni program już na pewno powinien Was przekonać, ponieważ jest bliski sercu każdego wyborcy. Jeżeli jednak nawet on nie zadowolił Was, w następnym tygodniu przedstawię kolejne.

TOMASZ PIĄTEK, lider PPS (Partia Post Scriptum)

SENNICZEK

ŚCIŚLE JAWNY

w Kalendarz strzelić
- podczas następnego sylwestra nie zachowasz należytej ostrożności przy otwieraniu butelki szampa

Karpia całować

- gustujesz w kobietach małowmnych

Kartofle tłuc

- wkurzają cię germanizmy w polszczyźnie

Kecupem się umazać

- ty wiesz, że telewizyjne reklamy proszków do prania są mocno przesadzone, ale twoja podświadomość o tym nie wie

Komputerem być

- złapiesz wirusa, a potem wypadnie ci dysk

Konie kraść

- jak się nie znasz na szachach, to przynajmniej przegrywaj z godnością

Kubusiem Puchatkiem być

- w napadzie ochoty na małe co nieco potrafisz zjeść całego prosiaczka

Baraneusz Dobrodziejwicz

za 1000 złotych można (wyżywić) • przez jeden dzień 260 więźniów zakładu karnego w Łodzi • przez 16 miesięcy dziecko w żłobku państwowym; dodatkowa opłata za opiekę • 200 psów i kotów w prywatnym schronisku przez dwa dni • jednego bezdomnego w przytułku w Elblągu przez 416 dni • przez osiem miesięcy studenta (pod warunkiem, że jada tylko obiady) w stołówce studenckiej Uniwersytetu Śląskiego w Sosnowcu; karnety tylko dla studentów dziennych • niedźwiedzia w zoo przez 50 dni letnich; zimą niedźwiedź jada więcej.

teraz szczęście

Szczęście to kino

Nie wiadomo nawet, z jakiej dziedziny jest *news*, który obiegł cały świat, jako zresztą najlepsza wiadomość tego dnia. Otóż Steven Spielberg ukończył studia filmowe i otrzymał prawomocny dyplom. Czy to można umieścić w kategorii „nauczanie”, „kształcenie się”, „tradycja rodzinna” (pójść na studia), czy w: „co się zaczęło, trzeba ukończyć” albo... „obiecałem rodzicom”?

Facet z Oscarami kończy studia, po których to studiach 90 i 9 procent studentów marzących choćby o nominacji do Oscara nie będzie miało szans. Ci studenci się uczą. Ciągłe się uczą u Spielberga. Założmy, że część nawet nie myśli o nagrodach, tylko o perfekcji. Oni przecież także mają wzór w Spielbergu.

Od dzieciństwa stara się zostać tym, kim jest. I w dodatku ma wsparcie rodziców. To i legenda, i najprawdziwsza prawda. Szczęście to kino! Kręci filmy z udziałem innych dzieciaków. Mając lat 19, jest już nagradzanym filmowcem.

Teraz dzisiejsze 19-latki na spotkaniu w szkole filmowej chciałyby mu wyrwać tę tajemnicę. Jak on to zrobił - filmy zatykające dech w piersiach, zarabiające setki milionów dolarów? A on - sobą. Boi się, marzy, cierpi, pęka ze śmiechu. Wszystko. Jak twierdzi: wind nie lubi, do kolejki górskiej nie wsiądzie, a meblom odpiłowuje nogi, żeby na niego w nocy nie ruszyły. I ten facet gromadzi siedem tysięcy żywych węży i jakieś kobry z opiekunem, i jeszcze parę tysięcy sztucznych, żeby nas przerazić?

Więc jest, kim jest, i siedem tysięcy węży ani rekin, ani nic mu nie wystarcza. Miał zrobić studia, więc je robi.

Na pokazie „Szczęść” Spielberg siedzi i naraz widzi, że jakiś mężczyzna w dramatycznym momencie opuszcza salę. „Zrobiłem film zbyt drastyczny” - myśli. Za chwilę facet wraca z toalety. „Ależ to hit!” - myśli Spielberg. Właśnie.

Małgorzata Baranowska



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Kibic dalekowzroczny przygotowuje w przeddzień wielkiego meczu zestaw piknikowy zwany niegdyś suchym prowiantem

Kuchnia futbolowa

Ze względu na wczesną porę transmisji meczów mundialowych stosowna dieta nabiera wagi szczególnej. Wiadomo, że mecze wieczorne ogląda się po kolacji – ale podczas obecnych mistrzostw niektórym z nas grozić może kibicowanie ulubionym drużynom na czczo. Aby do tego nie dopuścić, wystarczy zawnoczyć zapasy takich produktów, które można jeść, nie odrywając wzroku od ekranu. Należą do nich płatki śniadaniowe, chrupkością przypominające chipsy, a stosowniejsze do mleka. Jeśli kibic nie pije mleka, tylko od rana koi nerwy piwem, płatki i tak będą lepszym i pożywniejszym dodatkiem do piwa niż chipsy.

Poza płatkami dobrze mieć zapasik selera naciowego. Jeśli kibic postanowi podreperować się kuflem Krwawej Mary, to wzbogacić może ten koktajl łydągą selera. Seler zawiera cenne dla organizmu włókna i minerały, a co ważniejsze – sprawi, że kibic nie będzie pił wódki na pusty żołądek. Ponadto łydągą selera łatwo i przyjemnie miesza się taki koktajl.

Gromadząc zapasy orzechów, należy pamiętać, że zjedzenie większej ich ilości może ponad miarę obciążyć i tak już nadwężony bezustanną nerwowką żołądek. Lepiej zatem kupować orzechy w łupinach (na przykład pistacje), ponieważ proces ich wyłuskiwania spowolni tempo spożycia. Mocno rozcieńczona wodą anyżówka pasuje i do pistacji, i do oliwek, które, ma się rozumieć, kupujemy niedrylowane, czyli z pestkami. Zarówno w przypadku oliwek, jak czereśni istnieje niebezpieczeństwo takie, że kibic zacznie pstrykać pest-

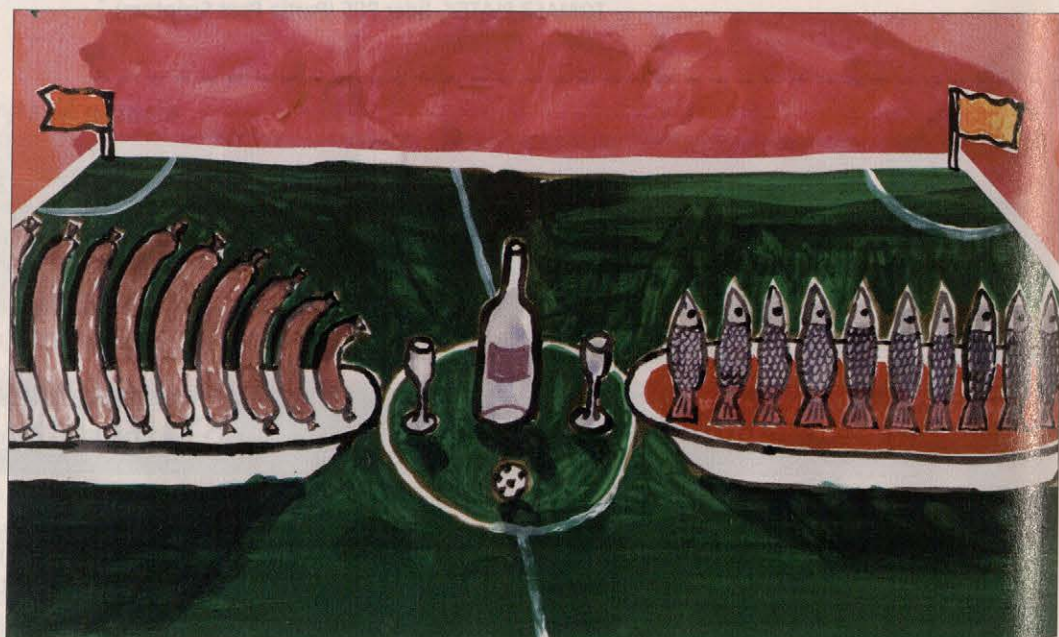
kami w ekran. Aby go uniknąć, można ustawić z dala od telewizora planszę z podobizną piłkarza lub sędziego, a może nawet trenera czy działacza, którego kibic nie lubi – i niech sobie pstryka do woli.

Kibic dalekowzroczny przygotowuje w przeddzień wielkiego meczu zestaw piknikowy zwany niegdyś suchym prowiantem. Jajka na twardo, kanapki z żółtym serem i sałatą, kurczak na zimno, jabłka i banany można w stosownej chwili wyciągnąć z papierowej torebki

zjeść porządny obiad, strzelamy korkami od szampana. Możemy jednak sobie ustalić, że jeśli będzie co fetować, to zamiast wypić kolejną butelkę, zjemy coś wyjątkowo dobrego. Szybko można pokroić chleb, posmarować go masłem i obłożyć kawiozem. Równie szybko usmażyć befsztyk i ugotować szparagi. Truskawki można podać z ogonkami, zaś kawę – mrożoną – z brandy i lodami waniliowymi. I już – obiad przygotowany i zjedzony w 20 minut. Na początek

gę w nos. W razie przegranej, dajmy na to, z Japonią kroimy befsztyk na cienkie paseczki, szparagi zaś na kilkucentymetrowe kawałki i smażymy razem w woku, podlewając sosem *teriyaki*. Mogli nam dokopać, ale my ich zjemy.

Ciekawym eksperymentem mogłoby być dostosowanie diety do narodowości drużyn grających w danym dniu mistrzostw. Sęk w tym, żeby dobrze wybrać: nawet jeśli nie wiemy o kuchni kameruńskiej, to lepiej chyba zdobyć jakieś infor-



RYŚ. MARIUSZ WILCZYŃSKI

i jeść bez nerwowego pośpiechu, jeśli pozwala na to sytuacja na boisku. Termos z herbatą byłby klasycznym dodatkiem do takiego zestawu, zaś klasycznym dodatkiem do herbaty – prosty rum.

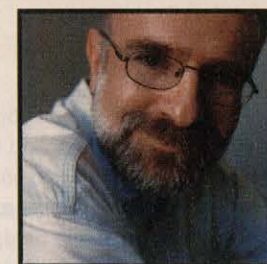
Odradzałbym fetowanie zwycięstw bezpośrednio po meczach, choć w takich wypadkach rozsądek zazwyczaj nas zawodzi i zamiast

szampańskie, do drugiego dania burgund lub coś z Doliny Rodanu.

Inaczej będą kształtować się i nastroje, i apetyty, jeśli nasza ulubiona drużyna poniesie porażkę. Lec i w takim przypadku zamiast topić smutek w trunku, lepiej pokusić się o akt symbolicznej zemsty i zjeść dania właściwe kuchni kraju, którego reprezentacja dała nam fan-

macie na jej temat, niż pójść na łatwiznę, postawić na Niemców i zająć kielbasę z kiszoną kapustą. Oczami wyobraźni widzę powstałe w ten sposób książki kucharskie – a może one już powstały i można je kupić w japońskich i koreańskich sklepach z pamiątkami?

TADEUSZ PIÓRO



FOT. MAREK SZCZEPAŃSKI

Nowa kraina szczęśliwości

Nie bardzo drogo, a jednak dobre

Patrzyłem, trzęsąc się ze śmiechu: oto z głębi białego tła przesuwają się na pierwszy plan Jacek Lech w spodniach obcisłych do kolan, a dalej szerokich jak delta Mekongu, i zagarniając nieznacznym gestem kawałek pustej przestrzeni, wyśpiewuje pamiętne słowa: „Bądź dziewczyną moich marzeń, moich wspomnień, dniem wczorajszym, który dzisiaj wraca do mnie...”. W chwili gdy nostalgia zmieniać się ma w bolesne zawrodoenie, zza pleców piosenkarza wynurzają się trzy partitki (białe bufiaste bluzki z krótkimi rękawkami, ciemne spodniczki równo do kolan, czarne fryzury zakręcające spod policzków w stronę oczu) i stając w rozkroku jak jankeski kapral przed wydaniem komendy, wyrażają powtarzanym „Uuuu...” beznadziejność i zarazem poetyckość tęsknoty Jacka Lecha.

Tak to było, tak to brzmiało, jednak nie muzyka i tekst w tym teledysku z lat 60. rozśmieszyły mnie do łez. Bardziej rozbawiły mnie ówczesne stroje, które wypełnione kształtami Jacka Lecha i partitek wydają się równie pełne co chińskie kalesony. Ale również nie one postarzały się najbardziej. Archaiczne i naprawdę śmieszne okazało się paradoksalnie co innego: ruchy ciała. Paradoksalnie, gdyż wydawać by się mogło, że to moda i refreny przemijają szybciej, podczas gdy gesty zmieniają się nieznacznie. Tymczasem ten rozkrok, ten nagły obrót i teraz bokiem do kamery, i siup w drugą stronę, na drugie „uuu”, istny świat jaskiniowy, którego już nie ma...

Jacek Lech rozmyślał w dniu wczorajszym, śmiech ucichł, został niepokój. Skoro dzieje gustu są tak niejasne i bardziej złożone, niż można sądzić, czy nie należy zrewidować opinii o ponadczasowej urodzie wina i jedzenia? Zastanowić się na przykład, czy wino przedstawione jako wyjątkowo smaczne pół wieku temu, dzisiaj, w tej samej postaci, też by zachwyciło? Czy smak fizjologiczny nie zmienia się w równej mierze, a może i bardziej niż desę krawatów i krój sukienek, równie szybko jak choreografie? Kto wie, czy przeniesieni w przeszłość, do restauracji Fukiera, powiedzmy, z obrzydzeniem nie wyplunęlibyśmy na talerz potraw, które Wokulski pałaszowałby obok z trzęsącymi się uszami? I nie wylali na buty Rzekiego bordeaux, które polecał jego przyjaciel kiper?



Zawsze za dobrą monetę brałem euforyczne opisy win rozproszone po starych powieściach czy pamiętnikach. Ślinka mi leciała, zawiść wysuszała gardło, melancholia ostrzyła myśli, bo można przecież przywrócić zaprzęśnięte słowa, muzyki, formy, lecz smaku odtworzyć się nie da. Jednak zbyt gwałtowne to były reakcje, niepotrzebne żale. Nie ma wątpliwości, że nie umielibyśmy dzisiaj pić win starożytnych, do których dodawało się miodów i ziół. Ale, podejrzuwam, żadnej przyjemności nie sprawiłyby również dawne, lekkie, cienkie bordeaux, którymi zachwyca się literatura angielska, począwszy od XVII wieku. Co więcej, zaczynam sądzić, że i wiele XX-wiecznych win, nawet tych sprzed 30-40 lat, uznanych niegdyś za wielkie, rozczarowałyby nasze podniebienie. Nieliczni szczęśliwcy, którzy mają jeszcze okazję degustować takie stare butelki, wyrażają się o nich z szacun-

kiem, lecz skazani są siłą rzeczy na paleontologię smaku: jakaż piękna kość, to dopiero musiał być dinozaur!

W tym samym czasie, kiedy Jacek Lech, zagarniając nieznacznym gestem dłoni powietrze, prosił dziewczynę, by wróciła (albo nie) z przeszłości, Jim Morrison, wijąc się po scenie i wtulając usta w mikrofon, od razu błagał swoją, by rozpałała w nim ogień. „Come on, baby, light my fire”, krzyczał, sapał, syczał i dzisiaj ta muzyka brzmi równie wspaniale jak przed niemal 40 laty. To szczęśliwe porównanie każe wierzyć, że i wśród dawnych win są pojedyncze arcydzieła, w których zasiadł wieczny geniusz, co kpi sobie z czasu. Lecz nie przeszkadza mi to sformułować wstrętne oświeceniowej myśli: smak wina nie tylko się historycznie zmienia, on się polepsza! Zmienia się nie tylko nasza fizjologia smaku, lecz zmienia się także – na lepsze – samo wino.

I to jest ta dobra nowina, którą przyszedłem głosić: jako jedna z nielicznych rzeczy wino znowu przywraca wiarę w postęp. Jeśli, jak twierdzą niektórzy, świat znalazł się w hinduskiej epoce Kaliyugi, okresie ciemności i rozpadu, kiedy wszystko zmierza ku gorszemu, wino jedno zdaje się przeczyć temu powszechnemu prawu. Gdyby to ono wyznaczało moralną miarę czasu, nasze życie byłoby już święte. W trakcie ostatniej dekady dokonała się bowiem niezwykła rewolucja, której podmuchy docierają z wolna do ostatnich bastionów winiarskiego horroru: naszych supermarketów. Nawet wina stołowe zaczęły osiągać poprawną jakość, przynosić minimalną choćby satysfakcję z ryzykownego kontaktu ze sobą; nawet najbardziej masowi producenci zaczęli się starać, nawet najgorsze regiony zlitowały się nad naszymi trzewiami. Coraz więcej tanich, dobrych wytwórców pielgrzymuje do Polski z nadzieją, że ktoś ich kupi. Na razie ciężko im idzie. Ale poczekajmy, wytrzymajmy jeszcze parę lat. Mówię wam, otwiera się przed nami kraina szczęśliwości z naszych marzeń, a nie wspomnień.

MAREK BIEŃCZYK

W supermarketach znaleźć można za 16 złotych langwedockie wina (*Vin de Pays d'Oc*) z serii Arabesque, na przykład cabernet sauvignon 2001. Butelki są idiotycznie wykręcone, stosownie do nazwy, ale wino do obiadu jest w sam raz. Na etykiecie widnieje też nazwa producenta Jeanjean, którego sporo innych win także jest u nas obecnych. Należy on do nowej fali masowych wytwórców, którym na co dzień można zaufać.

daje słowo

Jeszcze

„Jeszcze” pokazuje mój stosunek do wielu rzeczy. Głównie do czasu. Ale i do tego, co porównuję z czymś innym. Albo do tego, kogo porównuję. Zuzia jest ładniejsza od Rózi. Ale to mi wcale nie mówi, że jest ładna. Obie mogą być szpetne, tylko Rózia bardziej. Ale jak Zuzia jest od Rózi **jeszcze** ładniejsza, to obie ładne. Zuzia bardziej.

Jak mówię, że jest **jeszcze** gorzej, niż myślałem, to myślę, że jest źle. I myślałem, że będzie źle.

Jest **jeszcze** gorzej niż źle! Myślałem przecież, że będzie źle, a jest gorzej, niż myślałem! Ale z drugiej strony może **jeszcze** nie tak znów najgorzej. Mogłoby przecież być **jeszcze** gorzej. **Jeszcze** jak! A tak, jak jest, to **jeszcze, jeszcze. Jeszcze** może być...



RYŚ. MAREK SOBCHYZAFRYKI

Jeśli mi nie dosyć, to mi mało. Jeśli mam dużo, a wciąż mi czegoś **jeszcze** brak, czyli ciągle mi **jeszcze** nie dosyć, mówią ze zgorznięciem, że **jeszcze** mi mało. I nie dają. „**Jeszcze** czego!” – mówią. „Zamiast być zadowolony, to **jeszcze** ma pretensje! Tego **jeszcze** brakowało!”.

Dużo już napisałem o „**jeszcze**”, ale to **jeszcze** nie wszystko. Tak naprawdę to **jeszcze** nic! O „**jeszcze**” można **jeszcze** napisać wiele. **Jeszcze** ile!

Jeszcze dużo, dużo więcej.

Jeszcze będzie o „**jeszcze**”.

Jerzy Bralczyk

nie ma głupich pytań

Anonimowy czytelnik z Olsztyna pyta Stefanię Grodzieńską

Chciałbym poprosić Panią o rymy do słów: „kandelabr”, „księżyc” i „cymbał”.

Ależ proszę bardzo:

Mam bardzo brzydki kandelabr
Kupiła go ciocia Hela brrr.

Na niebie zaświecił księżyc
A w trawie wąż szuka węży.

Które z nas jest większy cymbał
Tego się powiedzieć bym bał.

Jeżeli komuś się wydaje, że już to gdzieś słyszał, to wcale mu się nie wydaje. W latach 50. jeździliśmy ze znakomitym poetą satyrykiem Januszem Minkiewiczem na spotkania autorskie. Na jednym z tych spotkań dostaliśmy z widowni właśnie takie zadanie. Dwuwiersze z miejsca zaimprovizował Minkiewicz. W ciągu tych kilkudziesięciu lat odpowiedzi te skłasycały i stały się anonimową anegdotą, czyli spotkał je najwspanialszy dla dowcipu los. Świadczy o tym fakt, że po 50 latach czytelnik, którego prawdopodobnie wtedy **jeszcze** nie było na świecie, zadaje mi to pytanie.



RYŚ. MAREK SOBCHYZAFRYKI

Poetką byłam w podstawówce. Musiałam być niezła, bo na szkolne uroczystości pisywałam okolicznościowe wiersze, które cieszyły się powodzeniem. Jednak większy sukces odnosiły moje rymowanki charakteryzujące nielubianych nauczycieli, ale te nie były recytowane publicznie. Kiedy jednak stałam się poetką liryczną – szybko zrozumiałam, że jeżeli nie pobiłam rekordów grafomaństwa, to jestem tego bliska. I w porę przerzuciłam się na prozę.

Tym bardziej dumna jestem z mojej córki, która znalazła zupełnie nowy rym do najbardziej wyświechtanego w poezji słowa „kocham”. Oto wierszyk na Dzień Dziecka, który kilka lat temu napisała dla swojego syna będącego, rzecz jasna, również moim wnukiem:

Łajdak, bandyta, leń, powsinoga,
Zbir i włóczęga, w dodatku to cham.
Nieuk i gangster, obraza Boga –
Oto mój synek. Bardzo go kocham.

Stefania Grodzieńska

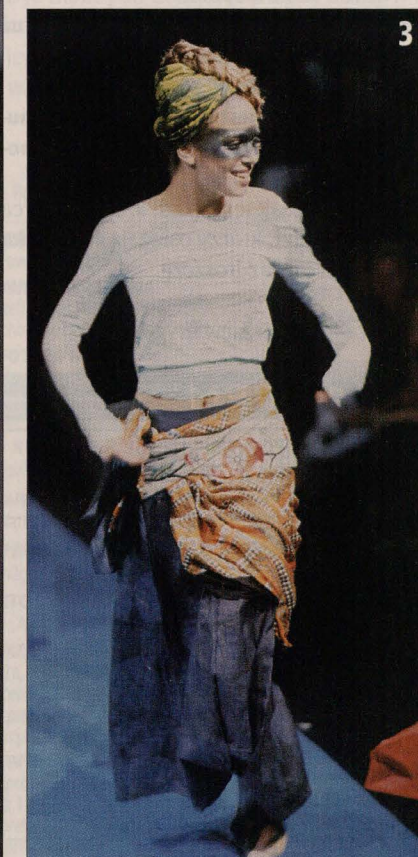
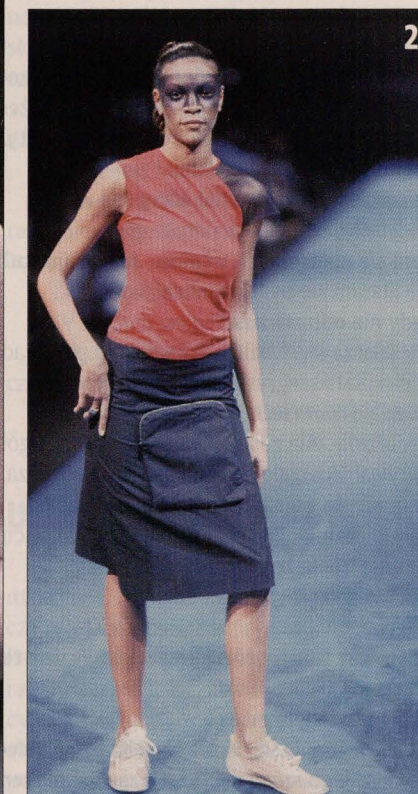
Zapraszamy do współredagowania tej rubryki! Autorów pytań do Stefanii Grodzieńskiej nagrodzimy jej książkami „Już nic nie muszę” i „Kawałki żeńskie, męskie i nijakie” z dedykacją.

Nasz adres: „Przekrój”, ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa, z dopiskiem: „Nie ma głupich pytań”.



RYŚ. MAREK BACZKOWSKI

Pierwsze: nie bujać



Zdjęcia: 1. Chanel, fot. Rafał Strzechowski/Free, 2. i 3. „Who's Next?”, fot. Robert Kulesza

Jaka jest właściwie rola dziennikarza piszącego o modzie? Czy ma po prostu dostarczać suche wiadomości, co jest modne, ploty, kto z kim, odsłaniać kulisy, za czyje to pieniądze? Czy ma pokazy mody recenzować, pisać swoje o nich opinie, czy po prostu je opisywać? Wyobraźcie sobie pokaz mody, powiedzmy sto modeli, i ktoś je opisuje. Wszystkie. Przecież to byłoby nie do czytania. Przy 15. odkładamy gazetę. I zwykle osoby, które starają się być obiektywne, piszą o kilku wybranych strojach i już nie dają to żadnego obrazu, i już jest stroniczne przez tę akurat selekcję.

Czy osoba pisząca o modzie powinna w miarę obiektywnie lansować modę, czy ją w miarę subiektywnie obrzydzać? To jest głupie, tego nie noście. To jest cudne, w tym będziecie wyglądać superowo. Ale kto? Nie ma takiej rzeczy w modzie, która jest odpowiednia dla wszystkich. Jeśli są pewne ramowe założenia, to one i tak nie podlegają wielkim dyskusjom, na nich się nie zatrzymujemy, uważamy je za rzeczywistość.

Problem, czy nową modę obrzydzać, czy być jej adwokatem, lansować czy pisać o niej chłodno, udawać obojętność, sprawozdawać – wydaje się specjalnie dziennikarek nie męczyć. Ale istnieje i nie da się od niego uciec. Nie wyobrażam sobie, żeby przy zmieniającej się co pół roku modzie komuś podobało się wszystko. Bo to wszystko to są często zupełnie przeciwstawne koncepcje. Czyli albo A, albo B. Wszystko to są co sezon kolekcje świetne i beznadziejne. Nawet przy dużej tolerancji o tych ostatnich się po prostu milczy. Trudno lansować coś, co się uważa za okropne. Czyli wymagamy od piszącego czy pokazującego modę, by był jak rozpedzony kameleon, by ciągle zmieniał swoje zdanie, szybko nadążał za szaleństwem pogoni za nową modą. Nawet siedząc po uszy w modzie i starając się ze wszystkich sił uczciwie o niej informować czytelników, dziennikarz nie ustrzeże się jakiejś selekcji. Zawsze trochę przepuści nowości przez sito własnego gustu.

I tylko entuzjazm do mody, czyli do ciągle nowej mody, daje jakąś, a może iluzoryczną, pewność czytelnikowi, że oto mamy obiektywne wiadomości o modzie. Tylko dlatego w każdej gazecie inne?

Obok na zdjęciach ta dręczliwa sprawa długości na obecny sezon. Czyli supermini i dalej, dalej, aż do podłogi. I to nie tak, że projektant ma swoją ulubioną długość, z której wynikają dalsze proporcje całości. Co polecać, co pokazywać, o czym pisać, co uznać za nowoczesne, a co za przestarzałe, czyli co lansować?

HOFF



inne pytania

Mam tendencję do pobażania sobie

MARIA CZUBASZEK: Kursujesz między Polską i Stanami...

URSZULA DUDZIAK: I Szwecją. Gdzie mieszka mój mąż.

Bo „męska rzecz być daleko”?

– Bo jest Szwedem.

Na to bym nie wpadła.

– Żeby wyjść za Szweda?

Że Ty wyszłaś za Szweda. To coś nowego.

– Nie powiedziałabym. Jesteśmy małżeństwem od 10 lat.

Chcesz o tym porozmawiać?

– Niekoniecznie.

Całe szczęście! Spytałam przecież nie przez ciekawość, tylko przez grzeczność.

– A co Cię interesuje?

Na przykład Twój stosunek do polityki.

– Ostatnio, kiedy jestem już trochę dłużej w Polsce i więcej czytam gazet, coraz więcej rzeczy zaczyna mnie wkurzać. A zwłaszcza świadomość, że nie mam na to żadnego wpływu.

Mogę Cię pocieszyć. Ja też nie mam na to wpływu.

– I to Cię nie wkurza?!

Odpuszczałam

Urszula Dudziak, wokalistka, w rozmowie z Marią Czubaszek

Nie. Tylko denerwuje.

– Na jedno wychodzi!

Ale ładniej brzmi.

– Przepraszam. No, więc coraz więcej rzeczy zaczyna mnie wkurzać. Odnoszę wrażenie, że polityka i życie to dwa różne światy. A politycy to inna rasa ludzi.

Nie sądzisz, że to kwestia klasy, nie rasy?

– Myślę, że jednego i drugiego.

Skoro się upierasz... A właśnie. Jesteś uparta?

– Staram się być konsekwentna.

Nigdy nie odpuszczasz?

– Zdarza się. Michał Urbaniak na przykład nie cierpiał przegrywać ze mną w tenisa.

Chcesz powiedzieć, że z innymi lubi?

– Też nie. Ale ze mną szczególnie. I na ogół wygrywał. Zdarzało się jednak, że byłam lepsza.

A jemu rosła gęś? Aż miło było patrzeć?

– Dokładnie! Ale odpuszczałam. W końcu nic mnie to nie kosztowało.

A on był szczęśliwy?

– Właśnie.

Myślisz, że będzie równie szczęśliwy, jak to przeczyta?

– Nie byłabym taka pewna.

Dlaczego? Dowie się, że kiedy z nim byłaś, zależała Ci na jego szczęściu. Prześle mu ten numer.

– Nie rób sobie kłopotu.

Żaden kłopot. A będzie mu miło. Skoro już o miłych sprawach... Odnosiłaś sukces.

– To stwierdzenie czy pytanie?

To prawda. Pytanie jest inne. Bardziej imponuje Ci sukces odniesiony z łatwością czy w pocie czoła?

– Chyba jednak ten drugi! Z całego serca podziwiam ludzi, którzy osiągają coś ciężką pracą. Nawet im zazdroszczę.

Harówy?

– Może to brzmi niewiarygodnie...

Na pewno.

– A jednak! I chodzi nie tylko o to, że im coś trudniej osiągnąć, tym bardziej się to ceni, ale wydaje mi się, że ciężko harując, można dojść do większej perfekcji. Może byłabym lepsza w tym, co robię.

Rozumiem, że Tobie sukces przyszedł z łatwością?

– W każdym razie nie w pocie czoła. Dlatego mam tendencję do pobażania sobie.

Lekko przyszło, lekko się traktuje?

– Coś w tym jest.

A ile jest prawdy w opinii, że Polacy są wyjątkowo zawistni? Bywasz w świecie...

– I z przykrością muszę tę opinię potwierdzić. Nic nas tak nie boli jak sukces. Innych. Najlepszym przykładem były ostatnie Fryderyki.

Uważasz, że wszyscy zazdrościli ich zdobywcom?

– Nie sądzę. Zresztą nie mówię o tych, którzy Fryderyki dostali, tylko o tych, którzy nie dostali. Bo odnieśli sukces, jeśli idzie o liczbę sprzedanych płyt, a poza tym, można ich lubić lub nie, ale publiczność ich kocha. Co potwierdziły Superjedynki.

Domyślam się, że mówisz o Ich Troje.

– Oczywiście. Moim zdaniem pominięcie ich w tegorocznych Fryderykach jest potwierdzeniem opinii, że wyjątkowo nie lubimy sukcesów.

Oczywiście innych. A czego Ty osobiście nie lubisz?

– Dymu papierosowego. I kiedy mój mąż zapali – musi wychodzić z pokoju. A ponieważ dużo pali, nigdy nie możemy porozmawiać, bo on stale wychodzi. A Ty palisz?

Niestety.

– To daj papierosa! Dzięki!

A ja dziękuję za rozmowę.

NIE PREZYDENT, ALE PREMIER

Artykuł o działalności Mossadu („P” nr 21/2970) był bardzo interesujący. Cóż, kiedy rażący błąd dotyczący Maroka każe powątpiewać w wiarygodność źródeł, na które powołuje się autor artykułu. W każdym leksykonie łatwo sprawdzić, że Maroko nie jest republiką (a zatem nie ma prezydenta). Po wyzwoleniu się spod protektoratu Francji w roku 1956 Maroko uzyskało pełną niepodległość i jest monarchią konstytucyjną.

W jakim innym kraju eksdyrektor agencji turystycznej awansował na prezydenta, trudno zgadnąć.

LIDIA SUJCZYŃSKA,

Otwock

Oczywiście w tekście o Mossadzie chodziło o premiera Maroka, nie prezydenta. Za błąd przepraszam.

MICHAŁ WÓJCIK

GDZIE JEST MARSZAŁEK?

W „P” nr 19/2968 ukazał się artykuł Jerzego Chocińskiego pt. „Ostatnie chwile Marszałka” dotyczą choroby i śmierci Józefa Piłsudskiego. Autor przypomina, jaki oddźwięk ten zgon wywołał w Niemczech i ZSRR.

Niemcy temu wydarzeniu nadali wysoką rangę, czego dowodem była depecha kondolencyjna samego Hitlera oraz jego udział w mszy żałobnej w berlińskim kościele św. Jadwigi, który konsekrował nie kto inny jak biskup Ignacy Krasicki w Roku Pańskim 1773. Zdjęcie z mszy ukazało się w prasie, między innymi w „Antenie” z dnia 2 czerwca 1935 roku.

Na zdjęciu prócz Hitlera można zidentyfikować Himmlera i Goebbelsa. Innym kurtuazyjnym gestem ze strony niemieckiej było nadanie przez berlińską rozgłośnię radiową w dniu 16 maja półgodzinnego słuchowiska „Wo ist der Marschall?” autorstwa Schwarza von Berga. W sposób sugestywny przedstawiono najważniejsze wydarzenia z życia Piłsudskiego, jego patriotyzm, geniusz strategiczny, umiejętność kierowania narodem.

W końcowym fragmencie słuchowiska padają słowa:

– Gdzie jest Marszałek?

– Rok 1935. Wódz Narodu spoczął na marach jako pomnik, idea, testament i wieczne żywa legenda.

– Gdzie jest Marszałek?

– W sercach wszystkich Polaków.

Audycję będącą apoteozą Marszałka zakończono marszem żałobnym Chopina.

WŁADYSŁAW ANDRUSIKIEWICZ,

Bydgoszcz

UWAGA! NIE DOTYKAĆ GWIAZD!

Wątpię, aby ktokolwiek przepadał za słowami krytyki. Obojętnie, czy są one uzasadnione, czy nie. Dlatego też zaintrygował mnie artykuł Petera Conrada pt. „Pavarotti. Zmierzch tenora” (nr 22/2971, 2 czerwca 2002). Zadziwiający jest fakt, że słowa krytyki pod adresem światowej sławy wykonawców są zwykle wypowiadane przez bliżej nieznanymi autorów. Być może pan Conrad jest lepiej znany w Stanach Zjednoczonych. Możliwe również, że jego krytyka jest oparta na słusznych podstawach. Jedyną rzeczą, która drażni w jego arty-

kule, jest forma tej wypowiedzi. Luciano Pavarotti od wielu lat cieszy głosem i talentem słuchaczy na całym świecie. Jego koncerty charytatywne z łatwym i przyjemnym repertuarem przyciągają rzesze publiczności, która na co dzień szerokim łukiem omija budynki opery. Jeśli chodzi o aktorskie braki Pavarottiego, to czy ktoś dzisiaj ma pretensje do naszego słynnego tenora Jana Kiepury o to, że nagrywał lekkie i miłe dla ucha piosenki, jak choćby „Brunetki, blondynki” czy „Na ust koralu...”, albo że występował w filmach niekoniecznie najwyższej klasy? Przecież nie o to tak naprawdę w tym wszystkim chodziło. Do dziś my, zwyczajni słuchacze, lubimy i pamiętamy te piosenki, ich urok i głos tego artysty. Pan Conrad zachował się trochę jak rozkapryszone dziecko, które płacze, gdy jego ulubiona zabawka nagle zaczyna się psuć. Nic nie jest wieczne, w tym i głos Pavarottiego, który po wieloletniej eksploatacji dla wielu milionów słuchaczy na całym świecie po prostu się niszczy. Winniśmy być wdzięczni, że przez tyle lat mogliśmy się tym głosem cieszyć. Odejście w cień z pewnością jest bardzo trudne, zwłaszcza dla tak wielkiego artysty. Jeśli chodzi natomiast o dywagacje dotyczące peruki, tuszy bądź wielkiej chusty śpiewaka, to czy zaczniemy również krytykować inne gwiazdy za ich wyjątkowy styl? Albo śmiać się z osób cierpiących na nadwagę?

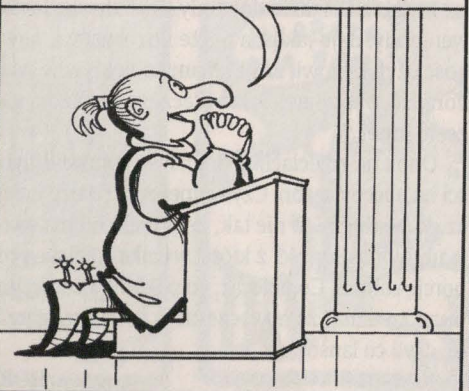
No cóż, publiczność będzie cenić swoje gwiazdy pomimo, a może zwłaszcza za ich ułomności czy artystyczne kaprysy, a tego typu krytykę uważać za niską i nietaktowną.

ALEKSANDRA LENARTOWICZ,

Toruń

„PRZYGODY RYCERZA Z KUCYKIEM” — ANDRZEJ MLECZKO

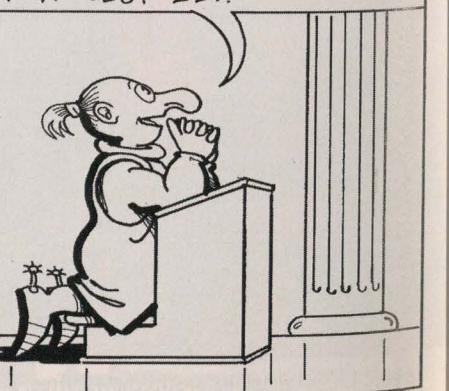
O PANIE, POZWÓL MI ZWYCIĘŻYĆ W WALE NA ŚMIERĆ I ŻYCIĘ Z OKRUTNYM RODRYGIEM.



WALKA ODPĘDZIŁ SIĘ W SOBÓTĘ O SZESNASTĄ TRZYDZIEŚCI NA DZIEDZINCU ZAMKOWYM.



PROŚBĘ MOJĄ MOTYWUJĘ TYM, ŻE JA JESTEM DOBRY, A ON JEST ZŁY.



ONE TWO

**PRZE
KRÓT**

Założyt w roku 1945 w Krakowie Redaktor **MARIAN EILE**

DYREKTOR KREATYWNY – WYDAWCA:

Piotr Najszub

REDAKTOR NACZELNY:

Roman Kurkiewicz

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO:

Jacek Kowalczyk

ASYSTENTKA REDAKTORÓW NACZELNYCH:

Maria Świetlik

SEKRETARZE REDAKCJI:

Magda Bauman (szef), Ewa Biała,

Magda Gędziorowska

KULTURA:

Manana Chyb (szef), Bogna Świątkowska (z-ca),

Marcin Baran, Paweł Dunin-Wąsowicz,

Joanna Gromek Illg, Leszek Mazan,

Tadeusz Nyczek, Jacek Podsiadło,

Małgorzata Sadowska, Andrzej Saramonowicz,

Marcin Sendecki, Justyna Sobolewska

WYDARZENIA:

Dariusz Rosiak (szef), Małgorzata Fiejdasz,

Agnieszka Litorowicz-Siebert,

Filip Łobodziński, Wojciech Maziariski,

Jakub Mielnik, Magda Papużńska,

Wawrzyniec Smoczyński, Kazimierz Targosz,

Michał Wójcik

REPORTAŻ:

Leszek Talko (szef), Marceł Andino Velez

NAUKA:

Jan Stradowski (szef), Olga Woźniak

ROZRYWKA:

Paweł Sito (szef)

PRACOWNIA GRAFICZNA:

Piotr Gidlewski (szef), Maria Klich, Łukasz Dziedzic,

Dominika Szczepowicz, Dominika Raczkowska

FOTOEDYCJA:

Agnieszka Steinhagen (szef), Anna Majewska,

Ewa Morgunow, Marek Szczepański,

Bogdan Krężel (fotograf)

KOREKTA:

Lucyna Dyczkowska (szef), Tatiana Hardej

ARCHIWUM:

Wanda Lacrampe

PRODUKCJA:

Agencja Poligraf – Maciej Kowalski

REDAKTOR TECHNICZNY:

Alan Jawor

ADRES REDAKCJI:

ul. Wiejska 12a, V p., 00-490 Warszawa,

tel. (0-prefiks-22) 584 25 25,

faks (0-prefiks-22) 584 25 21

e-mail: redakcja.przekroj@edipresse.pl

WYDAWCA:

Edipresse Polska SA,

ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa,

tel. (0-prefiks-22) 584 22 00,

faks (0-prefiks-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA:

Zbigniew Napierała

WICEPREZES:

Krystyna Kaszuba

WICEPREZES-DYREKTOR

ZARZĄDZAJĄCY:

Ewa Redel

DYREKTOR FINANSÓW:

Paweł Satkowski

DYREKTOR WYDAWNICZY:

Ewa Niezbecka

DYREKTOR MARKETINGU:

Izabela Bochenek

DYREKTOR DS. ROZWOJU

I KONTAKTÓW MIĘDZYNARODOWYCH:

Agnieszka Smit

DYREKTORZY ARTYSTYCZNI:

Elżbieta i Bogdan Zochowscy

DYREKTOR PUBLIC RELATIONS:

Katarzyna Bem

DZIAŁ DYSTRYBUCJI:

tel. (0-prefiks-22) 584 22 28,

Grzegorz Barej – dyrektor

DZIAŁ PROMOCJI:

Marcin Fedisz (kierownik), Agata Obrębska

BIURO REKLAMY:

Agata Eigner – dyrektor, Maciej Stożek,

Bartek Kluczny, Adriana Olczak,

Marzena Kiedacz (Kraków)

Warszawa, ul. Wiejska 19,
tel. (0-prefiks-22) 584 22 94

faks (0-prefiks-22) 584 22 98

DRUK:

Winkowski Sp. z o.o., ul. Okrzei 5, 64-920 Piła,

tel. (0-prefiks-67) 210 84 00

PAPIER: okładka – LumiArt 90 g,

środek – Sella Press 60 g;

producent – Stora Enso

PRENUMERATA:

u Wydawcy

Izabela Dębska, Agnieszka Bogdańska,

tel. (0-prefiks-22) 584 22 29 lub 584 22 30

faks (0-prefiks-22) 584 22 32

przez pocztę

przedpłaty przyjmują urzędy pocztowe

na terenie całego kraju

przez Ruch SA

informacja tel. (0-prefiks-22) 532 87 31,

faks (0-prefiks-22) 532 87 32

Zabroniona jest bezumowna sprzedaż numerów bieżących i archiwalnych „Przekroju” po cenie niższej od ceny detalicznej ustalonej przez wydawcę. Sprzedaż po cenie innej niż wydrukowana jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością prawną.

Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych artykułach i listach.

Wydawca: Edipresse Polska SA

Redakcja: Edipresse Polska SA

Wydawnictwo: Edipresse Polska SA

Starość nadal nie radość

Skuteczna walka ze śmiercią jest niemożliwa. Można co najwyżej przyhamować to, co nieodwracalne

Spora ilość badaczy zajmujących się rozwojowymi możliwościami biologii genetycznej żywi i ogłasza przeświadczenia, że w zasięgu naszych realnych możliwości jest zarówno wytwarzanie zastępczych narządów dla człowieka, jak i przedłużanie przeciętnej długości życia do stu lat. Obecnie mówi się o projektach urządzeń technobiologicznych zwanych sztucznymi macicami. Są nawet optymiści zapewniający, że na granicy postępów medycyno-biologicznych widnieje doczesna nieśmiertelność człowieka.

Perspektywa hodowli organicznych narządów wydaje się prawdopodobna, jednak skuteczna walka ze śmiercią jest w oczywisty sposób niemożliwa. Eksperci medycznego fachu wiedzą, że proces biologicznego starzenia się organizmu, który przejawia się w zmieniającej się z upływem lat budowie całej masy mięśniowej, rozpoczyna się jeszcze przed 25. rokiem życia.

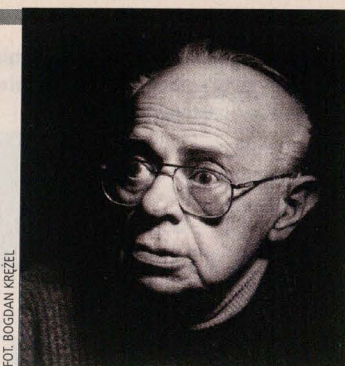
Wszystkie mięśnie prądkowate składają się mianowicie z dwóch rodzajów włókien, z których jedno są krótsze i zdolne do skurczów w szybkim tempie, podczas kiedy inne, znacznie dłuższe, pracują dłużej i wolniej. Jak wykazały badania porównawcze biegaczy, maratończycy dysponują z reguły większą ilością

włókien pracujących wytrwale i wolniej, natomiast sprinterzy mają tę proporcję odwróconą. Z upływem lat u wszystkich ludzi w sposób nieuchronny, ponieważ zdeterminowany genetycznie, w umięśnieniu ciała zachodzą stopniowej atrofi, czyli zaniku mięśniowej masy, w której ponadto włókna skurczu powolnego zaczynają dominować nad włóknami skurczu szybkiego.

Starzejący się człowiek może wprowadzić spowolnić zanik masy mięśniowej, lecz nie może go ani powstrzymać, ani też zmienić pogarszającej się z upływem czasu proporcji włókien powolnych i szybkich. Osiągając 80 lat, człowiek dysponuje umięśnieniem



RYS. DIMITRI SZELWONKOW-KSMIELOW



FOT. BOGDAN KRZYZEL

Co Pan na to, Panie LEM?

zasadniczo nieprzekraczającym 50 procent jego stanu sprzed półwiecza. Oczywiście kwestia obniżającej się aktywności ruchowej, znana dobrze jako tak zwane starcze zniedołężnienie, nie wynika tylko z utraty mięśni, ponieważ niejako równoległe zachodzą też procesy uwstecznienia w ośrodkach systemu nerwowego zawiadujących dynamiką i statyką ludzkiego ciała, w których sternikiem jest mózg, zaś koordynatorem ruchów – mózdzek. Jednocześnie dochodzi do wielkiej ilości innych pogorszeń funkcjonowania organizmu.

Należy jednak podkreślić, że dzisiaj medycyna bynajmniej nie utożsamia starzenia się i starości z chorobą. Cały proces życiowy, rozpoczęty poczęciem, biegnący poprzez okres płodowy, niemowlęcy, dziecięcy, dojrzewania, wieku dojrzałego, a kończący się starością, jest zaprogramowany genetycznie u wszystkich bez wyjątku organizmów wielokomórkowych, do jakich należy też oczywiście nasz gatunek.

Ze względu na to przepowiada niebywałe sukcesów w zabiegach mających przedłużyć ży-

cie świadczy o elementarnej ignorancji w zakresie biologii. Jakkolwiek tego rodzaju narządy, bez których sprawnego funkcjonowania nie można żyć, w rodzaju serca, nerek, wątroby, trzustki itp., istotnie da się kiedyś zastępować nowymi, wyhodowanymi za pomocą klonowania i zmagazynowanymi w bankach ludzkich organów, jakkolwiek można opóźnić sklerotyzację systemu naczyniowego, a także pogarszanie się neuronowej struktury mózgu, zawsze jednak będzie mowa tylko o przyhamowaniu procesów zasadniczo nieodwracalnych.

Przedłużenie fazy późnej starości wydaje się zresztą daleko mniej pożądane aniżeli zapewnienie organizmowi możliwie długiego trwania w okresie pełnowartościowej dojrzałości. Natomiast myśl, jakoby dało się rozciągnąć życie człowieka do jakichś 200 lat, jest absurdem, ponieważ tego rodzaju przemiana wymagałaby całkowitej przebudowy naszej substancji dziedzicznej, co byłoby równoznaczne z likwidacją gatunku *Homo sapiens* w takiej postaci, w jakiej ukształtowała go ewolucja naturalna na ziemi.

Pomiędzy gatunkami zachodzą znaczne różnice długowieczności, których przyczyny nie są dobrze rozpoznane. Właściwie nie wiemy, dlaczego krokodyle żyją sto lat, konie 20, a psy tylko kilkanaście. W świecie roślin potrafimy wskazać ustroje prawdziwie matuzale-mowe w naszej skali – należą do nich amerykańskie sekwoje, istne olbrzymy osiągające wiek 300 lat. Lecz co sprawiło tak wielkie różnice w rozrzucie żywotności – tego jeszcze nie potrafimy określić.

STANISŁAW LEM
31 maja 2002

Św. Andrzej Bobola

XVII-wieczny męczennik – nowym patronem Polski

Odcinek 31 (6) Św. Andrzej Bobola cena 4,29 zł (zawiera VAT 0%)

Jan Paweł II KOLEKCJA

NIEZWYKŁE HISTORIE LUDZI WIARY

Księga Świętych

MEJSCA PIŃSK BIALORUSKIE MIASTO Z POLSKĄ HISTORIĄ

ZŁIZENIA CZY UNIA BRZESKA BĘDZIE DZIELIĆ CHRZEŚCIAN

LEGENDA JAK ŚW. ANDRZEJ BOBOLA UKAZAŁ SIĘ PO ŚMIERCI

KRONIKA

JAN PAWEŁ II W AZERBEJDŻANIE I BULGARII

WYKADTO: LISTA LAUREATÓW PLEBISCYTU „CZY ZNASZ SWOJEGO PATRONA?”

Andrzej Bobola
Nowy patron Polski

Św. Andrzej Bobola

Mężny duszochwał

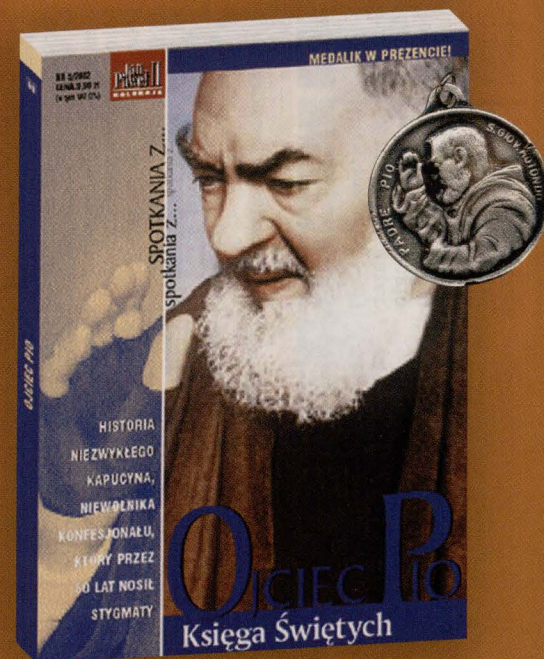
Pakty

Wieloletni, trudny do pokonania...

Wieloletni, trudny do pokonania...

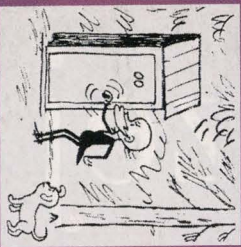
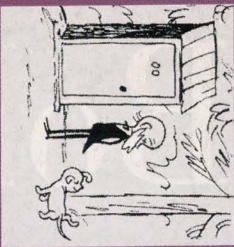
Wieloletni, trudny do pokonania...

Księga Świętych poleca:



z serii „Spotkania z...”
Ojciec Pio – wydanie II
na kanonizację

Najnowszy numer
i książka już
w kioskach!

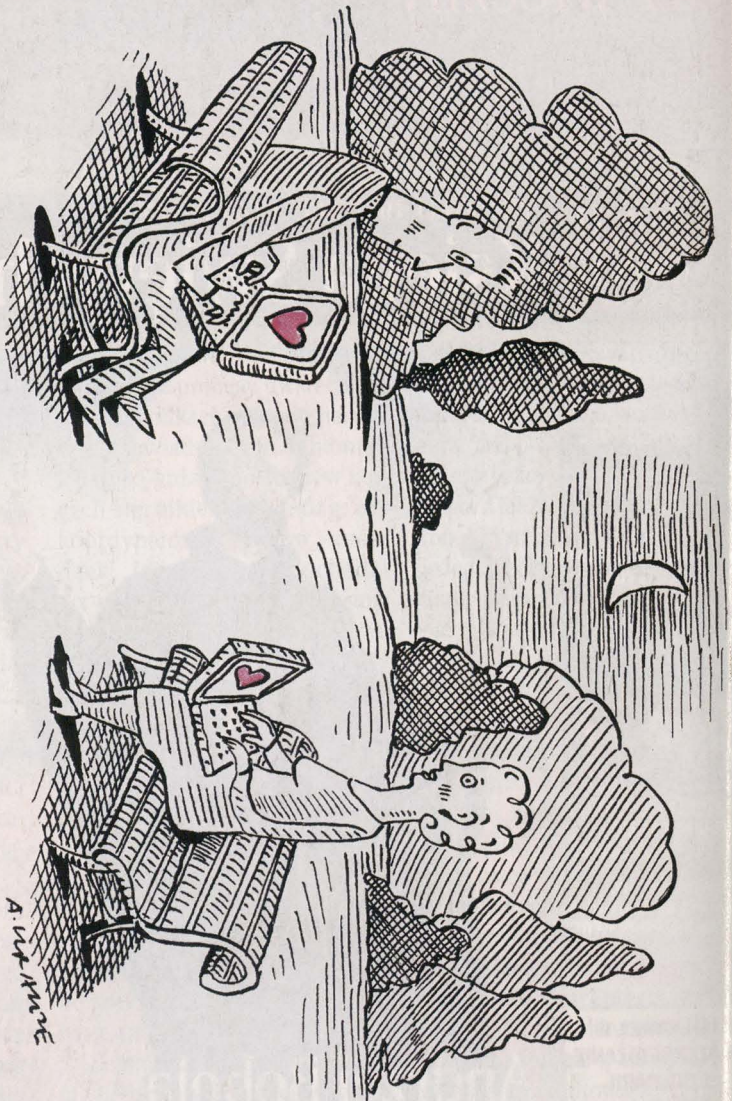


FILUTEK

1. Weź „Łot nad kukulczym gniazdem”, dodaj „Przebudzenie”, zamieszaj.
2. Wprowadź wążek fantastyczny, ale nie przesadź.
3. W zakończeniu podkreśl, że rodzina jest najwyższą wartością.
4. Wyдай książkę w zycznym wydawnictwie (Znak).
5. Spokojnie czekaj na pozytywne recenzje.

K-Urtyna.

P. JURKA
„Jak zrobić K-Pax?”



Rys. Andrzej Krauze

Numer z kotem

Po raz kolejny w Tarnowie okradziona została przez oszustów starsza kobieta. Tym razem jednak posłużyła się onieptygową metodą.

U starszej pani mieszkającej w kamienicy przy ul. Dąbrowskiego pojawiły się dwie kobiety, których wiek określa się na 20-30 lat. Przedstawiły się jako pracownice ubezpieczalni, które przyciadała poinformować o podwyżce renty o 100 zł. Oznaki wywniosły również, że

NIE KUPUJ KOTA W KOCU

lokatorka wygrała w loterii komputerowej... Kłoda. Być może wiedzieli o tym, że kobieta lubi zwierzęta domowe.

Rozmowa o kocie tak zajęła starszą panią, że nie zauważyła, iż jedna z goszczących w mieszkaniu kobiet penetruje pokój. Dopiero po kilkunastu godzinach wyszło na jaw, że złodziejka wyniosła z złotej pierścionki, 2 złote łańcuszki oraz pieniądze w kwocie 600 zł. (Złob)

(Notatki z „Dziennika Polskiego” i „Super Expressu” z 26 stycznia nadesłał Edward Gąsior z Tarnowa)

PRACUSIE

„Gazeta Kociowska” z 7 marca pochyliła się z troską nad losem starogardzkich kupców. Jeden z nich żali się:

„Aby utrzymać swoje miejsce targowe musimy han-dlować minimum 14 dni w tygodniu”. Minimum jest jasne, ale co z maksimum?

(Nadesłał Hubert Pobłocki z Gdańska)

POMYSŁ NA PREZENT

W numerze 67. „Kontakt” - gazety bezpłatnych ogłoszeń w woj. lubuskim i zachodniopomorskim - zamieszczono anons:

„Ryby piranie (45 cm) oddam za darmo”. Byłoby nowe wcielenie nie wpuszcili ich do wody z kranu. Mogą zdechnąć... (Nadesłał Sławomir Sarosiek ze Szczecina)

HE!

Pasjami lubimy stawiać sprawy na głowie innych.

HUMOR ZESZYTOWY SZKOLNYCH

Mimo że urodziłem się i wychowałem na wsi, jestem bardzo uczulony na pokarm krowy.

Wyszczał z „Aurory” oznajmili początek rewolucji.

Wskutek ukąszeń pszczołami lub osami powstała często rana i opuchlizna.

Peruka powinna być tak zrobiona, żeby nasze własne włosy szlag trafiał z zadości.

Najstarszym zawodem świata nie jest wcale to, co myśleć, ale zrywanie jabłek.



Kobieta chce zdobyć męczyznę bez reszty. Resztę zdołać później.

Mężczyzna nie daje za wygraną, dopóki wszystkiego nie przegra.